



24

Groźnij' Mani na Nowy Rok 1853.

podarunko.

<http://rcin.org.pl>  
od Starogo Starogijda J.W.



**POWIEŚCI**  
**STAREGO NAUCZYCIELA.**

*Murowisiz*

POWIEŚCI  
ZTARZEGO NAUCZYCIELA.

*[Handwritten signature or flourish]*







Egz. archiwalny IBL

**POWIEŚCI**  
**STAREGO NAUCZYCIELA**

DLA

**SWOICH MŁODYCH PRZYJACIÓŁ**

PRZEZ

**T. DZIEKOŃSKIEGO**

b. Dyrektora Gimnazjum.

**DRUGIE WYDANIE.**



**W WARSZAWIE**

Nakładem **S. H. Merzbacha**, Księgarza  
przy ulicy Miodowej, Nr. 486.

**1850.**



Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby exemplarzy.

W Warszawie, d. 17 (29) Maja 1849 r.

*Cenzor, P. DUBROWSKI.*

**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-000 Warszawa  
Tel. 26-68 83, 26-52-31 w. 42**

708

W Drukarni St. Strąbskiego.

## KOCHANY CZESŁAWIE!

Przebyłeś szczęśliwie trudne pierwiastki nauki z niemalą korzyścią; postępuj dalej tą samą koleją, a niezawodnie zbierzesz zapas wiadomości, które oświecając umysł, ukształcają serce. W tym celu i ja wolne chwile poświęciłem dla twojego dobra: ułożyłem książeczkę, którą Ci ofiaruję, w tém przekonaniu, że dar mój będzie Ci miły, a tém samém stanie ci się pobudką do chętniejszego czytania. Lecz słuchaj coć powiem kochany Czesławie.

Przewracać kartki, przyglądać się obrazkom, nie jestto czytać książkę; a choćbyś też przeczytawszy powiastkę, umiał ją cio-

ci lub babuli opowiedzieć, jeszcze i to nie nazwie się korzystnym czytaniem. Spytasz się zapewne: „i cóż więc robić wypada?”... Oto uważać dobrze na co wyszło niedbalstwo Jasiowi, jaki był skutek zbytniego przywiązania do ptaszków, któremi się Michaś zajmował, i ztąd zwracać baczność na siebie, umacniać się w dobrem, chronić złego, pozbywać się przywar i złych nałogów, a być powolnym na rady i rozkazy starszych, tak, aby codzien stawając się oświecenijszymi przez nabywanie nowych wiadomości, stawać się coraz lepszym przez utwierdzenie się w cnotach. Do tego, moje dziecię, książki doprowadzać powinny; inaczej byłby z nich towar zbyt kowny, gdyby jedynie zaspokajały ciekawość, tak jak modna suknia zaspokaja próżność.

W takiej myśli, kochany Czesławie, bierz tę książeczkę do ręki, skoro po należytym przysposobieniu się na lekcye chwilę wolnego czasu upatrzysz; lecz na raz jeden czytaj tyle tylko, ile dobrze spamiętać i rozważyć potrafisz. Znajdziesz tu wiele wyrazów i rzeczy, których jeszcze nie rozumiesz: pytaj się o ich znaczenie nauczyciela twojego lub rodziców, a oni Ci zapewne wyjaśnią wszystko. Mogłem ja wpra-

wdzie opuścić to, co jest nad twoje pojęcie, ale nie chcę, abyś na całe życie został niemowlęciem. Niedawno dodawanie i odejmowanie trudną dla Ciebie było nauką, a dziś przecie umiesz już i mnożyć, i dzielić, i coś więcej. Tak powoli pójdzie ze wszystkiem, cierpliwości tylko i dobrej chęci potrzeba.



whio opueie lo: ce jca ad l'ojc poje  
 cie. ste nie eceg. ahae na eale stym zosa  
 wal inmwlesta. jcllwawo hohawoaj  
 i eghowame traha dia f'epie dyo non  
 la. a hais p'axie tunc a ja i mow  
 i d'aille i eos w'ieci. Tak powo h'ojd'ie  
 ze w'axialnem. e'ip'ihwoni tyhe i h'ojc  
 chci pot'zba.

## I.

### **GWIAZDKA.**



Już dawno minął dzień Ś. Marcina, który w tym roku, jak się wyrażają wieśniacy, na białym przyjechał koniu, co według ich postrzeżeń wczesną i ostrą zimę zapowiadać miało; toż samo zwiastowała i gęś, która w tym dniu uroczystym dla wieśniaków, należy do uczty najuboższego nawet kmiotka. W rzeczy samej już w dniu, w którym kościół katolicki uroczystość Ś. Mikołaja obchodzi, ogromne śniegi pokrywały ziemię, a mróz kilkunastu stopni dochodził. Z trwogą i pokorą spieszyli do świątyń pańskich wieśniacy, w sąsiedztwie gęstych lasów mieszkający, błagając świętego patrona o wstąpienie się do Boga, by ich trzody chronił od

paszczyki żarłocznych wilków, które zwykle tęp drapieźniejsze się stają, im tęższe trwają mrozy, a tęp samęp mnięp im sposobności zostawiają do zaspokojenia głodu. Aż do samej tęsknie oczekiwanej wigilii Bożego Narodzenia mróz trwał bez przerwy, suchy tylko kiedyniekiedy śnieg padał, a wiatry w potężne spędzały go zamieci, utrudzając niesłychanie drogę. Przykra to była pora, osobliwie dla familij cokolwiek odległej od siebie po wsiach żyjących, zwykle bowiem na ważniejsze święta, jakimi są Boże Narodzenie i Wielkanoc, krewni i przyjaciele do jednego zbierają się domu, aby tęp przyjemniej czas ten przepędzić.

W bliskości ostrołęckiej puszczy jest wieś Staropole, jeszcze w początku bieżącego wieku dziedzictwo zacnej Szczerzeckich familii. Tu Jan Szczerzecki, ośmdziesięcioletni starzec, spędziwszy niemało lat w usługach Monarchy i kraju, ostatnie czerstwej starości lata w błogim pokoju przepędzał z młodszą od siebie pięć laty małżonką. Miał on trzech synów i dwie córki; z tych pozwolił mu Pan Bóg doczekać się wnuków i prawnuków. Jakażto była pociecha dla chylącego się do grobu starca, oglądać zgromadzoną około siebie familiją, do



której pospolicie nie mała liczba prawych przyjaciół się łączyła. W tym roku, zważając na przykrą porę, wątpił Szczerzecki czy będzie mógł powitać u siebie wszystkich, i tćm bardziej tęsknił, im mniej sobie rokował przyszłego wieku. Przywiązanych jednak do ojca dzieci nie wstrzymały zaspysniegu, ani mroźna pora; zjechali się wszyscy z wnukami i prawnukami, dobrych przyjaciół nawet więcej się zebrało jak za zwyczaj. Cieszył się niewymownie sędziwy starzec i sam pilnował służby dworskiej, aby każdemu należytą zapewnić wygodę. Małżonka zaś jego, równie czerstwych sił jak i mąż, skrzętnie rozporządzała wigilią, aby nie uchybić starożytnym zwyczajom; a lubo miała odpowiednią służbę, dobrego kucharza, wierną i rządąną klucznicę, przecież własnymi oczyma dojrzyć wszystkiego pragnęła w dniu tak dla niej przyjemnym.

W wigilią Bożego narodzenia, według starożytnego zwyczaju, cały dzień żadnego nie przyjmowano pokarmu, od czego nawet i małe dzieci wyjęte nie były. W domu pana Szczerzeckiego jużto przez długie nawyknięcie, już tćż przez uszanowanie dla przodków, w niczćm nie uchybiono uświęconym wiekami zwyczajom, i choć w inne

dni pospolicie przed godziną pierwszą z południa dawano obiad, w wigilią dopiero siadano do stołu gdy pierwsza gwiazda na niebie zabłysła. Dla ludzi dorosłych niewielką to było przykrością, bo ją ugruntowane w sercach uczucie religijne łagodziło, lecz drobne wnuki i prawnuki, jakkolwiek oczekiwaniem gwiazdki zajęte, nieraz jednak w ciągu dnia głód swój kwileniem objawiały. W inne lata, gdy pogodne niebo i niewielkie zimno dozwalało, cała familia udawała się na nabożeństwo do parafialnego kościoła, o pół mili od Staropola odległego; w tym roku starsi tylko obowiązku religijnego dopełnić mogli, nagle bowiem po ciągłych mrozach nastąpiła odwilż. Wilgotne zimno dokuczliwsze było nad same mrozy, a dla małych dzieci niebezpieczniejsze, tém bardziej że ostry wiatr zachodnio-północny drobny deszcz z płatkami śniegu zmieszany pędził. Dzieci więc zostały w domu przy należytych dozorcach. Długiż to dla nich był czas od ranniejszego jak zwykle wstania, aż do wzniesienia gwiazdy; gdyby przynajmniej część dnia na wolnym mogły przepędzić powietrzu, w zabawie prędzejby zapomniały o dokuczającym głodzie, lecz w tym roku trzeba było ciągle bawić się w domu, a do wynaj-

lezenia zabaw już i pomysłów brakło piastunkom i dozorcóm. Gwiazdką więc tylko straszły lub cieszyły niespokojne dzieci. Obyczaj bowiem rozdawania podarunków grzecznym dzieciom na wigilią Nowego Roku, przeniósł się do nas od cudzoziemców; nieznano tego dawniej; i u pp. Szczerzeckich zwyczaju tego religijnie w wigilią Bożego Narodzenia dopełniano.

W samo południe wrócili wszyscy z kościoła, przybył i ksiądz proboszcz, czcigodny starzec, powszechnie dla swojej świątobliwości i uprzejmości szanowany, wielki p. Szczerzeckiego przyjaciel. Dzieci w duchu bogobojnym wychowywane z uszanowaniem pobiegły witać pobożnego kapłana, który je nawzajem z rozrzewnieniem błogosławił. Pospieszyły potem ucałować ręce babki i dziadka i różne im zadawały pytania, na które starzy stosowne do wieku dawali odpowiedzi. — Dziś już pewnie, rzekł Ignas, gwiazdka nie przyjdzie. — Dlaczego? zapytał go dziadek. — Bo taki wiatr i śnieg i deszcz, to się gwiazdce wyruszyć z domu nie zechce. — Dla grzecznych dzieci, odpowiedział dziadek, gwiazdka nie zważa ani na mróz, ani na sotę, i ja mam nadzieję że przyjdzie, bylebyście jej spokojnie oczeki-

kiwały. — Będziemy grzeczne! zawołały wszystkie razem wnuki i wnuczki.

Niedługo też zciemniać się poczęło; poruszyli się wszyscy z miejsc swoich, weszła pani Szczerzecka i podała mężowi swojemu z tacą opłatki. Powstał p. Szczerzecki i począwszy od ks. proboszcza łamał opłatki ze wszystkimi życząc sobie wzajemnie zdrowia, pomyślności i dosiego roku; nadszedł i ekonom z którym się także pan podzielił opłatkiem i udał się wreszcie do izby czeladniej, gdzie zebrana służba dworska i starsi wieśniacy na niego czekali, by dzieląc się z nim złożyć mu szczere świąt życzenia. Za powrotem dziadka otworzyły się drzwi jadalnego pokoju i dano znać do stołu. Modlitwę przed jedzeniem odmówił ks. proboszcz i wszyscy zajęli miejsca. Według starodawnego zwyczaju nie zapomniano posłać siana, aby tym sposobem przypomnieć Narodzenie Zbawiciela świata; szereg dziewięciu potraw rozpoczynała zupa migdałowa, a kończyły androty z makiem. Przy końcu uczty dziadek zwracając mowę do swoich wnuków zapowiedział im zbliżanie się gwiazdki, jakoż wkrótce dał się słyszeć dzwonek. Umilkły wszystkie dzieci, różne uczucia wybiły się w ich oczkach

i twarzy; jedne się radowały, na drugich widać było niespokojność i jakąś niepe-  
wność, a wszystkie z utęsknieniem spoglą-  
dały w stronę z kąd brzęk dzwonka docho-  
dził. Za drugim brzęknięciem bliższem od  
poprzedzającego, powstali wszyscy i odmó-  
wiwszy modły dziękczynne udali się do sali.  
Tu ksiądz proboszcz z kolei wzywał dzieci:  
temu się kazał przeżegnać, tamten musiał  
modlitwę pańską odmówić, starsi zaś na py-  
tania z katechizmu odpowiadali. Zapytał się  
potem rodziców o ich sprawowanie: dobre  
zalety mające pochwalił, inne do poprawy  
zachęcał i oświadczył że gwiazdka złożyła  
już dary dla wszystkich z tém zastrzeże-  
niem, żeby dobre dzieci wytrwały w dobrem,  
mniej baczone żeby się poprawiły. Dziadek  
zapukał we drzwi pobocznego pokoju; te się  
szybko otworzyły i dzieci ujrzały z wielką  
radością pięknie ustrojony stół, a na nim  
mnóstwo rozmaitych przedmiotów porzą-  
dnie poukładanych. Były tam szabelki bla-  
szane, małe flintki ze sprężynami, tarcze,  
konie, biczyki, bębenki, trąbki, wózki, ładnie  
postrojone lalki, małe krosienka, sprzęty  
do kawy, i t. p. zabawki, lecz były także  
książeczki pięknie oprawne, rysunki, ze-  
szyty w ładnych okładkach, farby, cyrkle;

do każdego daru ksiądz proboszcz dołączył piękny obrazek świętego patrona dziecięcia któremu się dziś dar miał dostać w udziale. Dziadek zbliżywszy się do stołu, rozdawał po kolei każdemu od najmłodszych począwszy. Gdy dzieci ciesząc się swojemi darami wybiegły do sali i wzajemnie jedne drugich zabawki oglądały, wtedy wezwana służba dworska zbliżyła się do pana i z rąk jego odebrała stosowne upominki, a ksiądz proboszcz korzystając z tej chwili przypomniał im w krótkości obowiązki względem Boga i pana.

Skończył się cały obrzęd, długo jednak trwał jeszcze gwar między dziećmi, każde bowiem swojej zabawki doświadczało; nakoniec nacieszywszy się dowoli, maleńkie dzieci poszły z piastunkami do swoich pokojów, a starsze obstały krzeselko dziadka. Wtedy najstarszy z nich, odezwał się Kazio:—Tu gwiazdka co rok przybywa, takie piękne podarunki nam rozdaje, a ja ani razu jej nie widziałem, a tak radbym ją poznać, ona musi być bardzo dobra, ja jej się wcale nie boję. — Bardzo dobrze sądzisz moje dziecko, rzekł dziadek, gwiazdka w istocie jest niewypowiedzianie dobrą dla dobrych, i kto pełni swoje powinności

należycie, nic złego nie zrobi, ten nie ma się jój czego obawiać. Ty ją możesz widzieć i widzisz codziennie; a postępując w latach i stosowném do nich ukształceniu coraz lepiej poznawać ją będziesz. Jestto ta gwiazda, która od wieków zapowiedziana była wybranemu od Boga ludowi, jestto Zbawiciel świata, źródło wszelkiego dobra; on nas łaską swoją oświeca, on błogosławi pracom naszym, nadaje plon urodzajom ziemi, on niewidomemi drogami prowadzi nas do szczęścia doczesnego i wiecznego, byleśmy w nim zupełną ufność pokładali, i praw jego strzegli. O tej prawdzie lepiej was przekona zdarzenie prawdziwe, które wam jutro wieczór opowiem.— Nie, dziadulu, prosimy dziś jeszcze; my będziemy słuchały, odezwały się razem dzieci; wszak to jeszcze nie tak późno.-- Kiedy koniecznie chcecie, więc dobrze, słuchajcież.

W sąsiedztwie mojem, w małym folwarczku, Dobra-wola zwanym, żył niejaki Zacniewski, pracowity, skromny, a nade wszystko bogobojny człowiek. Małżonka jego pełna cnót kobieta, pomagała mu w trudach gospodarstwa i przez długi czas, choć nie było nic do zbytku w tym domu, nie brakło przecież na potrzeby a nawet

i niejakię wygódkę. Kilkoro im Pan Bóg dał dzieci, z tych jednak czworo tylko przy życiu zostało: córeczka Zosia, o kilka lat starsza od brata i dwie maleńkie jej siostry. Pani Zacniewska miała czas i gospodarstwa domowego dojrzyć, i kilka chwil codziennie wychowaniu dzieci swoich poświęcić; a gdy już Zosi dwanaście lat minęło, oddała ją na dokończenie nauki do Panien Benedyktynek w Łomży. Po trzech latach wróciła Zosia do domu z najpochlebniejszém świadectwem swojego sprawowania się. Cieszyła się niewymownie pani Zacniewska z jej powrotu, bo się spodziewała że ją wyręczy w dozorze małych dzieci. Lecz wtém zmienil się los całej familii. Klęska po klęsce padała na zagrodę Zacniewskiego, grad zbil najpiękniejsze zboża, bydło zaraza do szcztetu wyniszczyła, stodoły ogniem spłonęły, i to wszystko w ciągu roku jednego. Wsparli go wprawdzie jak mogli sąsiedzi, bo go szczerze szanowali i kochali, przypadki te jednak nadwerężyły zdrowie pani Zacniewskiej, wpadła w ciężką chorobę i mimo starań biegłego lekarza rozstała się z tym światem. Było najdotkliwszy cios dla Zacniewskiego. Stałym umysłem zniósł on



wszystkie przygody, spokojnie powtarzał sobie wśród nieszczęść: *Pan Bóg więcej ma, niż rozdał; wziął jedno, da drugie*; lecz zgonu swojej małżonki zdawało się iż nie przeżyje. Jakoż wkrótce i on ciężką chorobą złożony, długo był w niebezpieczeństwie. Cały ciężar gospodarstwa, tyłą nieszczęściami nawiedzonego, dźwigała Zosia. Ona pielęgnowała chorego ojca, cieszyła go jak mogła, doglądała młodszego rodzeństwa, utrzymywała wszystko w porządku, tak dalece, że sąsiedzi zdumiewali się nad jej stałością i siłą, i wszyscy nazywali ją Aniołem stróżem p. Zacniewskiego. Przecież po kilku tygodniach ciężkiej słabości, ojciec przyszedł do zdrowia, więcej za staraniem Zosi, niż przez zabiegi lekarza. Rozrzewniony widokiem porządku i czystości w domu, patrząc na trudy Zosi, z głęboką pokorą dziękował Bogu, że mu tak dobre dał dziecię; pełna skromności córka nie przypisywała sobie żadnej ztąd zasługi; zdawało się jej, iż wszystko co tylko robi, to do jej obowiązku należy: ilekroć więc ojciec, lub który z sąsiadów unosił się nad jej pochwałami, rumieniec tylko oblał jej piękne lica i ze spuszczoneym wzrokiem odpowiadała, że do niej należy

pomagać ojcu i ulgę nieść w jego troskach. Zosia czuła mocno utratę najlepszej matki, i ile razy zdarzyło się jej samą z młodszym bratem i siostrami być w kościele, tyle razy po skończonem nabożeństwie, gdy się już wszyscy rozeszli, ona udawała się na grób matki, błagając jej opiekę i wstawienia się do Boga za osieroconą familią, bo mocno była przekonana, że matka za swoje cnoty używa szczęścia błogosławionych na łonie wieczności. Tak pokrzepiona modlitwą otarłszy łzy, wesóło wracała do domu z nowymi niejako siłami do następnych trudów; przy ojcu wszakże unikała nawet wzmianki o matce, aby nie rozdrażniać serca, które się uspokoić nie mogło. Spostrzegając to ojciec i szanował delikatność Zosi, wiedząc dobrze że te wspomnienia i jej serce równo dręczyły. Tak schodził czas i gospodarstwo pana Zacznieńskiego zdawało się polepszać, przynajmniej nie znać było nędzy, bo jej troskliwość Zosi nie dopuszczała. Sama ona poszyła sukienki młodszym siostram, pamiętała o przyzwoitym ubiorze brata, i z gospodarstwa kobiecego tyle oszczędzić potrafiła, że gdy nadeszła gwiazdka, dzieci odebrały podarunki tak jak za życia matki.

Ale to pozorne szczęście p. Zacniewskiego było powodem nowych dla niego trosków. Ratując się wśród tylu nieszczęść, musiał zaciągnąć małe długi, lub wstrzymać się z wypłatą należności; wierzyciele widząc go teraz w lepszym nieco stanie, mniemali, iż im się uiszczyć może, zaczęli więc upominać się zwrotu należitych im pieniędzy. Zacniewski, człowiek rzetelny, wdzięczny za ich długą cierpliwość, ujmował własnym potrzebom, aby zaspokajać wierzycieli. Zosia mu w tem pomagała. Tym wszelako sposobem myśleć już nie można było o wygodach, gdy nawet skromnym potrzebom nieraz uszczuplić trzeba było. Im bliższa jednak była nędza, tem weselsza Zosia cieszyła straszanego ojca.

Nadszedł adwent, mroźny był czas, wiatr szumiał koło ścian domu, dzieci obsiadły kominek dookoła, na którym sucha trzeszczała brzezina rzucając światło na izbę. Zosia przy małej lampce szyła na krosienkach, kończąc robotkę, za którą dzieciom myślała sprawić gwiazdkę w tym roku; późno wrócił ojciec z miasta, bardziej jak zwykle zmartwiony. Zerwała się od roboty Zosia i chciała ojeu zastawić wieczerzę już gotową, gdy ten rzekł: Nie trudź się moje dzie-

cię, nie będę jadł dzisiaj. Obstały dzieci ojca pytając troskliwie czy nie słaby?—Nie, odpowiedział ojciec, ale mnie martwi moje dzieci, że w tym roku nie będziecie miały gwiazdki, i Bóg wie!... Izy mu dokończyć nie pozwoliły. Zbliżyła się Zosia chcąc uspokoić ojca. Jeżeli to tylko trapi cię, kochany ojcze, rzekła, tedy bądź spokojny, już ja gwiazdkę obmyśliłam, będzie ona zapewne piękniejsza jak roku zeszłego. Uściskał ojciec Zosię i z rozrzewnieniem dodał. Twoje poświęcenie najwięcej mnie trapi; przewidując że nagrodą jego największa będzie nędza. Oto teraz sprzedałem dość dobrze ostatni korzec pszenicy, mając zamiar zebrane pieniądze poświęcić na gwiazdkę dla was, a tymczasem zabrał mi je wierzyciel, za resztę summy grożąc zajęciem inwentarza i sprzętów domowych; prośby nie nie pomogły, bo i on od nielitościwszego jeszcze wierzyciela zagrożony, musi się ratować jak może, na nas więc ostatni cios już spadnie. Bądź spokojny ojcze, dzieci się obejdą bez gwiazdki, a my potrafimy wierzyciela zaspokoić. Pan Bóg użychy mi siły, będę wieczorami pracowała i mam nadzieję, że się do Nowego roku wypłacimy. To mówiąc ucałowała rękę ojca i pobiegła do swoich kro-

sienek. Długo jeszcze zamysłony ojciec siedział na ławie przed kominkiem, a Zosia tymczasem siedząc przy krosienkach, uspokoiwszy się nieco z pierwszego wzruszenia, zcicha, anielskim swoim głosem zanuciła pobożną piosnkę: *Kto się w opiekę poda Panu swemu...* Śpiew Zosi obudził ojca pasującego się z różnemi myślami, nadzieja wstąpiła w serce jego, spokojniejszy nieco udał się wraz z dziećmi na spoczynek, a Zosia gasnącej dopiero odstąpiła lampki.

Nazajutrz wszystko szło trybem zwyyczajnym: dzieci po śniadaniu zabrały się do swojej nauki, Zosia zaspokoiwszy drobiazgi gospodarcze, siadła przy nich mając przy sobie swoje krosienka, gdy wtém koło południa zajeżdża piękny powóz, którego Zosia przed domem swoim nigdy nie widziała. Pan Zacniewski wyszedł na powitanie gościa, nie wiedząc ktoby nim był, i wkrótce wprowadził do izby młodzieńca pięknej postawy; było Pan Sieciech, dziedzic obszernych włości w sąsiedztwie położonych. Skłoniwszy się grzecznie Zosi, usiadł na krzeselku które mu podał pan Zacniewski; Zosia tymczasem wybiegła, aby przygotować, co można było na przyjęcie tak znakomitego i niespodziewanego gościa, nie my-

śląc bynajmniej o powodach jego przybycia. Pan Sieciech korzystając z nieobecności Zosi, bez długich wstępów odezwał się do pana Zacniewskiego: Szanowny sąsiedzie! nie będę cię trudził czczemi wyrazami, lecz wprost powód mojego przybycia objawię, pewny będąc że szczerości mojej źle tłumaczyć nie będziesz. Oddawna przypatrywałem się postępowaniu twojej córki, bywałem regularnie na nabożeństwach w parafii naszej na których się ona znajdowała, widziałem wszystko i wiem o wszystkim co ona robi. Ojciec mój umierając, te do mnie ostatnie wyrzekł słowa: „synu! dziezicu majątku i imienia mojego, zostawiam ci dochody aż nadto wystarczające na utrzymanie domu i familii, jeżeli więc zapragniesz przybrać towarzyszkę życia twojego, nie szukaj skarbów fortuny, bo ich sam masz podostatkiem, lecz staraj się znaleźć skarb cnót i przymiotów duszy.” Wierny ostatniej woli ojca, długo rozpatrywałem się w różnych stronach, długo szukałem tego skarbu, i znalazłem go w sąsiedztwie swoim w osobie córki twojej szanowny sąsiedzie. Jeżeli więc zgodzi się to z wolą twoją i z uczuciami cnotliwej Zosi, przybyłem prosić o jej rękę. Nie jestem jej znany, nie mam więc prawa nastą-

wać, aby się oświadczyła pierwój nim się z własném naradzi sercem, lecz zdaje mi się, iż mogę prosić o pozwolenie częstego bywania, a razem spodziewać się, iż i w domu moim Zosię wraz z jej szanownym ojcem i młodszém rodzeństwem będę mógł powitać.—Skończył pan Sieciech. Zacniewski tak niespodzianém oświadczeniem uderzony, nie mógł znaleźć wyrazów na wydanie uczuć i myśli tłumnie cisnących się. Wtém nadeszła Zosia, Ojciec zwracając mowę do niój, chciał się zdobyć na coś osobliwszego, lecz mu język odmawiał usługi; jękając się więc rzekł: „Zosiu! oto pan Sieciech przybył.... przybył.... zwiastując nam szczęście...” — Nie, przerwał pan Sieciech, przybyłem szukając własnego szczęścia, które w ręku pani złożone, od jej przyzwolenia zależy, na które oczekiwać będę jak długo pani rozkażesz. — Zrozumiała Zosia wyrazy Sieciecha, którego wzrok bardzo często napotykała przybywając na nabożeństwo do kościoła, zawsze bowiem obierał sobie miejsce naprzeciw niój; w tej atoli chwili, sama nie wiedziała co ma powiedzieć: choć więc serce co innego szeptało, ona jednak rumieńcem oblana, rzekła: Wola ojca

mojego jest dla mnie świętą, wszelkie życzenia jego spełnić jestem gotowa. — Więcej nie pragnę, rzekł pan Sieciech; czas reszty dokona. — Przyjął skromne śniadanie, jakie naprędce Zosia przygotowała, aby przez to mieć sposobność dłuższej rozmowy. Po śniadaniu zyskawszy pozwolenie częstego bywania, oddalił się Sieciech. Znał on dobrze stan Zacniewskiego, dlatego unikał w rozmowie wszelkiej okoliczności mogącej naprowadzić na objaśnienia przykre i dla Zacniewskiego i dla Zosi, mimo to wszakże postanowił nieść ulgę nieszczęśliwej familii. Jakoż spłacił zaraz dług najuciążliwszy dla swojego sąsiada i spodziewanego teścia; małemi darami, to zwierzyny, to potrzeb kuchennych, starał się pomnożyć jego wygodę, chronił się tylko, aby wyobrażeniem dobrodziejstw nie zniewolił serca Zosi, której przychylnosć zjednać sobie pragnął. Zosia też nie czuła wstrętu do pana Sieciecha, młodość jego, uroda, a nadewszystko piękne przymioty duszy, godnym go szacunku i przywiązania czyniły. Częstsze odwiedziny Sieciecha sprowadziły zwolna zaufanie i większą w rozmowach otwartosć. Bez wahania się przyjął Zacniewski zapro-



szenie na wigilią i udał się z Zosią i dziećmi, chociaż wiedział że na parę dni przed świętami zasłabł Sieciech i z domu swojego wyruszyć się nie mógł. Przyjął ich z uprzejmością Sieciech, choć mu bardzo przykro było że go słabego w łóżku zastali. Chciał się czemp prędzej ubierać, nie zezwolił jednak na to Zacniewski i usiadłszy obok łóżka na krzeselku, rozpoczął z nim rozmowę najprzód o chorobie i lekarstwach na nią, jak zazwyczaj z podobnychże niby przypadków wyciągniętych, następnie o gospodarstwie i różnych obojętnych przedmiotach. Zosia tymczasem z dziećmi, i siostrą Sieciecha do innego udała się pokoju. Zbliżył się wieczór: za ukazaniem się gwiazd na niebie, dano znak do stołu, wszyscy więc obecni zeszli się do pokoju Sieciecha, aby z gospodarzem domu rozłamać opłatek. Wśród pospolitych życzeń dzielił się Sieciech z panem Zacniewskim i siostrą swoją, z nieśmiałością niejaką przystąpiła i Zosia; spojrzawszy na nią, podając opłatek, rzekł: „Mogęz się wróżyć, iż rozłamany z panią opłatek nietylko chrześcijańskiej jedności, ale wzajemnego serc naszych zjednoczenia będzie godłem? Ojciec pani zu-

pełną w tym względzie zostawia jej wolność. — Nie nadużyję jej zapewne, odpowiedziała zapłoniona dziewczica, gdy stosownie do życzeń pana przyjmę z rąk jego tę część opłatka. — Z czułością całował jej rękę uradowany młodzieniec, zdało się, iż go słabość odstępiała i nowych sił przybyło.

Udali się wszyscy do sali jadalnej, wkrótce przybył i pan Sieciech, przeprosiwszy gości że był w pokojowym ubiorze; bawił się wesoło, osobliwie też z małemi dziećmi, którym różne dziwy prawił o gwiazdce. Nie byłato zbyt miła rozmowa dla Zosi, bo jej mimowolnie przywodziła smutne ich w tym roku położenie, ale też krótko trwała, gdyż zaledwie ruszyli się wszyscy od stołu, gwiazdka swoje przybycie zwyczajnym znakiem objawiła. Otworzyły się drzwi pobocznego pokoju, i w nim ukazał się stół pięknemi krzewami rozmarynu i myrtu przyozdobiony. Pomiedzy gałazkami ich ustawione jarzące świece, dostatecznie oświecały gustownie poukładane rozmaite dary i zabawki. Sieciech zaprosił tam dzieci i gości swoich, sam wszedł podawszy rękę Zosi. Dzieciom pozwolił wybierać sobie, coby się im szczególnie podobało, siostrze zaś swo-

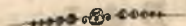
jój, panu Zacniewskiemu i Zosi osobno przygotowane upominki podał, uprzejmie prosząc o ich przyjęcie na pamiątkę dnia tak mu przyjemnego. Każdy się domyśli, że Zosia najkosztowniejsze dostała dary, lecz brat jój mały najszcześliwszym był gdy przywdział hulańską kurtkę, włożył na głowę kaszkiecik i z szabelką w ręku dosiadł pięknego kucyka na zgrabnych biegunach osadzonego, na którym się huśtał, jak gdyby na prawdziwym rumaku. Niemniej ucieszyła się siostra jego wzięwszy ślicznie ubraną lalkę, druga zaś ustawiwszy domek na ziemi, usiadła przed nim chcąc ustawić zastosowane do jego pokoju meble. Z rozrzwienieniem przypatrywała się Zosia usiadłszy na sofie, jak dzieci uszczęśliwione gwiazdki darami bawiły się jakby we własnym domu, nie troszcząc się bynajmniej od kogo i z jakiej pobudki pochodzą. Takim obrazem zajęta mimowolnie myśl uniosła ku wspomnieniu Matki, uczuła w całej mocy potrzebę jój rady i opieki w tak stanowczej chwili, i łza jój lica zrosiła. Ujrzał to Sieciech, siadł koło niej i starał się uspokoić wzruszenie którego przyczyny nie zgadywał. Nie żałuję, rzekła mu Zosia, z namięsłem wyrzeczonego słowa, lecz sierota

w najważniejszej epoce mojego życia, mogę obojętnie pomyśleć o przyszłości, wśród tych dowodów uprzejmości i dobroci. Ta troskliwość o uprzyjemnienie dnia dzisiejszego bratu i siostram moim, wkłada na mnie tém większe obowiązki, których nie wiem czy stosownie do życzeń moich dopełnić potrafię. — Życzenia moje spełnione, odrzekł Sieciech, skoro to pani mile przyjmiesz, a szczęście moje słowem jej jednem ustalone.

Wkrótce ta nowa para nierozzerwanym węzłem złączona, dotąd błogie życie prowadzi.

W tém zdarzeniu widzicie moje dzieci jak cnoty Zosi i jej poświęcenie się dla rodziny wynagrodził Bóg wtedy, gdy stan całej familii blizkim był rozpaczcy. Ani Zosia, ani Zacniewski, właściciel małego falwarczku, nie mógł pomyśleć, iżby dziedzic obszernych włości, znakomitego rodu, z imienia tylko i bogactw im znany, z którym połączyć się niejedna zamożna familia miała by sobie za szczęście, aby mówię taki Pan w ich skromnym domku, miał szukać dla siebie towarzyszki swojego życia; a przecież tak Pan Bóg rozporządził, i dla jego i dla familii Zacniewskich szczęścia. Pamię-

tajcież moje dzieci, że przy cnocie może  
być człowiek spokojny nawet wśród naj-  
większych nieszczęść, gdyż Bóg czuwa nad  
wszystkimi i nie opuści nigdy cnotliwego  
człowieka. //



## II.

### B A L.



Zbliżały się ostatnie dni zapust: już styczzeń był przy schyłku, mróz dosyć łagodny, niebo wypogodzone, powietrze czyste dozwalało mieszkańcom Warszawy używać miłej dla nich przejażdżki do Królikarni, Łazienek i na Wiejską kawę. Piękny chodnik Nowego świata zatłoczony był pieszemmi przechodniami, a po ulicy brzmiały różnotonne dzwonki sanek, tam i napowrót szybko po utartej i skłnianej drodze przemykających się. Wieczór się zbliżał, nowe niejednego wzywały zabawy. Ze starożytnego bowiem zwyczaju karnawał jest uprzywilejowanym czasem rozrywek, tak dalece, że choćby cały rok płakać na biedę

przyszło, przecież w ciągu karnawału bawić się koniecznie wypada. Zle to, czy dobrze niech nad tem moralisci głowę łamią, mnie bawi ten ruch, ta wrzawa, to skrzące ubieganie się za rozrywkami, póki te w stosownych zostają granicach.

W zamiarze rozerwania się idąc na Wiejską kawę, spostrzegłem w oknie dawnego kolegę szkolnego, który lekką słabością w domu zatrzymany, bawił się widokiem bawiących się; i on mnie ujrzał, zapukał w okno, i danym znakiem zaprosił do siebie. Po zwyczajnym przyjacielskiem przywitaniu, zająłem miejsce naprzeciw niego przy oknie, i nie bez wewnętrznego zadowolenia, patrzyliśmy, jak zwinnie koło okien naszych tam i napowrót przesuwały się sanki pełne uradowanych postaci; nieszczęściem wkrótce zciemniać się zaczęło; sanek nie ubywało wprawdzie, osobliwie wracających, lecz już trudno było dostrzedz i rozpoznać ludzi; usunęliśmy się więc od okna i rozpoczęła się rozmowa o zabawach tegorocznych. Wyliczyliśmy sobie nawzajem wieczory w gronie życzliwych przyjaciół z przyjemnością spędzone; następnie przyszła kolej na rozliczne zabawy, których tylko odgłos nas doszedł, gdy wtém przybył



młodzieniec, jakich nie mało liczy Warszawa. Z urodzenia nie wiem do jakiego stanu należy, z ubioru powierzchownego jest pierwszym elegantem, w mowie i poruszeniach wielki ton objawia. Ten nadał inny zwrot mowie naszej. Z szyderczém lekceważeniem bąknął o zabawach średnich stanów, z dyplomatyczną zaś powagą zaczął odslaniać tajniki zabaw możnych panów, których poufałą znajomością się zalecał. Zaczął wyliczać bale i wieczory tańcowe, mające nastąpić przed rozpoczęciem postu, rozvodził się nad zabawami mającemi uprzyjemnić długie jeszcze wieczory, w których nie religia wprawdzie, lecz silniejsza od niej dziś moda, tańca nie przypuszcza; lubo dziś, jak się wyraził, są przeciw towarzystwa, które się umieją wzniesć nad wszelkie przesady, i zpośród zabaw swoich tak miłej rozrywki jaką jest taniec, ani w poście, ani w adwencie nie wykluczają, byleby się ohocho do tego zebrało grono. Ja na tém, rzekł, prawdziwą mądrość zasadzam; wesołość jest przyprawą życia ludzkiego, jedynym więc celem dążeń naszych być powinna. Zaiste cóżto za przykry widok przedstawia ów chudy literat, co rok cały bezsenne trawił noce, w najpięk-



niejsze wiosny poranki zgarbiony dukwiał nad książką, by zlepiwszy dziełko zyskał na niem tyle, ile za ledwie na opłatę pomieszkania nędznego i skąpego opału wystarczy. Po wywiedłych licach jego i zapadłych oczach, widać jak sława literacka tuczy. Albo proszę wejrzyć na skrzętnego gospodarza: w wytartym surducie brnie po błocie swojego dziedzińca, dogląda niechętniej i nienajlepszej wiary czeladzi, by w najlepszym wypadku owocem swoich czuwań opłacić regularnie podatki, oddać należne myto służącym, i jakotako dociągnąć do przednowku. Niech co chce będzie, niemasz życia jak w wielkiem mieście, niema przyjemności, tylko w wyższych towarzystwach. Pan Umnicki, który się zaszczyca szkolnem koleżeństwem ze mną, nudził mnie kilka tygodni prośbami, żebym go odwiedził. Nie miałem wielkiej ochoty, bom przeczuwał co mnie tam czekać może, przecież zebrałem się w przeszłą niedzielę. Cały tydzień po całych nocach szalenie tańcząc, potrzebowałem odpoczynku, wszystko mi więc jedno było, czy nudzić się w domu, czy ziewać u pana Umnickiego, a raz przecie zbędę się jego natręctwa. Wchodzę, zastaję kilkanaście karykatur

mężkich i żeńskich, wrzaskliwą dysputą zajętych; ucichło na chwilę, gospodarz przedstawił mnie towarzystwu, podał krzeselko, i punkt sporny mojemu sądowi poddał. Szło o oznaczenie zasługi w literaturze krajowej Krasickiego i Karpińskiego. To mi przedmiot do zabawy, pomyślałem sobie; ja co dzięki Panu Bogu, niedawno z wielką radością opuściwszy szkoły, pożegnałem się z bajkami Krasickiego, mam dziś wyrokować o jego zasługach! Żeby wszakże utrzymać należyte o sobie wyobrażenie, „rzecz ta głębokiego potrzebuje namysłu, rzekłem: takich filozofów jakimi byli Krasicki i Karpiński” . . . . . w tej chwili całe towarzystwo tak hucznym parsknęło śmiechem, taki się gwar wszczął, że ja z litością spojrzawszy na to nieokrzesane zgromadzenie, przysunąłem się do jednej z dam i rozpocząłem rozmowę o modnych kolorach sukien, nie zważając bynajmniej na tok rozprawy mężczyzn. Wkrótce umilkła wrzawa, pan Umnicki rzucił na stół świecę, jak mówił numerą jakiejś Biblioteki Warszawskiej, jakiegoś tam *Athenum* (\*)

---

(\*) Athenaeum, pismo poświęcone historii, filozofii, literaturze etc.

i coś do Rewii podobnego, bom nawet dobrze nie dosłyszał. Rzucili się wszyscy jak gdyby do najdelikatniejszego pasztetu i moja dama posnęła się do stolika, a ja dzięki temu zajęciu, niepostrzeżony wymknąłem się zręcznie, przysięgając, że mnie więcej nie złowią do podobnej zabawy. — To mówiąc powstał, ukłonił się nam według zasad tancerskich, i wśród oklepanych frazesów grzeczności pospieszył na wieczór da hrabiego B. Zdumiony bezwstydnoscią młodzieńca, który w obec dwóch miernego stanu ludzi, tak szydził z podobnych nam istot, nie mogłem pojąć dlaczego mój kolega, przyjaciel pana Umnickiego, nie stanął przecie w jego obronie, i młodzikowi stosownej nie dał przestrogi. Odgadnął znać myśli moje kolega i rzekł: Otóż masz obraz znakomitej liczby naszej młodzieży, która się sama zowie salonową, choć salony z powieści zna tylko, lecz rzeczywiście i salonowa nie więcej warta od niej. Dawniej oburzała mnie taka bezczelność, lecz widząc że jej poprawić nie potrafię, cierpliwie znoszę i z politowaniem słucham niedorzecznej gadaniny. Ten który nas pożegnał, jest synem pełnomocnika znakomitego domu, skończył niedawno drugą

klasę powiatowej szkoły, lecz sam wmówił w siebie, że należy do familii domu z którego czy względności, czy nierozsądku ojciec jego już trzy piękne wioseczki skorzystał. Dziwna rzecz, że sam skromny, pracowity i zabiegły, pozwala synowi ścierać bruki warszawskie bez żadnego celu. Być może, rzekłem, iż nie chce zaprzeczyć starożytnemu przysłowiu: „jak przyszło, tak poszło,” boć ja znam niemało takich paniczów, co z okrucichów cudzych znaczny zebrawszy mająteczek, szydzili z tych których podskubywali, gardzili tymi, którzy uczciwą pracą na skromne zarabiali utrzymanie; a zato godni ich synkowie w próżniactwie i gnusności wychowani, strawniejszy rodzicielską puściznę, wycierali kąty u tych, którymi niegdyś pomiatali. Cóż lepszego może czekać panicza, który tytułów nawet książek nie pamięta i tak się ich boi jak lew ognia, a wilk sznura: oto zabawą czas truć koniecznie musi, roznosić nudy od komina do komina, a pan ekonom w wiosce tak będzie łowił, jak niegdyś ojciec w dobrach pańskich. Mniejsza że dobra w cudze ręce przejdą, lecz strata oczywista dla kraju w zniszczonych wsiach, zmarnowanych inwentarzach, wyplenionych

gruntach. Zresztą przybywa taki szerszeń, co przebręczawszy wiosnę i lato swojego życia, na zimę staje się próżnym ciężarem towarzyskiego ula. Oj to namiętne ubieganie się za rozrywkami, niejedną już zrujnowało familią, niemało przymnaża co rok nędzy, której najlitościwsze pracowitych i skromnych ludzi serca skutecznie wesprzeć nie zdołają.

Łatwo to, odezwał się mój kolega, rozwodzić się nad skutkami złego, ale wskazać środki zaradcze trudno. Zabawy były od wieków i będą; w innych narodach hućniejsze jeszcze i kosztowniejsze wymyślają rozrywki, większy szal ogarnia umysł, a dobrze im z tém, zdaje się nawet, że same rządy temu sprzyjają.

To jest rzecz widoczna, odpowiedziem, że rządy gdzieniegdzie przykładają się do nadania pewnej świetności zabawom, i bardzo słusznie, bo przez to utrzymują przemysł i zapewniają wygodny byt pracowitej rzemieślniczej klassie: cóżto jednak za różnica, spojrzeć na wieś lub miasteczko zagraniczne, wejść do domu niemieckiego wieśniaka, lubo zamożniejszego nieco obywatela, wszędzie ujrzysz wybitne śla-

dy rozsądku, pracowitości i oszczędnego gospodarstwa. Żartujemy sobie ze skromnych uczt i domowego życia Niemców, a oni podobno słuszniejby ubolewać mogli nad naszą świecąą nędzą. Nie chciałbym ręczyć czy u nas w Warszawie w jednym dniu karnawałowym nie więcej rozleją szampaña, niż go w całym roku wypotrzebują w Berlinie, choć pruskie fabryki niemało go nam dostarczają; ale też za to nie ma tam i połowy tych czerstwych żebraków, którzy pod różnymi tytułami gdzie mogą wydzierają jałmużnę: nędza w całym roku nie wyciśnie tyle łez, ile ich tu niejedna familia o głodzie i chłodzie w ciągu postu wyleje. Przyznaję że i w innych krajach znajdują się zabawni panicze, nie są oni wszakże tyle szkodliwi co u nas, bo się przecież do czegośkolwiek w młodości przysposobili. Co się zaś tycze środków poprawy, te są w ręku rodziców. — Ciekawy jestem jakie? odezwał się mój kolega. — Są rozmaite, byle tylko nad nimi pomyśleć chciano, odpowiedziałem. Jeżeli będziesz miał cierpliwość posłuchać mnie, opowiem ci jeden z pomiędzy nich, o którego wiarygodności będziesz się mógł przekonać. — Jak najchętniej, rzekł.

Właśnie gdym mówić zaczynał, wszedł brat mojego kolegi z żoną, starszą córeczką około czternaście lat mieć mogącą i młodszym może o rok synkiem. Jedziemy, rzekł na wieczór do państwa M\* . . . i po drodze chcieliśmy się dowiedzieć o zdrowiu braciszka: to mówiąc wyprowadził go do drugiego pokoju: krótka była rozmowa, brzęknęła sakiewka i ostatnie tylko wyrazy doszły uszu moich: „zastanów się jednak mój bracie, że i ja mam moje wydatki, a dochody daleko szczuplejsze od twoich.” Nie słyszała tych wyrazów bratowa mojego kolegi, gdyż zajęta suknią i ułożeniem figury swojej córeczki, ostatnie dawała jej jeszcze przestrogi. Wrócili obadwa bracia z niebardzo wesolą miną, gdy bratowa poprawiając od niechcienia fryzurkę syna, odezwała się: „Braciszek, widzę jeszcze dużo cierpiący, bo też tak się zamknąć w domu, to koniecznie chorować trzeba: wierz mi braciszek, że zabawa życia dodaje.” — Właśnie też rozmawiamy o zabawach, i ten pan miał mi wskazać środki na ich poskromienie. — Czy pan taki nieprzyjaciel zabaw, zagadnęła mnie; ciekawa jestem coby w tém tak złego było. — Bynajmniej pani, odpowiedziałem, nie jestem przeciw zabawom,

a nadewszystko zastosowanym do stanu i możliwości, radbym jedynie powściągnąć namiętne za rozrywkami uganianie się. — To wcale co innego, wtém ma pan zupełną słuszność, rzekła; ja przyznam się panu pa-trzyć nie mogę na te kobiety co to chorują gdy się bawić nie mogą; sama niebardzo lubię zabawy, i jeżeli bywam na nich to wię-ciej dla mojej Julci, żeby się przecie obezna-ła ze światem, a dzięki znajomościom na-szym prawie codzien gdzicindziej nas za-praszają, tak dalece, że ledwieśmy mogli trzy razy u siebie skromny dać wieczorek. Mężu! która też godzina? żebyśmy się nie spóźnili. — Ósma, odpowiedział mąż. — Do-piero! to jeszcze mamy dosyć czasu. Dzi-wny też to ten wielki ton, żeby zabawy roz-poczynąć dopiero o dziesiątej, a trzeba się koniecznie do niego stosować. Tym sposo-bem mamy jeszcze dosyć czasu, możemy posłuchać jeżeli pan będzie łaskaw rzecz swoją kończyć. — Bardzo chętnie odpowie-działem, lecz naprzód przepraszam za mniej zgrabne opowiadanie.

Państwo znacie Sieciecha, bogatego a przy-tém powszechnie poważanego obywatela. Rodzice moi mieszkali w sąsiedztwie, przez co miałem sposobność być prawie codzien-



nym gościem w jego domu; jakim sposobem zasłużyłem na jego zaufanie, tego nie wiem, dość że poufałój i z większą otwartością ze mną rozmawiał, jak z kimkolwiek innym. Małżonka jego, pani uajszlachetniejszych pełna przymiotów, z pięknym ukształceniem umysłu ujmujący łączyła dowcip. Dlatego wszystkim nader miła, pożądaną była wszelkich towarzystw ozdobą. Przywiązany do niej mąż, starał się zgadywać jej myśli, i uprzedzać życzenia; nawzajem pani Sieciech pragnęła każdą chwilę mężowi swojemu uprzyjemnić; radaby była przeniknąć duszę jego, aby nigdy przeciw woli jego nie postąpić. Byłto jedyny wzór życia domowego w całej okolicy, tém osobliwszy że nie budząc zazdrości, wzniewał chęć naśladowania. Majątek i ukształcenie pana Sieciecha nadawały mu w towarzystwie to znaczenie, iż każdy miał sobie za największe szczęście mieć go u siebie, należeć do jego towarzystwa. Dlatego życie państwa Sieciechów było nieprzerwanem pasmem wesołej zabawy. Nie można było powiedzieć aby oni szukali rozrywek, owszem rozrywki za nimi się ubiegały, bo oni duszą ich byli. Zabawa pani Sieciech była skromna, miła, bez żadnego

przymusu. Niepojętym sposobem umiała ona połączyć wszystkie obowiązki płci swojej: była najlepszą żoną, kochaną i szanowaną od wszystkich panią, rządzoną gospodynią, czułą, troskliwą matką. Jedyńą pan Bóg dał im córeczkę, w tej pani Sieciech całą pokładała nadzieję, jej wychowaniu poświęciła się z całym zapalem szlachetnej duszy; rzecz dziwna! nie brakło jej czasu do tego. Emilka od niemowlęcia nicodstępna towarzyszka matki, przeznaczona była odziedziczyć jej cnoty i przedstawiać jej obraz, skoro się podobać będzie Opatrzności powołać matkę do siebie. Nastąpiło to prędzej niż się spodziewano, i niżby sobie wszyscy życzyli. Zaledwie Emilka czternastą wiosnę ujrzała, gdy została sierotą i jedyną pociechą nieutulonego w żalu ojca. Widok dziecięcia najwierniejszy obraz matki przedwcześnie zgasłej przedstawiającego, tém większą boleścią ścisnął serce Sieciecha, że je widział osierocone w chwili, w której rady i opieka matki najpotrzebniejsze. Czas, jedyny lekarz w nieodwrotnych przygodach życia, nie wygluzował wprawdzie z umysłu Sieciecha i Emilki obrazu uwielbionej żony i matki, ale przynajmniej złagodził boleść. Pan Sieciech przeniósł

się do Warszawy, aby mieć większą łatwość dokończenia wychowania swojej córki.

Dwa lata szybko minęły, Emilka dosięgała kresu naukowego ukształcenia kobiet, a ojciec z radością przypatrywał się jej pięknym czuciom, należycie rozwiniętemu rozsądkowi i nabytym wiadomościom, które zdobiąc kobietę nie wznoszą jej przecież za obręb jej płci właściwy. Wprowadzona na kilka zabaw towarzyskich wnet uprzejmością swoją zwróciła wszystkich oczy na siebie i stała się miłą i poszukiwaną zabawozdobą. Zrazu pochlebiali to miłości własnej ojca i sam poniekąd był powodem częstszych rozrywek panny Emilii, sam pamiętał o jej stroju, i zdawał się niemałą do tego przywiązywać wagę, aby ten był wykwintniejszy niż jej towarzyszek. Przy majątku pana Siciecha nietrudno było zyskać pierwszeństwo w tym względzie: gust modniarek warszawskich potrafił dodać niemało wdzięku naturalnym powabom Emilii, które wrodzona skromność miłym blaskiem otaczała. Nic więc dziwnego że na każdym balu, na każdej zabawie z tańcami połączonęj, panna Emilia ani chwili wypoczynku nie miała. Spostrzegł się ojciec trochę zapóźno; córka jego już w dzieciństwie

dosyć ochoty do tańca okazywała, rozsądne tylko postępowanie matki nie pozwalało rozwijać się widocznej tej skłonności, i Emilka sama nie wiedziała że jej zarody w swém sercu mieściła. Ojciec zbyt zafany w pięknych uczuciach swój córki, jako mężczyzna niezdolny dostrzegać delikatniejszych odcieni wzmagających się żądź kobiety, sam dopomógł do rozwinięcia się zarodu namiętności, z którą później trudną toczyć walkę musiał, i która mu niejedną chwilę niepokojem zatrula. Emilka powolna była na najmniejsze skinienie woli ojca, lecz pan Sieciech wiedział, że rozkaz przytłumia namiętność, ale jej nie wykorzenia, a tego ostatniego pragnął dla szczęścia ukochanej córki. Tymczasem bal po balu, zabawa po zabawie następowała, Emilka dnia jednego wypoczynku nie miała. Zapowiedziano bal u państwa K.; pan Sieciech osobiście przez gospodarza zaproszonym został wraz z panną Emilią. Trokliwy o zdrowie córki chciał się wymówić, lecz przywiązanie przemogło nad rachubą rozsądku; nie chcąc przykrości robić córce zezwolił. Tańczyła Emilia jak zwykle noc całą, sale były zbyt ogrzane, powietrze zewnątrz zbyt mroźne; Emilia wra-

cając zaziębiła się i wpadła w chorobę. Utrudzenie poprzednie powiększyło jej niebezpieczeństwo i przez tydzień cały ojciec blizkim był rozpaczy. Przecież biegłość lekarzy zwalczyła moc słabości, natura dość silna pomogła, i jedyna pociecha ojca wyszła z niebezpieczeństwa, prędej nad spodziewanie odzyskała siły. Jak wielkie było udręczenie ojca w czasie przykrój słabości, tak nie mniejsza nastąpiła radość przy odzyskaniu zdrowia, tém bardziej, że sobie roił nadzieję, iż to córkę uleczy z jej zgubnej namiętności. Jakże się zdziwił, a zarazem zmartwił, gdy córka tylko co do pierwszych wróciwszy sił, przyjęła z ochotą zaproszenie na ostatni bal karnawałowy. Na przedstawienia ojca, nastąpiły usprawiedliwiające odpowiedzi, wreszcie oświadczenie zgodzenia się z jego wolą, jakkolwiek szczere, przecież przykrości przymusu pokryć niezdolne. Tu już ojciec ujrzał, że namiętność górę wzięła, że o innych trzeba myśleć środkach wykozerzenia.

Nadeszła wiosna, pan Sieciech po trzech latach niebytności na wsi, postanowił tę miłą porę w dobrach swoich przepędzić.

Panna Emilia szczęśliwa była ze ujrzienia miejsc w których rozkoszną młodość spędziła; jakoż z widoczną przyjemnością zwiędzała wszystkie ustronia, które ją w dzieciństwie bawiły. Lecz wkrótce przywykła do wrzawy wielkiego miasta nudzić poczęła cicha samotność wiejska; odwiedziny sąsiadów nie sprawiały jej téj przyjemności, jaką czyniły świetne towarzystwa miejskie. Zjawiały się chwile w których jakaś tęskna posępność ogarniała jej duszę. To skłoniło pana Sieciecha iż w środku lata wrócił do miasta; lecz i tu panna Emilia nie znalazła już tych zabaw za któremi tęskniła, humor jej wyraźnie zmieniać się począł. Ojciec, częścią dla rozpędzenia nudów, częścią dla obudzenia nowój namiętności by pokonać dawną, namówił córkę do uczenia się malarstwa. Uproszony najznakomitszy malarz do dawania lekcyj, takie wkrótce potrafił wzbudzić zamiłowania swojej sztuki w sercu młodej uczennicy, że ta z największą przyjemnością dnie całe przy krosienkach malarskich przepędzała. W miarę postępu w sztuce wzrastało upodobanie do niej, a ojciec z radością odkładał znaczne summy na zakupowanie obrazów znakomitych mistrzów, aby tém silniej

przywiązać umysł córki do sztuki, która jak sobie tuszył namiętność do tańca przytłumi.

Minęło skwarne lato, przyszła i dżdżysta jesień, za nadejściem zimy wróciły zwykle zabawy. Panna Emilia mniej wprawdzie okazywała chęci do nich, nie pozbyła się jeszcze wszakże ze wszystkiem dawnego pociągu. Dość to było dla troskliwego ojca, gdy ujrzał namiętność znacznie zlagodzoną, gdy nieraz dokończenie ropoczętego krajobrazu, wstrzymało córkę nawet od tęsknie oczekiwanej zabawki; cieszył się tem w nadziei że czas reszty dokona. Tak przeszło kilkanaście dni dość długiego w owym roku karnawału, gdy doszła wieść panny Emilii, że państwo Bogaccy zamierzają dać bal, który świetnością przewyższyc ma wszystko cokolwiek dotąd widziała Warszawa, że co tylko jest najznakomitszego w mieście, to się ubiega o zaszczyt należenia do zaproszonego na tę zabawę towarzystwa. Serce panny Emilii mocniej bić poczęło, niespokojność opanowała jej umysł, paleta wypadły z omdlałej ręki. Odmówiła ona już kilku zabaw i balów, ztąd rozmaite dochodziły ją podszepty, pewna więc była że pani Bogacka nie umieści jej

na liście zaproszonych, uprzedzać zaś ją uważała za przeciwne miłości własnej. Gdy się tak pasowała z uśpioną na chwilę namiętnością, przybywają z odwiedzinami państwo Bogaccy i jako największy zaszczyt zamawiają sobie bytność panny Emilii z ojcem na ich skromnym baliku, jak nazwali. Wymienienie osób zaproszonych, opis urządzenia całej zabawy, zaostrzył ciekawość panny Emilii w najwyższym stopniu, tak że nie tylko postanowiła wyjednać chętnie zezwolenie ojca, ale nadto przyczynienie się jego do świetnego wystąpienia.

Małej rzeczy potrzeba aby całą zainteresować Warszawę: bal państwa Bogackich poruszył wszystkich. Modniarki dzień i noc przygotowywały suknie, czepeczki, stroiki; kupcy pocztą sprowadzali towary; kompozytorowie nowe układali tańce, a zamówiona orkiestra zawczasu stroiła instrumenta. Nigdzie o niczem nie mówiono tylko o balu, każdy jakiś nowy szczegół w urządzeniu jego opowiadał. Pan Sieciech dał córce sto dukatów na sprawienie stroju balowego, w tym celu wezwała ona najznakomitszą modniarkę, aby jej przysłała próbki materij, i jeżeli być może wzór sukien w najlepszym guście. Dopełniła życzeń panny



Emilii modniarka ożywiona nadzieją dobrego zysku: zaufana i dobrze z cenami różnych przedmiotów obeznana osoba wniosła do pokoju kilka pudełek. Szybko przetrzuciła panna Emilia próbki, wybrała najgustowniejszą materję i właśnie oglądała krój sukni, gdy wtém wszedł nauczyciel malarstwa i nie zważając na zajęcie panny Sieciech, z uniesieniem odezwał się do niej: „Pani! przechodząc ulicą Franciszkańską, spostrzegłem w sklepie obraz przepyszny; pewny jestem że to jest pęzel albo Szmu-glewicza, albo Czechowicza, bo w tém zachwyceniu nie miałem nawet czasu dobrze rozpatrzeć się, biegłem czémprędzej donieść pani życząc abyś go pani nabyła jak najprędzej, bo kupiec mi powiadał, iż trzech już lubowników targuje, i jeden z nich daje tysiąc złotych, kupiec żąda tysiąc dwieście. Zważ pani czy niema niebezpieczeństwa w ociąganiu się, czy nie-trudno będzie temu, co już tak znaczną summę daje, postąpić jeszcze te dwieście złotych, a wówczas co za szkoda!” Uniesienie malarza niebardzo zainteresowało pannę Emilią; przez greczność jednak obracając się do niego, zapytała się w tonie niejakiego zajęcia: „Cóż proszę przedsta-

wia ten obraz?" — Ah pani! mniejsza o to co przedstawia, ale jak!... ręczę pani że galeryja drezdeńska nic podobnego nie ma. Jestto scena z familijnego życia jakiegoś zamożnego domu. Nauczyciel muzyki siedzi przy fortepianie, którego formę raz jeden zdarzyło mi się widzieć w Paryżu; obok niego siedzi mały chłopczyna, a drugi starszy przy osobnym pulpicie gra na skrzypcach. — Na te wyrazy twarz kobiety ze strojami przybyłej widocznie mieni się poczęła, nogi się jęj zachwiały, tak że się mimowolnie o poręcz krzesła oparła; malarz zaś dalej swój opis prowadził:—Z drugiej strony stoi maleńka dziewczynka z braciszkiem prosząc nauczyciela aby im ulubioną sztuczkę zagrał; w końcu fortepianu panienska około dwanaście lat mieć mogąca z lalką swoją zabiera się do tańca; jakiżto wyraz w jęj twarzy, jak ujmujące wdzięki!... Odgłos przestachu panny Emilii przerwał mowę zachwyconego malarza, obraca się szybko i spieszy na pomoc mdlejącej kobiecie.

Przy troskliwem zajęciu się panny Emilii i przy pomocy służących niewiast odzyskała przytomność kobięta, westchnęła głęboko i strumień łez oblał jęj lica, których

wdzięk niezupełnie wygasł pod przewagą czasu. Gdy się nieco uspokoiła, „daruj pani, rzekła, żem się stała przyczyną jej przestachu; mocniejsze nad siły moje wrażenie, a nadewszystko niespodziewane, były przyczyną tego wzruszenia. Ten obraz... znowu łzy i łkanie przerwało jej mowę na moment; ten obraz ręki Czechowicza należał kiedyś do mnie, a dziewczynka, którą z takim uniesieniem opisywał ten pan, jest moim portretem z wieku dziennego. Blask szczęścia otaczał moją kolebkę, pomyślność sprzyjała zamężciu; niebaczna, nie pomyślałam nawet o zmienności losu, a teraz, oto mój cały sposób utrzymania.— Jakież nieszczęścia mogły panią przywieźć do takiego stanu? zapytała panna Emilia.— Niczego się pani nadzwyczajnego odemnie nie dowiesz, rzekła spokojniejsza już nieco kobieta; sąto aż nadto pospolite między ludźmi przypadki, pragnęłabym wszakże, aby los mój mógł być obecnym każdej kobiecie namiętnie zabaw szukającej.

Ojciec mój stał na czele znakomitego domu handlowego w Gdańsku; miał obszerne związki z Londynem, Paryżem, Sztokholmem, Warszawą, Berlinem i Wiedniem. Ciągłe powodziło mu się dobrze, niezmiar-

ne w handln odnosił korzyści; ale też zato dom swój na stopę książęcą utrzymywał. Co tylko mogło być najwykwintniejszego ze sprzętów, sukien, napojów i pokarmów, to wszystko u nas się znalazło. Zaledwie zjawił się trójkątny fortepian w Paryżu, natychmiast go ojciec mój na gwiazdkę dla mnie sprowadził. Trzech miałam braci i jedną siostrę, ze wszystkiego atoli roduństwa ja największe względy zyskałam ojca, bom była najweselsza, śmiała i najzręczniejszą tańczyłam ze wszystkich rówieśniczek moich. Ze to się ojcu najbardziej podobało, i że znajomi potakując słabości jego nie szczędzili pochwał mojej zgrabności, dlatego też jedna tylko lekcya tańca była dla mnie przyjemną, resztę zbywałam jak mi się tylko udało. Zaledwie czternastego roku życia doszła, a już na wszystkich balach i zabawach taniec moj podziwiano.

Ze wszystkich związków jakie ojciec mój miał, najkorzystniejsze były z Warszawą z domem handlowym pana S.; jeszczem ja była dziecięciem, kiedy syn pana S. był w kantorze ojca mojego i zyskał jego zupełne zaufanie, tak iż już wtedy było życzeniem ojca mojego połączenie nasze do-

prowadzić do skutku. Młody S. czy przez jakiś pociąg, czy przez wrodzoną mu grzeczność, przynosił mi zawsze zabawki, karmelki, różne owoce i na każdej zabawie mną się wyłącznie zajmował. Udał się on potem do Anglii, zwiedził Francją, Niemcy, i kiedy w kilka lat przybył do Gdańska w interesach ojca swojego, zastał mnie już dorosłą panną. Wnet odświeżyła się dawna znajomość, obudziły się nowe uczucia, i rodzice nasi pobłogosławili związkowi któremu szczęście rokowali. Cały Gdańsk zdumiewał się nad okazałością wesela naszego, a jeszcze nieledwie świetniejsze było przyjęcie mnie w domu rodziców męża. Mnie małam że celem i przeznaczeniem życia mojego jest zabawa: Warszawa do tego i obszerniejsze i wdzięczniejsze pole otwierała niż Gdańsk, w którym skromność niemiecka w samych zbytkach nawet przewodziła.

Wkrótce mąż mój stanął na czele handlu ojca swojego, zasilony znacznym posagiem rozszerzył zakres swojego działania: wzrastały niesłychane kapitały, którymi obracał, utwierdzało się zaufanie jego. Korzystając z niewyczerpanych, jak mi się zdawało, dochodów, nie pominęłam żadnej

zabawy, do której mogłam należeć, a bale u mnie wyprawiane wystawniejsze koniecznie być musiały, niż u najzamożniejszych panów. Tym sposobem wydatki na utrzymanie świetne domu powoli zaczęły przewyższać dochody, kredyt tylko jaką taką utrzymywał równowagę. Po śmierci ojca mojego najstarszy brat mój objąwszy handel, nieudolnością swoją, a bardziej jeszcze nieddalstwem utracił ufność i wrócił do mierności z której go śmierć dopiero wybawiła.

Średni zginął na placu bitwy, najmłodszy poświęcił się malarstwu, udał się do Anglii i dotąd o nim nic nie wiem. Siostra najlepiej wyszła: mąż jej budowniczy, nie ma wprawdzie nic na zbytki, ale mu nie brakuje na potrzeby. Los mojego rodzeństwa powinien był zrobić wrażenie na umyśle moim i na lepszą naprowadzić drogę, lecz namiętność górę wzięła i ta mnie do ostatniej chwili zaślepiała.

Pięć lat temu, na początku karnawału odezwał się mój mąż: tego roku jeden tylko bal damy, bo to zawiele kosztuje, a interesa nasze nie są w tak świetnym stanie. Tém bardziej, odpowiedziałam, zamiast dwóch powinniśmy dać trzy, aby ludzie

nie mówili żeśmy blizcy bankructwa. Słusznie, odrzekł mąż, więc zaraz na trzy króle pierwszy. Trzeba więc, odezwałam się, zawczasu rozgłosić i znajomych uprzedzić, aby kto inny w tym dniu nie wystąpił. Chętnie zgodził się na to mąż, i natychmiast zajęliśmy się przygotowaniem. Bal państwa Bogackich, o którym dziś tyle rozmawiają, skromną byłby zabawką obok świetności z jakąśmy wówczas, niestety! ostatni raz wystąpili. Zjechali się goście, rozległe sale pomieszkania naszego czarodziej-ski przedstawiały widok, brzmiała dobrana muzyka, a koło wesołych tancerzy bawiło oko miłą różnaitością koloru ubiorów, które w szybkim tańca obrocie, jakby w jedną różnobarwną zlewały się tęczę. Noc zakrótką zdała się bawiącym, i dopiero ze świtem zamilkł ostatni dźwięk muzyki. Nastąpiła cisza, która poprzedzała wiszącą nad głowami naszymi burzę, lecz serce moje upojone radością nie przeczuwało jej wcale: spokojna udałam się na spoczynek.

Zaledwie sen znużone sklecił powieki, gdy służąca moja wpada z krzykiem: Pan niebezpiecznie zasłabł! Zrywam się, biegnę, już go zastaję ledwie iskierkę mającego przytomności; konwulsyjnie ścisnął

mnie za rękę, upuścił nieszczęsny list, który machinalnie podniosłam, nie mając dość siły do jego przeczytania. W kilka chwil potem ujrzałam się na swoim łóżku jakby ze snu głębokiego obudzona; lekarz domowy tuż siedział na krzeselku. Co się z mężem stało? zapytałam go żywo;— „Pani o własnem myśl zdrowiu, odpowiedział rozczulony starzec, mąż już nie potrzebuje pomocy.” Jakżem wtenczas gorąco pragnęła śmierci! lecz Bóg nie przeznaczył jeszcze kresu dniom moim, zapewne by mi dozwolić czasu na odpokutowanie za błędy moje.

Przyszedszy nieco do siebie, czytam list, nagłego zgonu męża mojego przyczynę; byłoto zawiadomienie o upadku domu handlowego w Hamburgu, który zupełny nasz upadek pociągał za sobą. Otworzyły się oczy moje, ujrzałam przepaść niezglębioną pod nogami, rozpacz ogarnęła duszę moją, wpadłam w niebezpieczną chorobę. W tym czasie opieczętowano składy, przejrano rachunki, przekonano się że cała masa na opłacenie połowy długów nie starczy. Litością ujęci sędziowie rok blisko ciągnęli tę sprawę, wyznaczyszy mi małą sumkę na utrzymanie. Lecz po skończe-



niu sprawy i ten zasiłek ustał. Zniknęli przyjaciele, znajomych nawet znaleźć nie mogłam; zostawiona sama sobie, do żadnej pożytecznej i korzystnej pracy nie przywykła, wyglądałam rychło głód i nędza przetnie pasmo nieszczęśliwego życia.

W tak smutnym stanie znalazłam litość u tej modniarki, którą w błogich dla mnie czasach hojnie wspierałam. Ona mi dała przytułek, przez wdzięczność wyręczam ją w czem mogę, i tak nędzne wiodę życie. — Tak kończąc opowiadanie, łzami się znowu zalala, lecz także łza czuła błysnęła w oczach Emilii: szybko się podniosła, zawinęła ofiarowane sobie przez ojca na suknię balową pieniądze, a kładąc w rękę nieszczęśliwej kobiety, rzekła: miła mi przestroga pani, dziękuję za jej przysługę; już na ten raz bez balowej obejdę się sukni, a jeżeli tym skromnym darem ulżę jej niedostatku, miłsze to będzie dla mnie nad wszelkie zabawy.

Zamyśliła się bratowa mojego kolegi, i czas niejaki w tém zadumaniu siedziała, póki się nie odezwała córeczka: Mamo! ja bym się odtąd z wielką ochotą szyć uczyła, bo w takiej biedzie do jakiej ta bogata kupcowa przyszła, wołałabym przecież szyć

gdzie, jak stroje po domach roznosić. — Masz słuszość moja Julciu, odezwał się mój kolega; trzeba się uczyć pożytecznych rzeczy, nietylko na przypadek niedostatku, ale nawet zdadzą się one i w dobrym stanie; lecz nadewszystko ucz się moje dziecię oszczędności i panowania nad sobą. Ta pani nieszczęśliwa jest teraz, że się w młodości niczego pożytecznego nie nauczyła, lecz do tego nieszczęścia przywiodło ją zbytne zamiłowanie zabaw, strojów i nierozsądnej wystawności. Zabawa nie potrzebuje wielkich kosztów, owszem wśród zbytku i wykwinności więcej jest utrudzenia jak zabawy. Chcieć w ubiorach, zabawach i wydatkach naśladować możnych, jestto być podobnym do owej żaby w bajce, która wielkością chciała przewyższyć wołu. — A ja się uczył tej bajki, zawołał synek, to ona wystawia ubogiego, który się chce równać z bogatemi. — Uczyłeś się, rzekł mu stryj, pamiętajże ją na całe życie, i ile razy cię chętką weźmie na wyższe nad stan twój wydatki, to ją sobie powtórz i grosz ten odłóż na przypadek, albo nim wesprzyj biedniejszego od siebie.

Mężu! ale to już podobno będzie zapóźno na bal; wróćmy lepiej do domu, rzekła

bratowa. — Oh, dobrze Mamo! odezwał się synek, ja się za to lepiej nauczę lekcyi na jutro, to będzie pożyteczniejsze.

Stało się, wrócili do domu, i odtąd uleczeni z szafu balowego, w gronie familii i przyjaciół swobodne i miłe prowadzą życie. <sup>20/2</sup>



### III.

## IMIENINY.



Tam gdzie się kończy Ruś Czerwona, dziś Galicyą zwana, a zaczynają Węgry, wpośrodku między temi dwoma krajami stoją ciągłym rzędem, prawie na sto mil długim, ogromne góry, pod ogólnem Karpatów nazwaniem. Po bokach ich z jednej i z drugiej strony zalegają szeroką przestrzeń kraju coraz niższe wzgórza, jakby dzieci tych olbrzymów ziemi. U nas sięgają one aż ku Częstochowie i Kielcom. Na jednem z takowych wzgórzów, niedaleko Krakowa, widać rozwaliny pałacu, które niezbyt dawniej jego świetności domyślać się każą. Już pierwszy dziesiątek lat terazniej-

szego wieku upłynął, gdy Paweł Sędziwój, z cnotliwą swoją małżonką spokojne i swobodne pędził w nim życie; dwoje Pan Bóg dał mu dzieci: synka, któremu na chrzcie świętym imię Jana dano, i córeczkę, której ś. Jadwiga była patronką. Jeszcze w niemowlęctwie były dzieci, a już ojciec upatrywał w nich wyższe zdolności i niepospolitą im przyszłość rokował, a osobliwie też chłopczykowi. Cieszył się jego szczebiotaniem i w sklejonym z trafu wyrazie oznaki talentu upatrywał. Cały zajęty przyszłym szczęściem swojego syna, ciągle tylko marzył o planach jego wychowania, o powołaniu, które mu wybrać zamierzał. Wśród tego, czas zwolna upływał, dzieci wraستاły, i już synkowi siedm lat od urodzenia, córeczce dwoma laty mniej liczono, gdy dziedzic pałacu wołą Monarchy na znakomity urząd w Krakowie powołany został. Długo pasował się z myślami czy miał z całą rodziną osiąść w mieście, czy dzieci z matką w dziedzicznym na wsi zostawić pałacu. Żądza uszczęśliwienia dzieci, przemogła nad uczuciami ojcowskiego przywiązania. Zważając jak zgubny wpływ wywierają na młodociane umysły pochlebstwa, jakimi zwykle dzieci możnych pa-

nów i wysokich urzędników obsypują ci, którym wiele na pozyskaniu względów ich ojca zależy, postanowił, lubo nie bez przykrości, zostawić żonę z dziećmi w wiejskiem ustroniu, mając zamiar odwiedzać ich jak najczęściej, i nad wychowaniem syna czuwać. Ponieważ zaś czas już był myśleć o nauce Jasia, zaczął więc p. Sędziwój stosownego szukać nauczyciela. Przedstawiono mu Francuza, Szwajcara i Niemca. Wszyscy trzej mieli wziętość ludzi nader ukształconych, i najpiękniejsze zalety moralnego życia. Pan Sędziwój jednak miał swoje pewne zasady postępowania, których nie chciał odstępować, choć je sąsiedzi dziwactwem nazywali, i dlatego wybrał za przewodnika dla swojego syna niejakiego Bończę, ucznia akademii Lwowskiej, któremu takąż płacę wyznaczył, także w domu wygody zapewnił, i równie szanować rozkazał, jak gdyby to był Francuz lub Szwajcar. Zeby zaś nastreczyć Jasiowi pewne spółzawodnictwo, przybrał mu za spółnika nauki i towarzysza zabaw równego prawie z Jasiem wieku, synka zasłużonego w dobrach swoich ekonomia.

Bończa umiał ocenić dobre chęci pana Sędziwoja, i starał się godnie odpowiedzieć

jego zaufaniu; jakoż z początku wszystko szło wybornie, Jaś kochał i szanował swojego nauczyciela, i dlatego przestrogi jego z największą przyjmował powolnością. Wkrótce nauczył się nieźle czytać i dość foremne litery kreślić. Z radością więc pisał swoje nazwisko, gryzmolił co mu do głowy przyszło, byle tylko dostał pióra, atramentu i papieru. Lecz gdy zwolna coraz dłużej Jasia przytrzymywał nauczyciel przy książce, gdy coraz kształtniejszego pisma wymagać począł, gdy go rachunkami i początkami geografii i języka łacińskiego zatrudniał, znużył się Jaś, nie mógł pojąć na coby mu się to wszystko przydać mogło. Przyjemniej dla niego było biczykiem trzaskać, pukawki papierowe robić, piłką rzucać, lub żołnierza udawać; nad książką zaś kręcił się, ziewał, karty gniótł, a gdy to nie pomogło, na ból głowy narzekał. Matka wtedy prosiła pana Bończę, aby go od nauki uwalniał, bo choć pragnęła szczęścia swojego syna, na samo jednak wspomnienie choroby drżała, bojąc się aby nie utraciła jedynaka, który największą był jej pociechą. Napróżno troskliwy nauczyciel przekładał jej zgubne skutki pobłażania, trwożliwa matka umiała zbić

jego smutno przewidywania i uspokić obawę o należyty postęp Jasia. Pan Sędziwój dość wprawdzie często bywał w domu, lecz obowiązki urzędowania nie dozwalały mu tak długo w nim bawić, aby miał czas wejrzyć w postępowanie syna; zresztą ufał gorliwości Bończy i dobrym chęciom matki, i zupełnie był z tego względu spokojny. Pan Bończa, żeby nie obrazić matki, nie śmiał ojcu objawić prawdy, choć przewidywał słuszny gniew jego, skoro się rzecz cała wyda.

W takim stanie upłynęło lat trzy, i już dziesiąta rocznica urodzin Jasia zbliżała się, a on przecież w naukach mało co postąpił. Dzień urodzin Jasia był także dniem imienin ojca, dniem radości dla dzieci, gdyż zwykle z matką jechały do Krakowa dla powinszowania ojcu i zabrania mnóstwa zabawek jakie im przywiązany do nich ojciec rozdawał. Jaś na kilka tygodni naprzód o niczem nie myślał tylko o imieninach, a raczej o zabawkach, jakie w tym roku odebrać spodziewał się. Uroił on sobie w głowie że dostanie pięknego konia, posłyszał bowiem jak ojciec rozmawiał z sąsiadem, dziedzicem pięknych Krzeszowic, o małym kucyku, którego zdawało się, na-



być pragnął. Dla kogóż więc, jeżeli nie dla mnie? tak sobie myślał Jaś i radośnie biczkiem trząsał. Tymczasem na kilka dni przed uroczystością tak tęsknie oczekiwana, pan Sędziwój pisze do żony, iż dzień swoich imienin pragnie w tym roku w domu przepędzić, że kilka dni zabawi, a ponieważ Jaś już dziesiąty rok kończy, pragnie więc przekonać się o jego postępie w naukach, i o dalszém wychowaniu pomyśleć. Dodał w końcu, że zabawki z sobą przywiedzie, i stosownie do okazanej pilności rozda, w czém także i zdania pana Bończy zasięgnąć nie omieszka. List ten przeraził Jasia; pierwszy raz w życiu trwoiga i smutek jakiś go ogarnął. Stawały mu przed oczyma rozmaite niemile obrazy naprzemiany: to gniew ojca, którego szczerze kochał i niezém zasmucić nie chciał; to wstyd, że Karolek towarzysz jego i siostra Jadwisia więcej od niego umieją; to wreszcie żal, że żadnej zapewne w tym roku zabawki nie dostanie. O jakże wówczas gorąco pragnął, żeby się czas ubiegły mógł wrócić: „z większą daleko ochotą uczyłbym się, i postępem moim uradowałbym ojca; dziś cóż pocznę, wstyd mnie czeka, i sprawiedliwy gniew ojca.” Tak sobie my-

ślał Jaś, bo wiedział dobrze że czas upłyniony już się więcej nie wróci. Lecz jeżeli Jaś był stroskany, niemniej i matka jego miała powody do niespokojności, przez zbytne bowiem pobbżanie stała się poniekađ przyczyną zaniedbania jego w naukach. Pan Bończa łamał tylko głowę jak się usprawiedliwić ojcu, że mu wcześniej postępowania syna nie objawił. Weale inne uczucia ożywiały Jadwisię i Karolka: pełnili oni zawsze ściśle swoje obowiązki, uczyli się pilnie, należyty postęp w naukach zrobili, dlatego z radością oczekiwali przybycia pana Sędziwoja.

Nadszedł wreszcie dzień trwogi dla Jasia, radości dla Jadwisi i Karolka. Jadwisia nazbierała różnych kwiatów, róży, bławatków, ostróżki, dryakwi różnokolorowej, dzwonek, kosaćcu, jaskru, naparstnicy, i przeplatając je liściami dębu, lubczyka, dzięglu, trawy bęgowatej i rozchodnikiem, uwila długą girlandę, którą przyozdobić ulubioną ojca altankę postanowiła. Karolek ułożył powinszowanie, i na pięknym papierze jak mógł najforemniej przepisał. Zawarł w niem życzenia w imieniu Jasia i Jadwisi ojcu składane, wdzięczność zaś swoją w kilku tylko wyrazach na koń-

cu wynurzył. Potrafił skłonić Jasia że się najpierwszy podpisał, potem Jadwisia, sam zaś Karolek nazwisko swoje niżej, na samym spodzie położył. Karolek bowiem nie tylko w naukach znaczne zrobił postępy, ale doskonalił się w cnotach; przedewszystkiem zaś uczył się być wdzięcznym za dobrodziejstwa, których doznawał pod opieką pana Sędziwoja. Wdzięczność nasunęła mu na myśl, aby nie narażać Jasia na polajanie ojca, ale ochraniać go ile możności; w tym celu postanowił nie popisywać się przed panem Sędziwojem z tém co więcej od Jasia mógł umieć.

W wigilią swoich imienin, pod sam wieczór, przyjechał pan Sędziwój; radośnie powitany od wszystkich, przepędził wieczór na obejrzeniu gospodarstwa, na radzie z ekonomem, wreszcie na rozmowie z żoną i z panem Bończę. Nazajutrz, ledwie świtać poczęło, już dzieci powstały; zwyczajne odmówiwszy modlitwy, pospieszyły na miejsce, gdzie pan Sędziwój zwykł był w porze letniej kawę pić. Obok pałacu od strony wschodniej, na pochyłości góry, stały blisko siebie dwa odwieczne wiązy, rozłożystemi gałęziami naturalną tworzące altanę; krzewy bzu włoskiego, berberysu,

kaliny, jaśminu, osłaniały ją od dołu ze strony północnej i zachodniej. Tam z dani usłana kanapka była ulubionem miejscem spoczynku pana Sędziwoja. Tu pospieszyły dzieci, aby uprzędzić przybycie ojca. Karolek namawiał Jasia aby podał ojcowi powinszowanie, lecz Jaś nie śmiał popisywać się z cudzą pracą; Karolkowi zaś zdawało się iż mu nie wypada przy Jasiu występować z powinszowaniem, podjęła się więc tego Jadwisia. Jaś wziął jeden koniec girlandy, przywiązał do gałęzi wiązu, zwieszony splot wziął w ręce, drugi zaś koniec trzymał Karolek. Niedługo nadszedł pan Sędziwój z żoną, i skoro usiadł na kanapce, dzieci z zakrzewów wystąpiły, otoczyły ojca wieńcem, a Jadwisia podając powinszowanie na piśmie, ustnie jeszcze swoje życzenia ojcu złożyła. Przywiązaniem dzieci rozczulony ojciec, odebrał powinszowanie, przeczytał, a widząc Jasia najpierw podpisane, nie wątpił że to jego była praca; uściskał go serdecznie, i łza radości ojca spadła na lica Jasia; lecz jakże ona zdała się gorącą synowi, który czuł dobrze, iż na to ukontentowanie ojca wcale nie zasłużył. Nie pominął pan Sędziwój Jadwisi i Karolka, i ich równie czule uści-

skął, a nie czekając już ani na zdanie pana Bończy, ani na popis dzieci, kazał służącemu przynieść przygotowane już podarunki, i winszując nawzajem Jasiowi dał mu wiązarek z pudełka pięknych farb, kilku zeszytów rysunku, papieru kolorowego, cyrklów i innych potrzeb do pisania i rysowania złożony; Jadwisia i Karolek dostali także stosowne podarunki, Jasiowi zaś dodał jeszcze w ładnej oprawie książeczkę, mówiąc: „Zachowaj ten upominek ojca: z tej książeczki nauczysz się jakie są twoje powinności względem Boga, siebie i bliźniego. Czytaj ją pilnie, wypełniaj zawarte w niej przepisy, a staniesz się miłym Bogu i ludziom. Wiele w niej rzeczy jeszcze nie zrozumieś, proś o ich objaśnienie swojego nauczyciela, a zresztą tak pięknie postępując w naukach, jak z napisanego przez ciebie powinszowania wnoszę, pewny jestem iż sam niedługo będziesz mógł wszystko pojąć.” Ostatnie wyrazy ojca wskrósł przeszły serce Jasia, czuł on w nich najdotkliwszy wyrzut; zadrżał na wspomnienie chwili w której się jego zaniedbanie wyjawia; chciał ją uprzedzić, rzucić się do nóg ojca, wyznać swoją winę, przyrzec poprawę, prosić o przebaczenie.

Nim wszakże snujące się po głowie myśli zebrać potrafił, wszedł posłaniec z listami, i odebrał mu sposobność do wykonania powziętego zamiaru. Ojciec udał się do swego pokoju dla odczytania listów, a wkrótce też przybywający sąsiedzi i przyjaciele pana Sędziwoja przez cały dzień ani jednej chwili swobodnej nie zostawili.

Jaś niespokojnością dręczony, nie mógł przez całą prawie noc ani oka zmrużyć; mocno postanowił wstać równo ze świtem i pod tymże więzem ojcu wszystko wyznać. Lecz znużony przed samym świtem zasnął, a tymczasem rozkaz wyższej władzy wczoraj nadesłany, powołał ojca do obowiązków urzędowania, i gdy się Jaś przebudził, już ojciec odjechał. Nie było więc innego sposobu tylko upaść na kolana, zebrać łaski i pomocy Boskiej przez serdeczną modlitwę, a potem rzucić się na łono matki, jej uczucia swoje wynurzyć, i tym sposobem pozbyć się dręczącej niespokojności. To właśnie uczynił Jaś; poczem przeprosił nauczyciela, uściskał siostrę i Karolka, ze łzami w oczach podziękował im za ich przywiązanie i względność, i postanowił odtąd zmienić swoje postępowanie. Mimo płochosć dzieciennego wieku, Jaś miał dobre

serce, wiele zdolności, a nadewszystko wyższą nad wiek swój stałość i moc duszy: co postanowił, tego dotrzymał. Z największą gorliwością zajął się naukami, i wkrótce zrównał się z Karolkiem z wielką pociechą nauczyciela. Gdy zaś zdarzyła się kiedy krótka chwila, w której Jaś zdawał się ostygąć w pilności, dosyć było gdy nauczyciel wspomniał imieniny ojca, a Jaś natychmiast z nowym zapałem brał się do książki. Z równą usilnością odbył pierwiastkowe nauki, ukończył z pochwałą bieg nauk w uniwersytecie, i jest dziś szanowanym powszechnie obywatelem, pociechą podszłego w latach ojca.

Jak piękny przykład przedstawia wam, moje dzieci, Jasia stała i niezmienna poprawa. Sam on poznał swoje przewinienie, a przez szczere przywiązanie do rodziców, otrząsnął się z niedbalstwa, i wnet stał się rozkoszą tych, których kochał prawdziwie. Z jego przykładu widzicie, jakich zgryzot i wyrzutów sumienia staje się powodem zaniedbanie obowiązków; lecz z drugiej strony uważajcie, że kto szczerze poprawić się chce, zawsze to skuteczniej może, przy pomocy Boga i mocnym u siebie postanowieniu chronienia się złego. Powiodło się









#### IV.

### Ł Ó D K A.



W Augustowskiem, począwszy od miasta Rajgroda aż ku Maryampolowi, całą przestrzeń kraju mnóstwo mniejszych i większych jezior zalewa, osobliwie téż zbliżając się ku lewemu brzegowi Niemna. Zpomiedzy tych jezior najznaczniejsze jest Wigierskie, wpośrodku prawie między Suwalkami a Sejnami rozlewające się. Niemasz pewnego rozmiaru tego jeziora; zdaje się wszakże, iż daleko mniejsze jest od Gopła. Brzegi jego w rozmaity sposób pokrzywione, tworzą małe zatoki i piękne półwyspy. Przy samym niemal środku jego długości, obszerny kawał ziemi z trzech stron tak jest jeziorem oblany, iż łatwoby

go było na wyspę zamienić. Są tam pola, łąki i gaj lipowy, jest wieś Biała nazwana. W bliskości gaju, tuż nad brzegiem jeziora, stoi piękny dom murowany, wśród piękniejszego jeszcze ogrodu. Przed kilkunastą laty mieszkał w nim dziedzic tej włości Dobrogost. Bogobojny, ludzki, uprzejmy, zjednał sobie przychyłość wszystkich sąsiadów, a włościanie jak ojca swojego kochali. Troje dzieci w niemowlęcym pochował wieku, pozostał mu tylko syn Władysław, i kilką laty młodsza od niego córeczka Marynia. Szanując wolę Opatrzności, Dobrogost znosił bez szemrania wszelkie przygody, i wraz z godną siebie małżonką przepędzał czas w tém wiejskiem ustroniu na zabiegach okolo gospodarstwa i na pielęgnowaniu i kształceniu dzieci swoich. Tym sposobem nie znał co są nudy, ani go brała chętka szukać rozrywki po wielkich miastach. I cóżby wreszcie tam robił? Hucznych biesiad nie lubił, a osobliwie unikał takich, na których rześiste szampana spełniano kielichy; weselić się kosztem cudzej sławy nie umiał; dowcip szyderski za cechę złośliwej duszy uważał; kart nie znał, bo też podobno jeszcze wówczas nikt na wsi wista nie gry-

wał. Będąc w samej sile wieku, bo do połowy stulecia pięciu lat jeszcze mu nie dostawało, nie miał nudnego zwyczaju, ganić wszystko co jest, chwalić to co było; nie miał też przywary młodych, zarozumiale uwielbiać terażniejszość, gardzić przeszłością, spuszczać się niedbale na to co ma nastąpić. Dopełniwszy obowiązku względem monarchy i kraju, służył bowiem wojskowo, i w niejednej bitwie dobrze się zapoznał z nieprzyjacielskim bagnetem, teraz więc do żadnych nie darł się urzędów i tylko na posługę swoich sąsiadów był gotów. Rzadko oddalał się z domu, a tym sposobem miał dosyć czasu do poświęcenia wychowaniu swoich dzieci. Pod okiem jego wzrastał Władys, ojciec kochał go równie jak córkę; dla obojga dzieci równe pragnął zapewnić szczęście; więcej przecież zajmował się synem, jako mającym kiedyś odziedziczyć imię, cnoty i zasługi ojca; córkę troskliwości matki poruczał: zdawało mu się że tak być powinno, że to jest naturalny rzeczy porządek.

Bawił w domu Dobrogosta niejaki Bienosz, przyjaciel i niegdyś spółtowarzysz broni, a teraz uczestnik spoczynku; człowiek ukształconego umysłu i pełen pię-

knych przymiotów duszy. Znał on dobrze dzieje swojego i obcych krajów; w młodości różne odbywał wędrówki: był w Carogrodzie, zwiedził Ziemię Świętą, bawił czas niejaki w Rzymie, widział Hiszpanią, Francją i Niemcy, a przecież szczęśliwy był gdy mu Dobrogost w rodzinnych stronach na starość przytułek u siebie ofiarował. Nie chciał wszakże Bieniosz być próżnym ciężarem swojemu dobroczyńcy, a dla ran i wieku nie mogąc inną czepić się pracy, postanowił być mu pomocnym w wychowaniu dzieci. Dobrogost mile przyjął ofiarę swojego przyjaciela, mając atoli wzgląd na stargane siły i równie trudami jak wiekiem nadwątlone zdrowie jego, wystarał się o Nauczyciela, który był wyręczytciem ich obudwóch w dozorze dzieci i głównym przewodnikiem w ich nauce. Dobrogost nie miał w niczem przesadzonych wyobrażeń, nie żądał od nikogo rzeczy niepodobnych, a zatem i od Nauczyciela nie wymagał, aby od rana do wieczora bez najmniejszego wytchnienia dukwiał nad dziećmi; gdyż wiedział, że i największa gorliwość ostygnie, skoro umiarkowanego od czasu do czasu mieć nie będzie odpoczynku. Z drugiej atoli strony nważał,

iż do ukształcenia serca i umysłu dziecinnego ciągle baczność, regularna i nieprzerwana pilność najdzielniej się przykłada. Dlatego by jedno z drugim pogodzić, tak ułożył zatrudnieniaienne swoich dzieci, iż one nigdy bez dozoru nie były, a on sam i Bieniosz z Nauczycielem wolne mieli chwile do odpoczynku lub innych zatrudnień. Gdy ojca drobiazgi gospodarstwa zajmowały, nad dziećmi czuwał Nauczyciel albo Bieniosz, póki się ojciec od zatrudnień domowych nie uwolnił. Kilka razy na tydzień przybywał ksiądz Pleban objaśniać dzieciom zasady wiary ś. stosownie do ich wieku i pojęcia. Nic dziwnego przeto że przy takich zabiegach i przy tak rozsądnym kierunku Władys i Marynia wzrastali, utwierdzając się w bogobożności, kształcąc serce i umysł.

Jak jednostajny jest bieg przyrodzenia, tak jednostajne były prace całej rodziny, jednostajne rozrywki; dzieci jednak nieznaly tęsknoty, bo szczerze spełniane powinności napełniały ich młodociane serca nową codzien radością, i odświeżały rozrywki codzien powtarzane. Tak więc wesoło biegły od nauki do zabawki, jak z ochotą wracały od zabawki do nauki. Próżnia-

cze tylko umysły doznają przesylenia w rozrywkach, nudów w zabawie. Ojciec i Matka, Nauczyciel i stary Bieniosz jak razem z dziećmi pracowali, tak spólnie z niemi dzielali zabawę. Coto była za uciecha dla dzieci, gdy Bienioszowi zawiązały oczy i zwinnie koło niego skakały, to klaszcząc, to go skubiąc, a on żadnego uchwycić nie zdołał, bo mu się zgrabnie pod rękami wysuwały. Kiedy już zmordowany chwycił oburącz piec lub szafę i zawołał: *mam cię!* wtedy dzieci śmiały się do rozpuku, i jedno z nich przez uszanowanie i przez prawdziwe ku niemu przywiązanie wyręczało go w obowiązkach ślepej babki. Podobnie bawił dzieci lis, zajaczek, gaska; Władysiowi szczególnie przyjemne były rozmaite gry w piłkę, kiedy do tego znalazł sposobność przy liczniejszém zebraniu dzieci. Dobrogost mniemał, że dzieciom najpożyteczniejsza taka zabawa, która obok należytego i urozmaiconego ruchu, uczy zręczności i zmysłem wprawę jakąś nastrecza. Już więcej jak od roku, gdy Władys trzynastą odbył rocznicę swoich urodzin; Ojciec pozwalał mu niekiedy jeździć na koniu, uczył go pływać i czółnem kierować, bo i to miła jest po pracy umysłowej roz-



rywką, i nadto mieszkającemu nad jeziorem przydatne być mogło. W święta przyjmował chętnie w domu swoim dzieci sąsiadów, i różne im rozrywki wymyślał; niekiedy wywzajemniając się, odwiedzał z dziećmi sąsiadów. Jeden z nich szczególnie był miłym Dobrogostowi, bo i sam uprzejmy i zacny i dzieci jego ze wszechmiar zalety godne, wiekiem niewiele różniące się od Władysia i Maryni, wybornym dla nich były towarzystwem. Nazwisko tego sąsiada było Scibor; miejsce zamieszkania wieś Czerwony Krzyż, po drugiej stronie jeziora, naprzeciw domu Dobrogosta.

Byłoto dnia 16 maja w niedzielę, a przytém w doroczną uroczystość Śgo Jana Nepomucena, patrona dobrej sławy. Dobrogost zwykle dzień ten z całą familią z wielkiem obchodził nabożeństwem, aby dzieciom wrazić w umysły ważność dobrego imienia, o które jak sam bardzo dbał, tak pragnął aby i dzieci usilnie się starały. Poświęciwszy przeto całe przedpołudnie służbie bożej, po południu postanowił odwiedzić swojego sąsiada, którego już dość dawno nie widział. Dzień był pogodny i ciepły, świeża zieloność dopiero co rozwiniętych drzew i krze-

wów, zachwycający przedstawiała widok brzegów jeziora, którego wody, spokojne jak zwierciadło, objawiały w swoim łonie ten miły obraz dzieląc niejako radość człowieka z powrotu rozkosznej wiosny. Nad brzegami jeziora, po gajach i zaroślach rozlegały się dźwięczne ptasząt śpiewy; na przestrzeni wód domowe i dzikie kaczki i gęsi, cyranki, nurki, stadami pływały, wrzaskiem swoim przerywając milczenie jakby zadumanego jeziora. Z żoną i dziećmi stanął Dobrogost na chwilę nad brzegiem, by się nacieszyć zachwycającym widokiem, i wznieść myśl dziękczynną ku Twórcy tylu cudów, które nas codziennie otaczają, pośród których wieśniak swobodnie pędzi życie, bo mieszkańca miast wielkich, dzieła tylko rąk ludzkich zachwycają. Tymczasem dzieci niecierpliwie wsiały czémprędzej do łódki, pięknym wiosny kolorem świeżo obarwionój. Marynia zajęła miejsce na przodzie, Władysław chwycił lekkie wiosło, i siadł przy sterze chcąc ojca wyręczyć; wstąpił i Dobrogost do statku, i podał rękę żonie, aby jej wejście ułatwić. Wtém łabędź, którego dzieci starannie hodowały, w znacznej dość odległości od brzegu poważnie i lekko na powierzchni jeziora

unoszący się, jakby na powitanie swoich dobroczyńców, szybkim pędem ku łódce płynie, i odbijającym od brzegu drogę tamować się zdaje. Nie zważał na to Dobrogost, a Marynia żałowała, że dla pięknego łabędzia nic z sobą nie wzięła, bo jej się zdało, że pokarmu od nich żąda; lecz matka troskliwsza, i na drobne nawet wypadki baczniejsza, trwogę jakąś widziała w poruszeniach łabędzia. W rzeczy samej, im dalej od brzegu odpływała łódka, tem natarczywiej od przodu zastępował jej łabędź, nakoniec rozpostartemi machając raz po raz skrzydłami, zdawał się chcieć ją zatrzymać w biegu. Zwróciła na to uwagę męża pani Dobrogost, ten spuścił wiosło, powstawszy w łódce obejrzał się dokoła i rzekł: Władysławie, skieruj rudel, wrócimy do domu. Niemily to był rozkaz dla syna, który machinalnie robiąc wiosłem, różne w głowie snuł sobie plany zabaw z synami Scibora, i siostrze jego łezki stanęły w oczach, traciła bowiem sposobność pokazania się w pięknej różowej sukience, którą dziś pierwszy raz przywdziała. Ztémwszystkiem łódka spokojnie się zwróciła i wnet na témże miejscu z którego odbili, stanęła. Łabędź wtedy, jakby na znak ra-

dości, wiewnął skrzydłami, i spokojnie do swojego popłynął schronienia. Wysiadając chciał Władysław umocować łódkę jak zwyczajnie, lecz ojciec kazał mu tylko założyć linę za kołek na brzegu, aby na wszelki przypadek łatwo ją było odczepić. Radosna myśl ogarnęła dzieci, nadzieja w ich serca wstąpiła; może ojciec, myślały sobie, wzięwszy pokarmu dla łabędzia, powtórnie puści się na jezioro. Dlatego, gdy Dobrogost odchodził, Władysław rzekł: „Ja tu zostanę mój ojcze, i zaczekam.” — Dobrze, mój synu, odezwał się ojciec, lecz nie waż się sam siadać do łódki. — Zakaz ten zdziwił syna, bo nie mógł odgadnąć jego powodu, a był przyzwyczajony póty nie pytać się dlaczego, póki sam się nie namyślił. Myślił więc, ale nic wymyślić nie mógł. Wkrótce po oddaleniu się ojca nadbiegli synowie ekonoma, uczestnicy niekiedy zabaw Władysławia: nuż prosić aby z nimi przejechał po jeziorze, mówiąc: „Pan w domu, widziąc tego nie będąc, to możemy się puścić tu oto za te zarośla.” Władysław jednak przywykł szanować wolę ojca nawet nieobecnego, i ani sam wsiąść w łódkę, ani jej nikomu pozwolić nie chciał. Za ledwie dzieci ekonoma odbiegły mrużąc, i Władysław

ku domowi zwrócić się zamyślał, gdy nagle zaszumiał gaj, i wiatr spokojną dotąd powierzchnią jeziora pomarszczył. Czarna chmura od strony wschodniej już się w górę wzbijała, i zdala stłumiony huk grzmotu się rozlegał. Teraz odgadnął przyczynę powrotu Władysław, i domyślił się że ojciec wcześniej mógł dojrzeć chmurę i burzę przewidział; kontent więc wracał do domu, aby się schronić przed deszczem. Wchodząc już w bramę dziedzińca, spotkał ojca wychodzącego z dawnym sługą domowym, który i wybornie pływać i dzielnie wiosłem robić umiał. Mijając ojciec syna, rzekł: „Powiedz matce, że nieszczęśliwym na ratunek spieszymy.” — I ja pójdę z ojcem, odpowiedział Władysław, wszak wiosłem robić umiem i ster prowadzić potrafię. — „Tak jest, mówił dalej ojciec, lecz na spokojnym jeziorze; a teraz widzisz te bałwany! burza się wzmaga, będzie jeszcze gorzej!” To mówiąc chciał powtórzyć swój rozkaz, lecz ujrzawszy łzy w oczach syna, wznosił oczy ku niebu, i na prośbę jego zezwolił. Ochoczo naprzód poskoczył Władysław, ucałował rękę ojca i najpierwszy wstąpił do łódki.

Burza tymczasem się wzmagala, wiatr silny miotal jeziorem, ogromne strzępiąc bałwany; rażąca oczy błyskawica, grzmot straszliwy z deszczem ulewnym połączony, wszystko to zdolne było i najodważniejszych zatrwożyć. Dobrogost wahał się, czy ma odbić od brzegu, czy raczej o własnem myśląc bezpieczeństwie, nieszczęśliwych zostawić ich losowi. Władys nie zważał na wichry i grzmoty, radośnie robił wiosłem, ożywiony tą myślą, że na pomoc spieszy. Byłto zaś Scibor z całą rodziną, który spiesznego potrzebował ratunku. Stęskniony długiem niewidzeniem Dobrogosta, zadowolony pięknej pogodzie dnia wiosennego, puścił się niewielkiem czółenkiem z żoną, dwoma synami i małą córeczką, by odwiedzić sąsiada którego kochał, i od którego nawzajem był kochany. W połowie drogi zaskoczyła go burza. Dobrogost z ganku swojego domu spostrzegł czółno na środku jeziora, i nie wiedząc kto by w niem był, postanowił swoją łodzią daleko bezpieczniejszą biedz mu na pomoc. Odradzała żona, odradzał Bieniasz i Nauczyciel, lecz on ufny w opiece Boskiej, wzgardził niebezpieczeństwem, i zamiaru swojego dokonać postanowił. Wiatr był przeciwny, silnie trze-

ba było rudlem kierować i dzielnie wiosłem robić. Po niesłychanych trudach udało się wreszcie Dobrogostowi zbliżyć do czółna, które pełne wody, już już co tylko zatonać miało; w niem poznaje Scibora z całą familią, gorącą więc w sercu odmawia modlitwę, a rękami silniej rudel trzyma: „Chwytajcie się za brzeg łodzi! woła...” Starszy syn Scibora, silny młodzieniec, pochwycił łódkę, i czółnem do jej boku przyłożył. Sluga Dobrogosta podał rękę żonie Scibora i odmlewającą już prawie przeprowadził do łódki, wgramolił się na nią sam Scibor, lecz młodszy syn jego trzymając siostrę na ręku stracił równowagę, czółno przewrócił, a nie mogąc łódki uchwycić wpadł w wodę. Na ten widok załamała ręce matka, a Dobrogosta prawie siły już opuściły, gdy wtém Władysław wraz ze starszym Sciborem rzucają się do wody, ten bratu pomoc niesie, tamten dziewczynkę chwyta. Obadwa dobrze pływać umieli, potrafili więc utrzymać się na powierzchni wody, póki im z łodzi pomocy nie dano, i tak szczęśliwie uratowali tonących. Radość z ocalenia dwojga dzieci rzuciła zasłonę na niebezpieczeństwa jakie im jeszcze zagrażały, burza bowiem wcale nie ustawała. Przemogli wreszcie falę

i szczęśliwie do brzegu zawinęli. Czekał na nich Bieniasz troskliwy o los swojego przyjaciela i dobroczyńcy, czekał i Nauczyciel: obadwa szczerze żalowali, że nie towarzyszyli zacnemu Dobrogostowi, skoro go odwieść od zamiaru nie zdołali. Jakaż ich radość, jakie ich szczęście było, gdy go ujrzeli wraz ze Sciborem i jego familią! jeden podał rękę pani Scibor, drugi wziął córeczkę i tak pospieszyli do domu, aby czemprowadzić przebrać przemokłych i orzeźwić utrudzonych. Dla omdlałych mieszkańców miast wielkich, takowa przygoda byłaby przyczyną długiej choroby, a może i niejednej śmierci; na wsi ludzie choć zamężni, nie są tak wykwintni, zdolniejsi przeto do znoszenia przykrych zdarzeń. Skoro się więc wszyscy przebrali, i zasiedli do orzeźwiającego podwieczorku, każdy z kolei swoje myśli i uczucia wynurzał, każdy swój udział w tym przypadku opowiadał, bo choć niebezpieczeństwo było wspólne, przecież każdy niemal w innym sposobie narażonym na nie być zdawał się. Jeden tylko Władysław milczał, lub się z małą córeczką Scibora bawił. „Kochany sąsiedzie, odezwała się pani Scibor, syn twój najwięcej dokazał, a nie mówi, pozwól



niech uściskam wybawcę mojej Anusi, a może przy łasce bożkiej przyszłego zięcia.” — Daj Boże! odpowiedział Dobrogost: — Czemu nie, rzekł naiwnie Władysław. Uści- skwały go serdecznie obiedwie matki i zaczęły rozmowę o małżeństwach z podobnych przypadków.

Gdy się już dosyć nagadali o tej przygo- dzie, w końcu odezwał się Władysław: „Nasz łabędź musiał przewidzieć burzę, gdy nam przeszkadzał w naszej żegludze.” — Prze- widywanie, mój synu, jestto rozważanie skutków i przyczyn rozmaitych wypadków nam znanych i wyprowadzanie wniosków na podobneż wypadki, których się spodziewa- my: jestto dzieło rozumu, którego zwierzę- ta nie mają, a tem samem łatwo teraz poj- miesz, że przewidywać nie mogą; lecz mu- szę ci dodać iż w miejsce rozumu dał Pan Bóg zwierzętom instynkt, który ich od wie- lu przygód ochrania, z którego i człowiek baczny wiele korzystać może. Burza gwał- towna równie dla zwierząt jak i dla ludzi niebezpieczna, dlatego instynkt je ostrze- ga aby się chroniły. Pająki, drzewne żab- ki, ptastwo domowe i dzikie, czują niespo- kojność jakąś przed nadchodzącą burzą, i w różny ją sposób okazują, na co pilnie

bacząc, możemy poniekąd wróżyć o zmianach powietrza. Nasz łabędź czuł także niespokojność, i starał się ją nam okazać; do nas należało domyśleć się jego przestrogi i z niej korzystać. Lecz jeżeli łabędź pragnął nas ocalić, jakaż dla nas ludzi nauka, abyśmy nie wahali się ostrzegać drugich, a popadłym w niebezpieczeństwo spiesznie podać rękę, nie oglądając się na narażenie własnej osoby. Bóg wspiera dobrze czyniących, szczerą w Nim tylko ufność pokładać należy.” — To nam przymówka, rzekł Bieneniasz obracając się do Nauczyciela z uśmiechem: — poprawimy się na drugi raz, dodał Nauczyciel.

Miłe dzieci! pewny jestem że się wam podobał Władysław, tak chętnie spieszący na ratunek nieszczęśliwym; nie wątpię iż każde z was w podobnych okolicznościach podobnie by postąpiło: ale zważcie nadto jaką on był pociechą swoich dobrych rodziców, a Pan Bóg błogosławi dzieciom, które się starają dobrem sprawowaniem radość sprawiać tym, którzy o ich troszczą się wychowanie. Wola rodziców była dla niego świętą, przestąpić jej nawet w ich nieobecności nie odważył się. Wypełniał ich rozkazy sumiennie, nie wchodząc w powody, bo był

mocno przekonany, że rodzice nie życzą źle dzieciom swoim. Szczęśliwy że mu się udało dobry czyn wykonać, nie rozwodził się z nim chętnie, przez co byłby wartość jego zmniejszył. Dobrze czynić należy nie dla pochwały ludzkiej, lecz dla przypodobania się Bogu, który kochać bliźnich i wspierać ich rozkazał. Starajcie się więc, moje dzieci, naśladować przykład Władysia, chrońcie się złego, unikajcie czczych zabaw, a osobliwie strzeżcie się takich, które i wam i bliźniemu szkodzić mogą.

## V.

### **OCIEMNIAŁY.**



Boruta wysłużywszy w wojsku swoje lata, wrócił do rodzinnej zagrody w Łukowskiej ziemi. Niewielka była jego dziedzina, a i tę sąsiad i powinowaty zagarnął i połączył ze swoją, rozgłoszono bowiem że na placu bitwy zginął. Nie zastał więc Boruta ani domu w którym się wychował, i lata swojej młodości strawił, ani gospodarskich zabudowań, które po większej części własną ręką budował: wszystkoto zniósł powinowaty jego, bo mu niepotrzebnie kawał gruntu zajmowało. Zapłakał Boruta nad swoją dolą i wzięwszy liche wynagrodzenie, jakie mu chciwy przywłaszczyciel ofiarował, puścił się w świat le-





pszego szukając losu. Miał on wielkie względy u swojego rotmistrza, zacnego, a przytém bogatego pana, który obszerne włości pod samą Kruszwicą dziedziczył. Udam się do niego, pomyślił sobie Boruta; on mi w dobrach swoich wynajdzie zatrudnienie, i da na starość przytułek. Tą myślą zajęty, jakby do własnego domu, tak wesoło pospieszał do pana Ostoi, byłoto nazwisko owego rotmistrza. W kilka dni dość pomyslniej choć utrudzonej wędrówki stanął w Kruszwicy. Nie troszcząc się bynajmniej o starożytność miasta, skwapliwie wypytywać się począł o pana rotmistrza, którego wszyscy, jak mu się zdawało, znać byli powinni; tymczasem nikt go objaśnić nie umiał, a jeżeli kto o nazwisku zasłyszał, to mu powiadał, że poszedł na wojnę i jeszcze nie wrócił. Na próżnych poszukiwaniach strawiwszy kilka godzin, musiał nareszcie wstąpić do domu zajezdneho, by noc przepędzić i od którego z podróżnych o włości pana rotmistrza pewniejszą poznać wiadomość. Dom zajezdny trzymał dzierzawą starozakonny Szlama Goldflus, człowiek w podeszłym wieku, ale rzeźwy, skrętny i o wygody zajeżdżających do niego nader dbały. Stojącego w bramie

zajezdnej powitał Boruta i o spokojny kącik na noc prosił. „Znajdzie się, rzekł arendarz, i kąć, i izba, i alkierz, i pokój osobny, jak się komu podoba, i jak kogo stać; z przeproszeniem, a dokąd wy idziecie?” — Do pana rotmistrza Ostoi, odpowiedział Boruta. — No, a z kąd? czy z Poznania? zapytał znowu Szlama. — Nie, odrzekł Boruta, idę z Łukowskiego, z Podlasia. — No, ja wiem gdzie Łuków, a cóż wy tu szukacie pana Ostoi, a nie bliżej wam było iść presto z domu na Żmudź? Stary pan Ostoja już kilka lat jak umarł, a młody, jak wy nazywacie rotmistrz, odstąpił dobr siostrze, sam się z jakąś bogatą panną ożenił i osiadł na Żmudzi.” Stał jak wryty Boruta, wszystkie jego nadzieje spełzły: cóż teraz pocznę, pomyślił; w obcej okolicy, nikomu nieznany, prócz uwolnienia z wojska żadnych innych dowodów sprawowania się swojego niemający, gdzie się obrócić? Strudzony wędrowką a razem smutkiem przyciśniony, wszedł do izby gościnnnej i spoczął w kącie na ławie. Niedaleko niego siedziało za stołem dwóch, jak mu się zdało, także podróżnych, którzy spór między sobą wiedli: jeden utrzymywał, że katedrę biskupią z Kruszwicy do



Włocławka, drugi zaś twierdził że do Gniezna przeniesiono. Wreszcie rzekł jeden z nich: „Mniejsza o to dokąd ją przeniesiono, to pewna że lepiej wówczas być musiało w Kruszwicy; przecież to przy dworze biskupim, przy tylu prałatach i kanonikach, niejeden stary znalazł przytułek; niejeden się nawet i grosza dorobił.” Wyrazy te mocne zrobiły wrażenie na umyśle Boruty, nadzieja wstąpiła do serca jego: otóż ja pójdę do Gniezna, pomyślił sobie, może tam znajdę miejsce spokojne i schronienie na starość. Tą pocieszającą myślą zajęty zasnął na ławie, nie troszcząc się bynajmniej o posłanie. Nazajutrz rano puścił się w drogę i niedługo doszedł do Gniezna; lecz jakież było jego zmartwienie, gdy miejsca znaleźć nie mógł. Na domiar nieszczęścia, trudy wędrówki i zgryzota nadwreżyły zdrowie jego i o ciężką przypawiły chorobę, a ta mu niemało wydarła grosza ze szczupłej i tak sumki którą jak mógł oszczędzał; a co gorsza odnowiły się rany w głowie, osłabiły wzrok jego i przytępiły słuch. Nic było co robić w Gnieźnie; odzyskawszy więc cokolwiek siły, postanowił puścić się w drogę na ślepy traf i szukać jakiegokolwiek przytułku.

Niedawną słabością i ciężkim smutkiem znękanemu niesporo szła wędrownica, za ledwie na milę od miasta oddalił się, gdy dla braku sił spocząć musiał. Usiadł więc pod rozłożystą lipą przy drodze i dobył kawałek suchego chleba by się posilić. Wtém szary, zgłodniały, owczarski piesek bieży prosto do niego: Boruta ujął kij, aby go odpędzić, lecz piesek łasić się począł, jakby o kawałek chleba prosił. Obejrzał się dokoła wędrownik, a nie dostrzegłszy wśród obsianych łąków, żadnej pasącej się trzody, ani wioski w bliskości, pomyślił sobie: i ty widzę na starość bez miejsca; rozłamał chleb i podzielił się ze zgłodniałym psiną. Odpocząwszy, podniósł się Boruta i w dalszą puścił drogę, a piesek mu towarzyszył i już go odtąd nie odstępował. W parę miesięcy Boruta znowu zapadł na zdrowiu i byłby może z głodu i nędzy życie dokonał, gdyby się wieśniak równie biedny jak on nie ulitował, który schorzałemu dał u siebie przytułek i jakie mógł opatrzanie. Po kilkunastu dniach odzyskał wprawdzie zdrowie, lecz na nieszczęście wzrok zupełnie utracił. Jakże być ciężarem biednemu wieśniakowi, któremu w niczem pomagać nie zdołał, jak

dalej żyć bez wzroku! Zebrać nie miał odwagi, bo sam zawsze niegdyś powtarzał, że żebractwo jest kradzieżą serc litościwych, że każdy na kawałek chleba zapracować może. Chciał on i teraz w smutnym stanie pracować, lecz gdzie, i jak? Po długich namysłach spuścił się na Opatrzność, uwiązał sznurek do szyi pieska, wziął koniec w rękę, a podziękowawszy jak mógł najczuliej swojemu ubogiemu dobroczyńcy, puścił się w drogę. Kilka lat' tułackie wiódł życie, a lubo nie był nikomu natrętny, nikogo o jałmużnę nie prosił, przecież dary dobroczynne utrzymywały życie biednego Boruty i jego przewodnika. <sup>2</sup>/<sub>3</sub>

Chodząc tak ode wsi do wsi, od miasta do miasta, doszedł nareszcie Boruta, sam o tém nie wiedząc, do Kowna. Częstsze tu jak gdzieindziej odbierał dary, tak że mu nawet od potrzeb codziennych nieco zostawało. Chleb więc i inne pożywienie biedniejszym rozdawał, grosze zaś chował na przygodę. Ze mu się dobrze działo, postanowił zabawić czas niejaki, i obrał sobie kamień dogodny pod górą, niedaleko Niemna, za codzienne siedlisko, blizki zaś domek przy drodze za schronienie, które mu chętnie ubogi właściciel bezpłatnie ofiarował. O ka-

źdym przechodzącym piesek ostrzegął Borutę trącając w nogę, a on zaraz zdejmował kapelusz, jużto dla uszanowania przechodnia, już też dla przyjęcia daru, skoro go kto ofiarował; żadnego bowiem innego sposobu proszenia o jałmużnę nie używał. Owszem, żeby oddalić od siebie wszelką myśl i pozór żebractwa, unikał starannie zwyczajnych żebrakom wybiegów. Starął się o największą czystość około siebie, wychodził zawsze umyty, ogolony, kurtka jego granatowa była czysta i bez łat, również czyste buty korduanowe zielone, jakie zwykł był w lepszych czasach nosić, na boku miał torbę skórzaną do myśliwskiej podobną. Tak ubierając się, myślał, że przechodzący nie jako nad żebrakiem, lecz jak nad nieszczęśliwym ociemniałym litować się będą, i wesprą tego, któryby rad na kawałek chleba zarobić, ale nie ma sposobności do stosownej pracy.

Raz gdy na zwykłym miejscu siedział, ostrzegł go piesek, że ktoś nadchodzi: Boruta według zwyczaju zdjął kapelusz i uczuł, że jakaś mała rączka dotyka się jego ręki, zdało mu się przytém, że jakiś głos uszu jego dochodzi, którego jednak zrozumieć nie mógł. Trzymał on zawsze w ręku trąbkę,

która mu była pomocną na przypadek rozmowy z przechodzącymi, i teraz więc włożył ją do ucha, a mały chłopczyka który właśnie do Boruty przystąpił, choć tego nigdy nie widział, domyślił się przecież, iż to narzędzie do wzmocnienia słuchu służyć musi; wytłumaczywszy więc młodziej siostrzyczce z którą szedł, przyłożył usta do trąbki i zapytał starego, z kądby był, jak się zowie i gdzie ma swój dom. Westchnąwszy Boruta opowiedział małemu dobroczyńcy w krótkości swoje przygody, które chłopczyka aż do łez rozrzewniły. Było właśnie synek pana Ostoi, tegoż samego rotmistrza, którego Boruta napróżno niegdyś szukał, lecz że Boruta nie wymienił nazwiska tylko stopień, nie spodziewał się przeto chłopczyk, aby miał być narzędziem Opatrzności do zakończenia trosk nieszczęśliwego człowieka. Pan Ostoja tymczasem widząc syna zajętego rozmową z ubogim zwolnił kroku i zatrzymał się nieco z żoną, ciesząc się że syn zajmuje się losem biednego. Broniś, byłoto imię synka pana Ostoi, wysłuchawszy krótkiej powieści Boruty, postanowił wraz z siostrą prosić rodziców, aby nieszczęśliwemu ociemniałemu dali przytułek u siebie, i z tym proje-

ktem pobiegł do ojca. Wysłuchał ojciec przedstawić syna i rzekł: Dobrze moje dziecię, mieszkanie chętnie mu dam, ale czémże się będzie żywił? tu widzisz miasto dość ludne, trakt wielki, stary wyborne obrał sobie siedlisko, bo każdy z przechodzących hojnie go opatruje, a u nas na wsi któż mu co da? — „Ach ojcze, odezwał się Broniś, to właśnie starego najwięcej trapi, iż żebrać musi, a onby rad pracować, wynajdziemy mu robotę, a tymczasem oboje z siostrą dzielić się z nim będziemy naszym obiadem, wieszczę zaś odtąd całą mu odstąpimy, wszak ojciec mówi, iż na noc niedobrze jest wiele jadać. — Jeżeli tak, rzekł ojciec, tedy zgoda, ale namyślcie się dobrze moje dzieci, żebyście nie żałowały. — O ja się dobrze namyślił, odpowiedział radośnie skacząc Broniś; i ja także, dodała siostra jego. — A więc, mówił dalej ojciec, Bronisiu, idź powiedz żebrakowi twój zamiar, zobaczymy czy się na niego zgodzi, czy nie będzie wolał raczej siedzieć na tym tu kamieniu i grosze zbierać, jak skromnie żyć na wsi z łaski dzieci. — O zgodzi się pewno, rzekł Broniś, on tak szukał swojego rotmistrza, żeby u niego znalazł zatrudnienie i przytułek; tylkoż, ojcze, nie nazywaj

go żebrakiem, bo go to bardzo martwi. — Alboż on to był żołnierzem, zapytał się ojciec, że szukał swojego rotmistrza? — Tak jest ojcze, mówił Broniś; stary Boruta był kapralem. — Wyrazy te sprawiły wielkie wrażenie na panu Ostoi. Boruta, kapral, to zapewne ten sam pomyślił sobie, któremu ja dwakroć ocalenie życia winienem. Szybko więc posunął się kilka kroków naprzód, i choć w zmienionych znacznie rysach twarzy, poznał odrazu dawnego swojego kaprała. Broniś nie zważając bynajmniej na zbliżenie się ojca, uchwycił za trąbkę i opowiedział swój zamiar Borucie. Wysłuchawszy go stary, odezwał się z rozrzewnieniem: Niech cię Bóg błogosławi moje dziecko! obyś był taką pociechą rodziców, jaką mnie dziś pociechę przynosisz uwalniając mnie od przykrego żebractwa: znajdę ja u was pracę i za wasz przytułek będę się starał odwdziżyć; waszego zaś moje dzieci, obiadu nie potrzebuję, dość dla mnie suchego kawałek chleba, którego mi zapewne i czeladź wasza nie pozazdrości. Słuchał tych wyrazów pan Ostoja z rozczuleniem, lecz po chwili namysłu postanowił nie dać się poznać Borucie, aby doświadczyć szczerości ofiary swoich dzieci.

Boruta wstał, pogłaskał swojego pieska i odezwał się do dzieci: A ten mój wierny towarzysz możeż ze mną się udać?— Może odpowiedział pan Ostoja, a Broniś toż samo przez trąbkę powtórzył.— O! bo nieznosnie byłoby dla mnie opuszczać to zwierzę, które mi przez tyle lat miejsce przewodnika i opiekuna zastępowało. Już teraz pójdę za tobą młody paniczku, bo widzisz że ja sam nie trafię. — A więc wróćmy do domu zajezdnego, rzekł pan Ostoja, a Broniś dodał: ja poprowadzę Borutę, i wziął staroego za rękę. Szczeknął piesek, jakby zazdrościł Bronisiowi, lub bał się o stratę służby; uspokoił go Boruta pogłaskaniem i szli do miasta spokojnie.

Interesa pana Ostoi wymagały bytności jego przez parę jeszcze dni w Kownie; dogodna to była okoliczność na próbę dla dzieci, w domu bowiem zajezdnym nic więcej dostać nie mogły, nad to co zamówiono. Gdy nadszedł czas wieczerzy, zasiedli wszyscy do stołu i dano jedzenie według zwyczaju. Pan Ostoja zaczął umyślnie rozmowę z dziećmi, aby im wybić z pamięci ich przyrzeczenie. Dzieci rozmawiały zuwagą, brały potrawy z kolei, lecz nie jadły, a gdy wszyscy od stołu wstawali i służący



chciał sprzątać, Broniś odezwał się: **Ojcie**,  
wszak to jedzenie jest nasze, służący brać  
go nie może! — **Dlaczego?** zapytał się oj-  
ciec. — **Bo my zostawiliśmy dla Boruty, on**  
**nie jadł.** — **I cóż z tego rzekł ojciec,**  
**i wy widzę nic nie jedliście.** — **My jedliśmy**  
**dobry obiad, obejść się możemy bez wie-**  
**czy, mówiły dzieci.** — **To dobrze, ode-**  
**zwał się ojciec, więc kaźcie zanieść Boru-**  
**cie.** — **Nie, sami zaniesiemy, bo onby ina-**  
**częj jeść nie chciał, wszak to powiedział,**  
**słyszałeś ojcie!** — **Taki żebrak tylko was**  
**uwodzi moje dzieci!** — **O nie, ojcie, to nie**  
**żebrak, rzekł Broniś...** **Oboje pobiegli do**  
**izby Boruty. Długo się z nim namęczyli**  
**nim przyjął ich wieczerzę; gdy zaś jadł,**  
**Broniś tymczasem rozmawiał z nim za po-**  
**mocą trąbki, która go bawiła, lecz więcej**  
**jeszcze przypadki nieszczęśliwego Boruty**  
**zajmowały. Nazajutrz śniadanie dzieci nie**  
**było obfitsze jak zwyczajnie, i obiad i wie-**  
**czyra, a przecież dzieci, z większą jesz-**  
**cze jak dnia poprzedniego radością, poło-**  
**wę przeznaczonych dla siebie potraw od-**  
**kładały, nie zważając nawet na przysmaczki**  
**upodobane, które w tym dniu pan Ostoja**  
**umyślnie przyrządzić rozkazał. Po wie-**  
**czyry gdy dzieci wróciły do Boruty, rzekł**

im ojciec: „Dziś pewnie, moje dzieci, głodne jesteście i żałujecie waszego przyrzeczenia. — O nie, ojczy! odpowiedziały razem, nam tak jest dobrze, wszakże sam ojczy nie raz mówiłeś: nie na to człowiek żyje, żeby jadł, ale na to je, żeby żył: otóż my teraz według tego postępować będziemy. — Bardzo pięknie moje dzieci, cieszy mnie wasze poświęcenie, lecz chcę wam ulgę w niem przynieść; jutro odjeżdżamy do domu, a tam i ja chcę mieć udział w waszem dobrodziejstwie, i ja się z Borutą moim obiadem podzielę. Ze łzami w oczach uściskał dzieci, i dodał: bądźcie zawsze dobroczynnemi, na to Pan Bóg udziela nad potrzebę, abyśmy się z potrzebującami dzielili, a tém wdzięczniejsza Bogu ofiara, gdy ją składamy z ujmą własnej wygody.



## VI.

### MENAŻERYA.



„Do Wilna przybył jakiś cudzoziemiec i mnóstwo przywiózł żywych zwierząt, jakich u nas niema wcale,” mówił Boles do ojca; „jedźmy je zobaczyć kochany ojcze; dzieci pana Monwida już je widziały i nie mogą się o nich nagadać.” — Dobrze, rzekł pan Szeliga, i wy je zobaczycie, ale pamiętajcie, żeby to nie było tylko zaspokojeniem próżnej ciekawości, lecz żebyście ztąd korzyść naukową odniosły. — „O będziemy korzystały mój ojcze!” krzyknęły dzieci z radością, i ucałowały ręce ojca. Przez cały wieczór rozmawiały o lwach, tygrysach, lampartach, hienach, o których od

dzieci pana Monwida, swojego sąsiada, sły-  
szały. W nocy nawet niejedno o tych dra-  
pieżnych zwierzętach marzyło. Nie mógł  
pan Szeliga zaraz nazajutrz zaspokoić cie-  
kawość dzieci, zatrudnienia domowe nie do-  
zwalały mu tego, cały więc ten dzień tę-  
skniły dzieci, bojąc się, aby cudzoziemiec  
ze zwierzętami nie odjechał z Wilna. Wi-  
dząc niespokojność dzieci pan Szeliga, rzekł  
do nich: Nie tak, jak chcemy, ale jak może-  
my, moje dzieci: będziecie widziały zagra-  
niczne zwierzęta, ale trzeba cierpliwości;  
dla waszój zabawki nie mogę odstępować  
ważniejszych zatrudnień gospodarstwa. Nie  
zapominajcie nigdy tój zasady, że pierwěj  
zawsze należy starać się o to co jest po-  
trzebne, a potém o to, co jest wygodne;  
więcēj dbać o pożytek niż zabawę. — Nie  
w smak były dzieciom te uwagi ojca, ale  
chcąc nie chcąc zastosować się do nich mu-  
siały. Po trzech dniach przykrego dla nich  
oczekiwania, oświadczył wreszcie pan Sze-  
liga: jutro raniutko pojedziemy do Wilna,  
będziecie widziały zwierzęta, a ja moje in-  
teresa załatwię.

Nazajutrz rano, jeszcze było dość cie-  
mno, a już się dzieci pobudziły, poubierały  
i modlitwy poranne odmówiły. Wstał i pan

Szeliga wcześniej jak zazwyczaj, aby prace w domu na czas nieobecności swojej rozporządzić. Dano śniadanie, lecz dzieci pragnąc jak najprędzej stanąć w Wilnie, całą myślą zwierzętami zajęte, o jedzenie już nie dbały. Nie zwłóczył odjazdu ojciec, miał bowiem ważne powody dla których mu wypadało wcześniej stanąć w Wilnie; lecz tam postanowił dzieciom dać nową naukę cierpliwości. Zajechał powóz, wsiadł do niego pan Szeliga z żoną, Boles syn najstarszy, młodsza od niego siostra jego Terenia, ośmioletni Józio i pięć lat dopiero licząca Julcia. Radością upojone dzieci chciały jednym skokiem przebyć dwie mile, które ich dom od miasta przedzielały, dlatego zdawało się im, że konie zbyt wolno idą, że stangret źle powozi. Tymczasem warczały koła, dzielne konie posuwistym pędziły klusem i w półtoręj godziny już byli w Wilnie. „Staniesz w domu zajezdnym za Ostrą bramą,” odezwał się pan Szeliga do stangreta, a ten wkrótce wypełnił rozkaz. Wysiedli wszyscy i udali się do wskazanego sobie pokoju, a pan Szeliga zabrawszy papiery, udał się do sądu, oświadczając żonie iż nie wie jak prędko wróci, że może nawet na obiedzie

nie będzie, żeby więc na niego nie czekano. Okropny to był wyrok dla dzieci, które jak najprędzej oglądać zwierzęta pragnęły. Jakżeż się kręciły z nudów w domu zajezdnym, jak ziewały przez cały poranek, zdawało im się, że nie doczekają się obiadu, godziny żółtym krokiem dla nich się wlekły. Na nieszczęście okna gościnnéj izby, którą zajmowali, jakby na przekorę, wychodziły na podwórze, nie było więc na co wyglądać, a matka wybiegać na ulicę nie pozwoliła. Przecież uderzyła godzina dwunasta, lecz cóż z tego, obiad dają a ojca niema. Dzieci dręczone ciekawością wstały głodne od stołu. „Mamo! już dziś pewnie zwierząt nie będziemy widzieli, odezwał się Józio.” — „To zobaczymy jutro, odpowiedziała mu z poważną miną Terenia, wszakże możemy tu nocować, nieprawdaż Mamo? — Uśmiechnęła się matka na te wnioski dziecinne oznaką ich żądzy będące, i rzekła im: „Dzieci moje, cierpliwość wszystko przeczeka: ucicie się téj cnoty konieczności, ona w życiu naszym wśród tylu przygód najpotrzebniejsza. Dobrze jest że macie ochotę widzieć osobliwsze zwierzęta, lecz gdyby téż nam wypadło odjechać bez oglądania ich, niewielka ztąd dla nas wyniknęłaby

szkoda, a w cierpliwém zniesieniu tój przykrości wielką miałybyście zasługę. Ileżto razy w życiu będziecie zmuszone odmówić sobie niejednej przyjemności! przyzwyczajajcie się więc zawczasu do spokojnego znoszenia przeciwności, których uniknąć niepodobna. Dzieci pana Monwida widziały zwierzęta i to dla was tём większą stanowi podniecię ciekawości, lecz zastanówcie się i nad tём, jak wiele jest dzieci w samém Wilnie, które nie były i nie będą wcale u zwierząt, bo rodzice ich nie mają czём opłacić wnijsia, a darmo ich nie puszczą; i one przecież radeby zaspokoić swoję ciekawość, a tymczasem mimo woli żądze swoje ograniczyć muszą." Zamyśliły się dzieci nad ostatniemi wyrazami matki i już spokojnie na powrót ojca czekały.

Nadszedł wreszcie pan Szeliga i wybierając się dzieciom kazał. Już one od rana gotowe były, lecz w tój chwili nie okazały takiej jak przedtём skwapliwości. Postrzegł to ojciec, lecz nie mówiąc wyszedł z niemi. Przybyli do obszernej szopy umyślnie w tym celu wystawionej, aby wygodnie blisko dwieście zwierząt pomieścić mogła. Mało osób odwiedzających było i dlatego dzieci swobodnie wszystkiemu

przypatrzyć się mogły. Mała Julcia zlekła się srogięgo wejrzenia lwa, tak iż ojciec drżącą wziąć musiał na ręce. Wystąpił zaraz młody człowiek pięknie ufryzowany, w granatowym spencerku, suto złotemi galonami wyszytym, w obcisłych amarantowych spodniach, z czarną po bokach wypustką; w ręku trzymał laseczkę pięknie białym i żółtym drutem oplataną. Idąc koleją klatek w których zwierzęta zamknięte były, powiadał ich nazwiska, wymieniał miejsce gdzie się pospolicie znajdują, czem się żywią i jaka ich natura; a to opowiadanie tak płynne i gładkie było, że dzieci z wielką uwagą słuchały. Mały Józio na lasce ośmiu wsparty, ani oka nie spuścił, z opowiadacza. Była tam hiena, zwierzę afrykańskie, najbliższa i najżarłoczniejsza ze wszystkich istot; był tygrys w piękne żółte i czerwone pasy pręgowany, zwinnie i z wejrzenia łagodny, który przecieź żadnej żywej istocie nie przepuszcza, na mocniejszego nawet od siebie słonia zuchwale się rzuca; był lew wspaniały z piękną kudłatą grzywą, który także mięsem innych żywi się zwierząt, lecz gdy głód zaspokoi nie jest tak srogim jak tygrys; był lampart pięknie po całym ciele czar-



nemi centkami upstrzony, mniej silny od tygrysa, i nie tak srogi. W mocnej klatce ustawnie się kręcił niedźwiedź biały, drapieżne zwierzę z krajów wiecznym śniegiem pokrytych. W klatkach i nad klatkami przywiązane na łańcuszkach siedziały różne gatunki małp afrykańskich, a między niemi znajdował się ourang-outang najpodobniejszy do człowieka, rzadko Europie pokazywany. Ogromny słoń azyatycki bawił dzieci, pokazując swoją trąbą różne sztuki. Na rozkaz swojego kornaka, tojest przewodnika i dozorecy, podnosił grosz rzucony na ziemię, otwierał kluczem zamek, wydobył korek z podanej sobie butelki piwa i toż bez rozlania wypił. Najżywszych kolorów pierzem zdobne papugi z ciepłych krajów Afryki i Ameryki pochodzące, miły widok dzieciom sprawiły. Zgoła, nigdy dzieci przyjemniejszej zabawy nie miały, dlatego też za powrotem najczuliej dziękowały rodzicom.

W ciągu drogi, z powrotem do domu, każde opowiadało swoim sposobem to, co najwięcej uwagę jego zwracało. Rodzice słuchali powieści dziecinnych i niejedna trafna uwaga pocieszyła serce rodzicielskie.

Najstarszy Kazio zdumiewał się nad pamięcią i łatwością opowiadania tego, który im zwierzęta pokazywał, dodając, iż to musi być bogaty człowiek, kiedy tak ładne i złotem błyszczące miał ubranie. „Przeciwnie, rzekł ojciec, jest on bardzo ubogi i jeżeli wam się podoba, skoro wrócimy do domu opowiem wam w krótkości jego życie.” Zdziwiły się dzieci usłyszawszy jak stangret pękął biczem dając znać służbie dworskiej o powrocie państwa: zdawało im się, że jakąś krótszą drogą jechały. P. Szeliga przekonawszy się jak rozporządzenia jego, przed wyjazdem poczynione, wykonane zostały, wrócił do swojego pokoju i zajął miejsce w swoim krześle z poręczami. Dzieci natychmiast zbiegły się do niego chcąc słyszeć opis życia dozorey zwierząt, który im się tak podobał. Ojciec zadosyć czyniąc ich ciekawości, tak powieść swoją zaczął.

„Dzieci moje, ten który pokazując wam zwierzęta uwagę waszą zastanowił, nie jest dozorcą zwierząt, lecz tylko chwilowym pomocnikiem i wyręczycielem ich właściciela. Jest on nasz ziomek i nazywa się Wojniłło. Jeszcze przed kilką laty był on dziedzicem obszernych włości w Lepelskim

powiecie. Zaledwie cztery lata wieku swojego liczył, gdy mu ojciec zmarł, zostawwszy go pod opieką dziadka, a majątek w dożywociu matki. Dziadek dla wnuka, matka zaś dla jedynaka tak byli pobłażającymi, iż wszelkim jego kaprysom ulegali. Boże broń, żeby kiedy zapłakał, matka lękała się żeby nie zachorował i nie zmarł. Biada służącemu, na którego on naskarżył; ci więc chroniąc się kary dogadzali młodemu paniczowi we wszystkim. Im bardziej w lata postępował, tém natrętniejszym dla wszystkich się stawał. Zrobił się niecierpliwy, złośnik, dziwak, prawdziwa zapieka dla domowników. Czego żądał, natychmiast być musiało, bez względu na koszt i trudności. Spostrzegła się matka, lecz już niewczas; trudno było poskromić rozruchane żądze synka, gdy ten szesnastego roku życia dosięgnął. Przyjęto mu wprawdzie światłego i bardzo godnego nauczyciela, lecz ten wkrótce się usunął, przekonawszy się o bezużyteczności swoich zabiegów. Nastęczył się potém guwerner cudzoziemiec, ten podobał się młodemu wychowawcowi, i zato zyskał względy matki. Brał on wysoką płacę, a więcej jeszcze umiał wyłudzać podarunków, pochlebiał

wszystkim, na wszystko się zgadzał. Rozmawiał z młodym to po niemiecku, to po francuzku, lecz go niczego więcej nie uczył, o nic nie strofował, a coraz nowe zabawki wymyślał. Przecież i jemu przyszło na koniec. Towarzysze zbytków młodego Wojniłły poczęli z niego żartować, że w takim wieku, jeszcze jak dziecię potrzebuje guwenera. Trafiły te żarty do jego serca i nawet wymógł u matce, iż go od niepotrzebego dozoru uwolniła. Tymczasem uczyły, huczne zabawy, lekkie podróże bez celu, nadwątlaly coraz bardziej majątek; już dochody nie starczyły, trzeba było zaciągać długi. Wyszły się powoli pozostałe po ojcu klejnociki i srebro, dom niegdyś piękny i zamożny, stał się pustym, nędza się cisnęła wszystkiemi drzwiami. Nie doczekała jej przecież matka, ze zgryzoty przedwczesnie życie zakończyła. Wojniłło odziedziczył majątek, lecz zamiast rozpoznać stan jego, i wydatki zastosować do dochodów, on przeciwnie, huczniejsze jak dotąd wiódł życie. Dłużnicy, aby prędzej swoje odebrać, dostarczali pieniędzy; nie wyszło dwóch lat po śmierci matki a długi przewyższyły wartość majątku. Zbiegli się dłużnicy i jak mogli podzielili

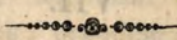
między sobą majątność, a pan Wojnillo wyszedł jak to mówią z kwitkiem. Nie troszczył się on wcale o to, bo niemal że kosztem domowych przyjaciół żyć będzie, lecz jakże się zdumiał, gdy żadnego z nich zastać w domu nie mógł. Udał się więc do Wilna, lecz i tu drzwi przed nim zamykano; jeżeli zaś dawnego znajomego na ulicy spotkał, przywitany oziębło, od każdego jednoż prawie słyszał: „Cóżto? pana majątkiem podzielili się dłużnicy, szkoda! do zobaczenia, dziś mam nadzwyczaj wiele interesów.” Otworzyły się dopiero oczy panu Wojnille, na nieszczęście już zapóźno. Czegoż się jąć? do ręcznej pracy niezdolny, siły nie ma; do umysłowych zatrudnień Pan Bóg dał zdolności przyzwoite, ale ich nie kształcił, zaledwie czytać i pisać się nauczył i przez codzienną wprawę niezgorzdej mówić obcym językiem. Długo żył z litości tych co zacnego ojca nieboszczyka znali, ależ i najobfitsze źródło dobroczynności przebierze się zwłaszcza dla młodego człowieka, który pracować może i powinien. Przykro też było i samemu Wojnille żyć z jałmużny; począł się więc starać o miejsce w któremby na kawałek chleba zarobił. W tę właśnie porę przybyły cudzoziemiec

ze zwierzętami, nieumiejący naszego języka, potrzebował człowieka, któryby go w pokazywaniu zwierząt wyręczył. Los mu nastreczył Wojnilłę. Postawa jego a nadewszystko łatwość wysłowienia tak ujęły cudzoziemca, iż go z chęcią przyjął i pewne wynagrodzenie, choć szczupłe, ale przecież na skromne utrzymanie wystarczające, przeznaczył. Zachował Wojnilło z czasów zbytku ten ubiór bogaty w którym go widzieliście, zresztą tę macnotę, że się poddał losowi swojemu i przestaje na tem co mu Bóg dał.”

Skończył opowiadanie ojciec, a dzieci zadumane jeszcze spokojnie siedziały; dodał więc: „Widzicie moje dzieci, jak źle jest iść za popędem żądz swoich, jak na złe wyszło Wojnille pobłażanie matki i obojętność dziadka. Odtąd zapewne nie będzie wam przykro, gdy się co nie stanie według woli waszej, lub przynajmniej chęci wasze nie będą tak prędko spełnione, jakbyście sobie tego życzyły; pomyślcie sobie: rodzice lepiej wiedzą co nam pożyteczne a co szkodliwe, na ich zdanie spuścić się trzeba. Nauczyciela waszego, jeżeli wam co zgani, jeżeli was za błędy wasze skarci, tem więcej kochać bę-

dziecie, wspomniawszy że on to dla wasze-  
go dobra czyni, że gorzejby dla was było,  
gdyby waszym skłonnościom potakiwał,  
bo możebyście w końcu tak wyszli jak Woj-  
nillo.

3/3



## VII.

### PTASZKI.



Znikła posępna zima, dawno już stopniały śniegi pokrywające pola, pękły lody, które pokrywały rzeki i stawy, w miejsce smutnej zgrzybiałości świata przybrała ziemia wesołą, młodzieńczą postać. Maj, ten najmilszy w roku miesiąc, w świeżą barwę postroił wszystkie krzewy: zazieleniły się łąki, pola i gaje. Ś. Pankracy zatrwożył wprawdzie na chwilę ogrodników, otrętwiały od zimna delikatnych roślin wypustki, lecz wkrótce ożywczy deszczyk dawną przywrócił im rzeźwość. W pięknym nad Bzurą folwarku pana Gałązki, zebrało się dość liczne grono krewnych, którzy już to z obowiązku,



już też z upodobania, większą część roku przepędzając w mieście, w maju przynajmniej świeżem pragnęli odetchnąć powietrzem. Wdzięczne teżto było położenie tego folwarku; a urządzenie jego we względzie gospodarskim dogodne, na wejście bardzo przyjemne. Od brzegu Bzury łagodnie wznosił się pagórek mały, na którym stał murowany, niewielki wprawdzie, ale wygodny domek, przodem ku rzece zwrócony. Z jednego boku od strony wschodniej mieściły się zabudowania dobrego wiejskiego gospodarstwa jakoto: kurnik, gołębnik, i kilka ulów pszczół, z drugiego zaś, od strony zachodniej, było z salki wyjście do ogrodu. Rzeka, jakby umyślnie dla zabawki dziedzica, przepłynąwszy przed domem, nagle się zwróciła do ogrodu i przez środek jego przebiegłszy, rozległe skrapiała łąki. Wieś i zabudowania gospodarские, to jest stajnie, stodoły, owczarnie, na przeciwnym brzegu rzeki w należitym porządku i z przezornem wyrachowaniem zbudowane były. Za niemi, w niewielkiej odległości gajk zamykał ten miły obraz nie wykwiintnej, lecz przyjemnej wiejskiej siedziby.

Pan Gałązka miał w całej okolicy sławę wybornego gospodarza, którą stwierdzały na pierwszy rzut oka obszerne łąny bujnego zboża, piękne stada wysoko poprawnych owiec, dzielne, własnego chowu konie i znaczna ilość wybornego bydła. Nadewszystko jednak uderzający był we wszystkiem porządek i czystość. Droga przez wieś brukowana z wyrachowanym należycie spadkiem, nie tworzyła owych obmierzłych kałuż, w których po większej części wiosek naszych i ludzie i bydło grzęźnie, a przejeżdżający wędrownik złorzeczy i dziedzicom i niedbałym mieszkańcom. Podobnież podwórza zrównane, tak, że do stajen i obór po największej ulewie suchą nogą dojść można. Kilka dni w tym domu gościłem, a nie zdarzyło mi się słyścić, jak gdzieindziej, chrapliwego głosu ekonoma, anim widział żeby władarz batem nad ludźmi wywijał, a przecież robota szła, jak to mówią, jakby z płatką wywinał.

Pani domu równie gospodarna jak jej małżonek, już o wschodzie słońca obejrzała swoje gospodarstwo, wydała potrzebne na cały dzień rozkazy, i dlatego, choć cały dzień zdawała się gośćmi być zajęta,

przecież wszystko szło nader porządnie i przyzwoicie, tak że ospali miasta mieszkańcy pojąć nie mogli, jakim sposobem służba dworska, bez trzasku i ustawnego kręcenia się obowiązki swoje należycie pełniła, bo nie widzieli jak pani raniuteńko każdemu całodzienne zatrudnienie wyraziźnie i zrozumiale wskazała. Jeszcze dobrze zasypiali, kiedy ona już obejrzała swoje krowy, zwiedziła mleczarnią, ułożyła z kucharką obiad i wieczerzę, i często własną ręką rzuciła ziarno drobiowi. W tej ostatniej czynności, pospolicie towarzyszyły jej dzieci, a szczególnie sześćioletnia córeczka, i dwoma laty starszy od niej synek; inne bowiem, choć również rano wstawiały, niezawsze jednak mogły towarzyszyć matce: nauka była ich ważniejszym obowiązkiem, który przedewszystkiem wypełnić należało. Małeńka Zosia za każdym razem biegła za matką, brała od niej zboże i rzucała gołąbkom, które szczególnie lubiła, i wiele z nich tak rozlaskawiła, iż jej na ramieniu siadały, i z rączki groch jadły. Waluś, starszy braciszek jej, nadrażniony do woli napuszonego indyka, przypatrywał się jak chciwie wygłodzone kury i kurczęta zbierały rozrzucone ziarna, jak małe ko-

gutki z sobą walczyły. Znał on doskonale stan drobiowego podwórza, najwięcej go jednak zajmowały gołębie, gniewał się tylko że żadnego nie mógł oswoić jak Zosia. W czasie gdy się zjechali krewni i przywieźli z sobą dzieci, Waluś nieraz prowadził je na podwórze, i pokazywał im gołąbki jakby swoje gospodarstwo; wtedy i starsze dzieci przez wzgląd dla gości i dla ich zabawki miały niejaką przerwę w naukach, i zaglądały na podwórze: był przy nich pospolicie domowy nauczyciel, a niekiedy i rodzice przypatrywali się zabawkom dzieci i słuchali ich rozmów.

„Ja nie lubię ani indyczki ani indyka, odezwał się raz Waluś.” — Dlaczego? zapytał go stryjeczny brat Ignasz. — Dlatego, odpowiedział Waluś, że indyczka zawsze piszczy jakby się ustawicznie na coś skarżyła, a indyk widział jak paw' piękne swoje pióra roztacza, i on też się nadyma i swój szary ogon rozkłada, a to wcale co innego: skłniane, różnokolorowe oczka pawia, a brzydkie pióra indyka; albo ten siwy zwieszony nos możnaż porównać z prześliczną kitką pawia? — To prawda, odezwał się Henryś, i ja wolę pawia, bo on tak spokojnie chodzi po dziedzińcu, a indyk nadęty

każdemu w drogę wchodzi: ja skoro się tylko na podwórzu pokażę, to go prątkiem odpędzać muszę, tak skacze do mnie jak gdyby mnie chciał zadziobać, choć ja go wcale nie drażnię. — Wyborny z ciebie byłby gospodarz, przerwała mu Salusia, ja bym zaś jak najwięcej chciała mieć indyków, bo to piękne można brać za nie pieniądze. Pamiętasz Henrysiu jak Mama za trzech indyków daleko więcej wzięła pieniędzy niż za pięćdziesiąt kurcząt.” Zaczęła się sprzeczka między dziećmi, i w końcu wszystkie razem udały po wyrok do nauczyciela który się pilnie całej rozmowie przysłuchiwał. „Moje dzieci! rzekł nauczyciel, każde z was ma słuszość. Piękny jest paw, lecz korzystniejszy w gospodarstwie indyk, że zaś puszy się i nadyma, to nam nic nie przeszkadza. W hodowaniu zwierząt domowych patrzymy tylko na pożytek jaki ztąd odnosimy, te więc tylko przymioty uważamy za złe w zwierzętach, które zamierzone z nich korzyści zmniejszają; lecz zastosujcie tylko to do ludzi, coście uważały w pawiu i indyku, a wcale inny ztąd wypadnie wniosek. Niemile wrażenie robi дума możnego pana, jak pawia, lecz obmierzła jest nadętość

ubogiego jak indyka: skromność zdobi każdego człowieka. Śmiejemy się z ludzi napuszonych, lecz nie przeszkadza aby społeczność nie miała korzystać z ich talentów i pracy; płaszczyć się jednak i pochlebiać dumie dla osobistej korzyści jest nikizemnością. Moje dzieci, strzeżcie się dumy i próżności, bo niedość na tem, że się staniecie przedmiotem szyderstwa i pogardy, ale nadto zaślepieni na własne błędy i ułomności, zamkniecie sobie samochcąc drogę dalszego udoskonalenia. Człowiek dumny uważa się za wyższego i lepszego od innych, nie widzi w sobie nic złego, owszem w samych ułomnościach swoich upatruje coś dobrego. Rady nieczyjej nie przyjmuje, a przestrożę uważa za wyraz niechęci i zawiści; dlatego też ani w naukach postąpić nie może, ani rozsądku nie kształci, i z tejto przyczyny częstokroć dwa te wyrazy, dumny i głupi za jedno się biorą." Byłyby dzieci z ochotą dłużej jeszcze słuchały uwag Nauczyciela, lecz dano znak na śniadanie, pobiegły więc czempredzej do altany w ogrodzie, w której już rodzice ich zebrani byli. Zasiadłszy przy stoliku na nowo rozpoczęły rozmowę o ptaszkach.

Henryś odezwał się, że poprosi ojca swego, aby mu pozwolił chować gołąbki, których mu zapewne Waluś ze dwie pary daruje. — Jabym wolała chować kanarka, rzekła Salusia; to większa daleko przyjemność, bo można go trzymać z klatką w pokoju, i nietyle z nim zachodu co z gołąbkami, a jak on ładnie śpiewa! — Jeżeli ci chodzi o śpiewanie, mówił Ignas, to lepiej już postarać się o uczonego kosa lub szpaka; ja slyszalem w Warszawie u jednego fabrykanta, jak kos ślicznego śpiewał mazurka, to dopiero miło slychać! — A wszakże i kanarka można nauczyć, odpowiedziała Salusia, i zdaje mi się, że jego śpiew jeszcze przyjemniejszy. — Mniejsza o to, rzekł Henryś, tobie się podoba kanarek, a mnie gołąbki; ty wolisz przyjemność, a ja pożytek.... To mówiąc obrócił się z prośbą do ojca o pozwolenie chowania gołąbków. Salusia udała się do matki prosząc o kanarka, a Ignas o kosa lub szpaka. No, no, moje dzieci, rzekł pan Gałazka, zkadże wam się razem taka ochota wzięła do pielęgnowania ptaszków! zastanówcie się pierwej, czy to być może, czy macie do tego sposobność. Henryś bardzo dobrze powiedział, że woli pożytek ale się pewnie nad tem nie zastanowił. Je-

żeli przynosi istotnie pożytek nad przyjemność, to zapewne nie będzie się chciał zajmować gołąbkami. — A to dlaczego wujaszku? — Dlatego, iż największy pożytek przynosi nauka, którąby ci nieraz zaniedbać przyszło pielęgnując gołąbki; a Boże broń, gdybyś się miał do nich namiętnie przywiązać, wtedy zapomniałbyś zupełnie o nauce, pouczyłbyś się różnych nieprzyzwoitych rzeczy, które umieją chłopcy samemi gołębiami zajęte: jakoto zamieniania, sprzedawania, wabienia, it. p., bo wszystkie żądze w człowieku wzrastają, i ani się spostrzeże jak do złego przywiódą. Lepiej więc moje dziecię nie obudzać ich, niż potem niewcześnie żałować. Żeby cię lepiej przekonać, mój Henrysiu, o tém co mówię, opowiem ci przypadek jednego chłopczyka, bardzo przykry dla niego, a jeszcze przykrzejszy dla rodziców.

Kiedym był jeszcze w urzędowaniu, jak twój ojciec, mieszkałem w Lublinie w domu aptekarza R\*; miał on szpała, którego nauczył wymawiać kilka wyrazów, jakoto: *kłaniam; proszę siedzieć; szpasio tu.* — Synek jednego urzędnika, Michaś zdaje mi się imię mu było, małoco starszy od ciebie, miał także różne ptaszki, kanarki, gile,



czyżyki, kosa, któremi podobno więcej się zajmował niż książką. Ojciec jego, człowiek pełen uczciwości, gorliwy urzędnik, nie miał czasu pilnie wglądać w czynności swojego synka, a matka zanadto była pobłażająca dla niego. Widziała ona jak rozmaite chłopcy schodzili się do niego z ptaszkami, jak jeden zbywał, drugie zamieniał, przestrzegała go raz po raz, lecz w końcu nie zdawało się jej, aby to miało być coś tak dalece szkodliwego. Tymczasem przywiązanie do ptaszków zajęło zupełnie duszę Michasia; gdzie tylko posłyszał o ptaszku pięknie śpiewającym, zaraz go chętka brała nabyć go dla siebie. Będąc raz z polecenia ojca u aptekarza, usłyszał z wielkiem zadziwieniem mówiącego szpaka: wnet zapaliła się w nim żądza nabycia podobnego; napomknął to aptekarzowi, ale ten ani słuchać nie chciał. Miał i Michaś szpaka, nuż więc uczyć go mówić, ale darmo: czy szpak był niepojętny, czy on uczyć nie umiał, dość że trudy jego były próżne. Przez ten czas bywał często u aptekarza dla przysłuchania się jak szpak jego wymawia, aby tem łatwiej swojego nauczyć. Aptekarz go lubił, bo to był chłopczyk miły, uprzejmy i wiele rozważający; nie-

raz go samego ze szpakiem zostawiał, nie przypuszczając wcale, aby jaka zła myśl mogła powstać w głowie tak dobrze ułożonego chłopczyka.

Razu jednego Michaś będąc sam u aptekarza, wtedy gdy już zupełną stracił nadzieję nauczenia swojego szpaka, postanowił przywłaszczyć sobie tego, który go tak mocno zajął; sięgnął więc do klatki, schwytał ptaszka i już z nim wychodził, gdy wtém wraca aptekarz, a ptaszek w kieszeni chłopczyka odzywa się: *szpasio tu*; zmieszał się chłopczyzna i mało nie zemdleł ze strachu i wstydu: otworzyły się oczy jego, wtedy dopiero poznał jak szkaradny popełnił występpek. Oddał natychmiast szpaka, ze łzami błagał aptekarza o przebaczenie i zachowanie tego w sekrecie przed rodzicami, ale napróżno, bo za aptekarzem biegł uczeń apteczny, co wszystko widział i słyszał, a któremu trudno było zamknąć usta. Zresztą, sam aptekarz zanadto szanował rodziców Michasia, ażeby nie miał ich ostrzedz o złej sprawie syna. Zmartwiło to niesłychanie zacnego ojca a matka z żalu rozchorowała się. Nie był to chłopczyk zły, postrzegł więc sam przepaść nad jaką stanął, postanowił poprawić

się i zaraz pootwierawszy wszystkie klatki udarował wolnością swoje ptaki, a natomiast z największą gorliwością zajął się nauką. Odmiana zdziwiła wszystkich nauczycieli, którzy nie wchodząc w przyczyny, cieszyli się postępem wybornego ucznia. Tymczasem wiadomość o sprawce jego, od ucznia aptekarskiego dostała się powoli do spółuczniów owego chłopczyka, wnet za lada okazyą usłyszał przycinek „szpasio tu,” nakoniec zmieniło się to prawie w jego przydomek, tak dalece, że już i nauczyciele dowiedzieli się o wszystkim. Biedny chłopczyka nie mógł znieść tej hańby, martwił się mocno, nareszcie wpadł w słabość niebezpieczną; przez kilka dni mała była nadzieja utrzymania go przy życiu, biegłość kilku lekarzy ledwie przemogła chorobę. Lecz wróciwszy do zdrowia, nie mógł już wracać do szkoły po nowe prześladowanie; ojciec zaś nie miał funduszu aby go do innego odesłać miasta, nowa więc zgryzota i dla rodziców i dla syna, widząc zamkniętą dla niego drogę dalszego kształcenia się. Tak to moje dzieci, jeden błąd zaślepienia tyle za sobą nieszczęść prowadzi. Uczył się on wprawdzie w domu, lecz cóż to znaczy nauka takiego dziecięcia bez pomocy

nauczyciela! Miał wprawdzie między uczniami kilku przyjaciół, którzy przez wzgląd na dobre jego przymioty zapominali o złym postępku; ci mu pomagali, objaśniali jak mogli, ale często choć sami rzecz dobrze rozumieli, nie byli w stanie wyłożyć jej tak, iżby on ją pojął. Cała więc praca jego niewiele mu przyniosła pożytku. Przecież w końcu Pan Bóg zlitował się nad tą niešťeśliwą rodziną, ojciec uzyskał wyższą posadę w Suwałkach, i z radością tam pospieszył. Czy wieść zła nie ścigała dalej jego syna, tego nie wiem, bo i ja wkrótce potem opuściwszy urzędowanie, osiadłem w tym folwarku. — O zapewne, odezwał się Ignas, w Suwałkach nikt ich nie znał, to mogli już być spokojni, i Michaś zapewne dobrze się uczył i szkoły skończył z pochwałą. — Nie sądz tak Ignasiu, rzekł pan Gałazka, jak dobre, tak i złe daleko się rozchodzi. Mógł jaki spółuczeń jego przenieść się także z rodzicami w tamte strony, i nowym kolegom swoim udzielić téj wiadomości. Nauczyciele się często zmieniają, mógł więc który z nich być przeniesiony do Suwałk, i bez myśli nawet szkodzenia, napomknąć komuś o tym wypadku. Zresztą uczeń aptekarski dostawszy się do Suwałk, zapewneby drugi raz

wiadomość tę rozniósł. Zgoła wiele jest dróg, któremi wieść ta mogła się dostać do Suwałk, i tam ich jeszcze prześladować i dręczyć. Moje dzieci, pamiętajcie zawsze, że co się stanie, odstać się nie może: wymówisz nierozważne słówko, już go nie cofniesz, a odwoływanie, wymówki, usprawiedliwienia, niełatwo zdołają poprawić to, co owo słówko zrządziło; a cóż dopiero jeżeli złym czynem zeszpecisz charakter: długo i długo pracować trzeba, nim się ta plama zetrze. <sup>7/3</sup> Człowiek nieprędko się skłoni do występku, tak silny jest głos sumienia, którym Twórca obdarzył każdego człowieka; lecz jeżeli polubi błąd, jeżeli mocno przylgnie do niego wada jaka, wtedy namiętność górę bierze, zaciemnia jego rozsądek, wywołuje dumę, miłość własną, które na wszelkie przestrogi zręcznymi wybiegami odpowiadają, i coraz prędzej do złego prowadzą, póki nie wepchną na drogę występku, na której nie każdemu Pan Bóg pomoże zawrócić. Otóżto dlatego, moje dzieci, ja wam nie radzę zajmować się ptaszkami, bo żadne z was zaręczyc nie może, czy nie przekroczy miary zabawki.—Ja zaręczam stryjaszku, odczwał się Ignas, ja nie zaniedbam nauki dla szpaka lub kosa.—

Tak się zdawało i Michasiowi z początku, odpowiedział mu pan Gałązka, i on matce swojej zaręczał, że ta zabawka w niczem naukom jego przeszkadzać nie będzie; i w istocie był on bardzo pilnym uczniem, i sam nie wiedział jakim sposobem tak daleko w złém zabrął. Co innego na wsi moje dzieci, Waluś mój, Jaś, Zosia, bawią się ptaszkami, ale wtedy gdy mają wolny czas od nauki; nie potrzebują pamiętać o ich karmieniu, pojeniu, kto inny utrzymuje czystość koło nich, a nadewszystko niema tych zepsutych, złośliwych chłopców, którzy z handlu ptaków próżniackie sobie po miastach robią rzemiosło. Wy zaś w mieście mieszkając nie będziecie miały tych dogodności, a na wszelkie pokusy narażone zostanieie. — Ja nie chcę już gołąbków, odezwał się Henryś, żebym przypadkiem nie stracił promocyi. — I ja dziękuję za kanarka, dodała Salusia, bo to prawda, że codzien byłaby z nim robota, a ja muszę się spieszyć z wykończeniem haftowanej zasłony, którą robię do kościoła XX. Pijarów w Radomiu. Ignaś tylko nic nie mówił, jak gdyby niezupełnie jeszcze o słuszności uwag pana Gałązki przekonany: miłość własna szept-

ła mu do ucha, że mocną wolą wszelką pokusę pokonać zdoła.

Skończyło się śniadanie, dzieci otoczyły nauczyciela i wyszły z nim do ogrodu; Henryś spostrzegłszy latające jaskółki koło altany, zapytał się nauczyciela, dlaczegooby jaskółek zabijać niewolno było. Ignas nie czekając odpowiedzi nauczyciela, — „to przesąd wieśniaków, rzekł z uśmiechem, u nich i skowronka niewolno zabijać.” — Zwyczajów wiekami uświęconych, odczwał się nauczyciel, nie godzi się odrazu tytułem przesądów obdarzać, ale raczej zastanowić się wypada nad przyczynami zakorzenionego mniemania. Prawda, że na stołach pańskich smaczno zajadają tłuste skowronki w jesieni, a wieśniak uważałby to sobie za występek zabijać towarzysza swojej pracy. Jestto ptaszek który na wiosnę wraz z pracowitym rolnikiem wstaje, wznosi się pod niebiosa, i wdzięczne rozwodząc trele, dodaje ochoty oraczowi; żaden ptak śpiewem swoim nie uprzedza skowronka, żaden w otwartém polu w górnych szlakach, prosto nad głową oracza, nie nuci swojej piosnki. Ztąd poszło u wieśniaków poszanowanie tego śpiewaka Pana Jezusa, jak go zowią; ta jest przyczyna, dla której za złe poczy-

tują zabijanie skowronka. Piękny z tej okazji wierszyk napisał Symonowicz, który warto pamiętać, trafnie bowiem maluje charakter naszych wieśniaków.

*Już śpiewasz skowroneczku, już też i ja orzę,  
Obudwu nas w pracy jednoż widzi zorze.  
Bóg pomóż, skowroneczku dodawaj nadzieję,  
I dla ciebie ja razem i dla siebie sieję.*

Jaskółki także nie bez powodu zyskały poszanowanie, mówił dalej nauczyciel; naprzód, wracając z wędrówki zwiastują nam wiosnę, tę po długiej i przykrzej zimie z utęsknieniem oczekiwaną porę; i dlatego mile już były narodom odległej starożytności. W Grecyi przybycie pierwszej jaskółki dawało powód do pewnej uroczystości, osobliwie dla dzieci uboższych rodziców, które nucąc piosnki do tego stosowne, chodziły od domu do domu zbierając drobne dary, które im chętnie ofiarowano. Powtóre: dawno już oceniano przysługę jaką ludziom wyświadczają w wytępianiu przykrych much, komarów i tym podobnych owadów. Jeden z uczonych i niezmordowanych badaczy uważał, że jaskółka przeszło sto razy na dzień przylatuje do gniazda, w którym młode pisklęta wylęgła, a za każdym razem najmniej dwadzieścia, a czasem czterdzieści



owadów w dziobku przynosi; coto za masa wytępionych dokuczliwych much i komarów! Do tego przeznaczenia wszystkie gatunki jaskółek mają dziwnie zastosowaną budowę ciała. Skrzydła wielkie, ogon długi i szeroki, przez co mogą i szybko i wygodnie latać. Zaden też z ptaków nam znajomych ani tak prędko, ani tak zwinnie, ani tak długo latać nie może. Jaskółka cały dzień lata w ustawnych zwrotach, raz się wzbija w górę, że z oczu niknie, to znowu prawie ziemi dotyka się skrzydłami; jeżeli zaś lata ponad wodą, wtedy tak się zniża że piersiami i skrzydłami dotyka się jej powierzchni. Wszystkie jaskółki mają dziobek krótki, prosty, ostry, przy osadzie szeroki i spłaszczony, otwór gardła szerszy, jak u któregokolwiek ptaszka podobnejże wielkości, inaczej niepodobnaby im było chwytać w locie owady. Na cóż więc przydałoby się ludziom tak pożytecznego, a w niczem nienaprzykrzonego ptaszka zabijać? Nie jestto więc przesąd, lecz na pewnej zasadzie ugruntowany zwyczaj. <sup>4/3</sup>

Gdzie się jaskółki podziewają w zimie? zapytał się Ignás; ja słyszałem że one poczepiawszy się paluszkami, zanurzają się w stawach i jeziorach między trzcina, a na

wiosnę ztamtąd wylatują. — Otóż to jest przesąd, rzekł nauczyciel; być może iż do tego dało powód znalezienie kilku jaskółek w wodzie, które spóźniwszy się z odlotem, ściśnięte nagłym zimnem wpadły w staw, lub jezioro; lecz w ogóle to już żadnej nie podpada wątpliwości, że wszystkie do cieplejszych krajów odlatują, i to w sposób zadziwiający. Często zbierze się znakomite ich stado, i w jednej godzinie wszystkie znikają. Żeglarze zapewniają, że w czasie, w którym od nas odlatywać zwykły, pokazują się w Afryce, lecz podobno tam się nie gnieźdzą.

Czy to prawda, zapytał się Henryś, że jaskółki wracając na wiosnę, do przeszłorocznych gniazd trafiają? — Tak pospolicie utrzymują, odpowiedział nauczyciel; trudno jednak zaręczyć. Jeden Francuz miał tyle cierpliwości, że cztery tysiące jaskółek złowił i wszystkim na znak podawał delikatne obrączki z blachy na nóżki. Tak oznaczone przez całe lato znajdowały się w tejże okolicy, lecz na wiosnę żadnej ze znakiem nie dostrzeżono.

Ja widziałem, rzekł Ignas, gniazda jaskółek całkowicie okrągłe, i z boku tylko mały w nich otwór, a drugie półokrągłe,

zupełnie z wierzchu odkryte. — Gatunków jaskółek, odpowiedział mu nauczyciel, trzydzieści ośm rachują uczeni, u nas jest ich tylko cztery. 1) Jaskółka domowa z wierzchu błękitnawo-czarna, pod spodem biała; ta lepi sobie gniazdo z gliny i mułu pod belkami, gzymsami, w framugach okien: jest ono okrągłe, z małym otworem z boku. 2) Dymówka, głowę ma ciemno-brunatną, lepi gniazdo jak poprzedzająca, ale wybiera miejsca pod dachami, belkami wystającymi, tak że nakrycia z wierzchu nie potrzebuje. Czasem gnieździ się w kominach o kilka stóp niżej od wierzchu. Tych więc dwóch gatunków gniazda widziałeś Ignasiu. Oba dwa te gatunki trzymają się blisko mieszkań ludzkich po wsiach i miastach; zdają się żyć w zgodzie między sobą, przynajmniej często widzieć je można łączące się przeciw spólnemu nieprzyjacielowi. Gdy kot, łasica, sowa, zagrażają ich pisklętom, wtedy na okrzyk trwogi zbierają się tłumy jaskółek ze wszystkich stron, gromadnie uderzają na nieprzyjaciela, a pozbawione będąc silnego dzioba, ostrych szpon, w szybkości i zwinności szukają swojego ocalenia. Massą snują się koło nieprzyjaciela, każda go skubnie, i nim ten do obrony się

zabierze, już jaskółka daleko odleciała; druga natomiast przeciwnika drażni, tak dalece, że widziano, iż nawet zuchwały krogulec uchodził z placu przed natarczością całego stada. 3) Trzeci gatunek stanowią grzebieluchy, najmniejsze ze wszystkich, z wierzchu siwawo brunatne, pod spodem białe, ogon mają krótszy od poprzedzających. Trudno pojąć, jakim sposobem tak mały i słaby płaszek, może w dość twardym nieraz gruncie, nad brzegiem rzeki lub stawu, w ziemi, prawie dwie stopy głęboki wykopać dołek, w końcu którego ściele sobie gniazdo. Grzebieluchy inaczej zwane Grzegułki, a gdzieś Brzegówki stronią od mieszkań ludzkich, obierają miejsca samotne i nigdy w znacznych gromadach nie żyją. 4) Ostatnim gatunkiem jest murówka, największa i najsilniejsza ze wszystkich. Gniazdo ściele sobie na najwyższych miejscach, na wieżach, wysokich domach, w wydrążeniach murów. Lata zawsze bardzo wysoko i nigdy się ku ziemi nie zniża. Pazurki haczykowate tak ma ostre, iż się może czepiać muru. Ta najwcześniej do nas przybywa na wiosnę i najpóźniej odlatuje. Dwoje tylko małych na raz wylęga, inne zaś gotunki po czworo,

a nawet i po sześcioro ich wywodzą, i to dwa razy w ciągu jednego lata. Wszystkie jaskółki w locie się żywią, i w locie piją, w locie nawet karmią swoje młode, skoro je tylko z gniazda wyprowadzą. Uważano jeszcze tę osobliwość, że w karmieniu zachowują porządek starszeństwa: to które pierwój się wykluje, pierwój przed innymi dostaje pokarm, i tak inne następnie z kolci. Widzicie, moje dzieci, jak mądra Opatrzność Bozka wszystko dobrze urządziła: tak małe ptaszyny jaki mają instynkt, który je ostrzega o czasie, w którym dla braku pożywienia w cieplejsze odlatywać muszą strony, i znowu wiedzą, kiedy mają powracać na dawne siedlisko. Ucząc się historii naturalnej, lub sami czytając, więcej jeszcze i dziwniejszych dowiećcie się rzeczy o instynkcie i zwyczajach różnych zwierząt.

## VIII.

### TURNIEJE.



Na wznioślejszym brzegu Narwi, naprzeciw Łomży, leży wieś Kalinowo, za moich czasów dziedzictwo czcigodnego Pawęzkiego, teraz już w innych podobno znajduje się rękę. Mało wiosek tak wdzięcznem poszczycić się może położeniem. Od spodu wzgórza na którym wieś zbudowana, rozciąga się błonie ledwie okiem przejrzone, przez które nakształt błyszczącej czarnej wstęgi wije się w różnych zakrętach Narew. Z ciemnych na płaszczyne wydobywszy się lasów, myje stopy pagórków, co się do lewego jej boku przysiadły, a z nich najwyżej i najforemnej wznosi się tuż pod lasem wzgó-







rze, z którego, według podania, zamek królowej Bony na rozległe spoglądał niziny. Dalej, przeszło ćwierć mili pasmo nieprzerwane pagórków z wybitnymi śladami zburzonego kiedyś zamożnego grodu, teraz różnym zbożem zasiane, nakształt przegowanego kobierca w oczy wpadają. Wreszcie wznoszą się szczyty czterech świątyń pańskich, a między nimi smutnie odbijały słomiane po większej części strzechy drewnianych domków Łomży, które na gruzach dawnych kamienie zbudowane. Od-tąd i Narew, jakby strwożona tą miasta klęską, nagle się zwraca, i środkiem błonia ku swobodniejszemu przeciwnemu brzegu wioskom ucieka, a otarłszy się o szwec-kie okopy Piątnicy, szybko upływa brzegiem podgórze do ciemnej puszczy, przed-sionkiem niejako siedziby nowogrodzkich kurpików będącej. Wiosna wszędzie mi-ła, tu się w czarnującym przedstawia spo-sobie.

Byłoto w uroczystość Zielonych Świątek, gdy z całą rodziną dziedzica Kalinowy zwi- dziwszy świeżą zielonością pokryte łąny, zasiedliśmy na murawie na samym krańcu wzgórza. Już słońce poza las się zniżając, większą połowę promion swoich mię-

dzy konary odwiecznych dębów rzucało, ale szczyty świątyń naprzeciw nas leżącego miasta jeszcze w całym blasku złotego światła pływały. Na błoniu co się u stóp naszych rozciągało, skrzętni pastuszkowie rozpierzchle stada spędzali; nie rączyce wprowadzie rumaki, lecz świeżą trawką odżywione małe koniki wierzgały, nie chcąc do nędznej i pustej wracać szopy, i bydło gwałtem nagłone, ociężałe postępowało. Mało na to bacząc pastuszek nucił wesolą śpiewkę, której zachwycająca melodia uszy nasze uderzała, bo niesforne tony nikły w oddaleniu. W innej stronie rozlegały się skoczne multanek trele i przejmujące posępnością tonów dumki na długim wieśniaczego wyrobu flecie. Stada gęsi swojskich i dzikich radosną wrzawą napelniały powietrze, a żalosny krzyk czajek, smętny głos kulików, klekot na wyniosłych gniazdach bocianów, dziwacznie odbijały wśród tej wiejskiej orkiestry, póki drżący w powietrzu dźwięk dzwonu z odległej wieży kościoła, nie stłumiał tego zgiełku zwiastując zbliżanie się poważnej ciszy nocnej. Błysły opodal ognie, które Narew w nurtach swoich skupione naksztalt gwiazd odbiła. W słodkiem zadumaniu miłych kilka

spędziliśmy chwil, póki nas nie przebudziły rozkoszne wiejskich chłopców gonitwy. Na małych lecz zwinnych konikach naśladowali dość zręcznie wojenne harce, i lubo bez siodła i munsztuków, mocno się jednak trzymali i szybko końmi zwracali. To jeden drugiego zrzucić z konia usiłował, to prątkiem w biegu uderzyć starał się, a czy w natarciu, czy w obrobie równą zręczność okazywali. Był to z całego wiosennego poematu najprzyjemniejszy ustęp dla dzieci; nim się więc całą duszą zajęły, i wracając do domu całą drogę o zwinności chłopców rozmawiały, to temu, to owemu należne oddając pochwały. Nie obeszło się bez sporów, jak zwykle w podobnych okazjach: Pan Jan, synowiec dziedzica Kalinowy, uczeń drugiej klasy, znakomitej podówczas szkoły XX. Pijarów w Łomży, chciał koniecznie mieć w zdaniu przewagę nad swojemi braćmi, już dlatego samego że oni jeszcze ławki szkolnej nie znali. Ci zaś żadnego nie mieli względu dla braciszka, który był gościem ich na święta. Niemasz w tem nic dziwnego, wszakże i nie między dziećmi tylko naukowa widzieć się daje arystokracja, i mię-

dzy dojrzałszemi ludźmi nieufność wzbudza nauka, gdy nie ma patentu na rozum; ale o t<sup>ym</sup> synowie pana Pawęzkiego nie wiedzieli, i dlatego na przekorę panu Janowi utrzymywali, że Grzela tak mocno trzyma się na koniu, iż i z najlepszego wierzchowca pewnieby nie spadł. „Onby niejednego rycerza zawstydził, dodał Staś najstarszy synek pana Pawęzkiego.” Co ty wiesz o rycerzach, odezwał się uszczypliwie pan Jan: piękny mi rycerz, chłop nieokrzesany! — Otóż wiem, rzekł Staś, bom niedawno czytał, i jeżeli chcesz posłuchać to ci powiem. — Ciekawy jestem, bąknął pan Jan tonem uczonego, który niewiadomość swoją napuszoną miną chce pokryć. — Dzieci zbliżyły swoje krzeselka, i otoczyły wkoło Stasia, który im zaczął powieść swoją.

„Rycerz, byłto po prostu żołnierz, który się większą od innych walecznością i wyższ<sup>ym</sup> ukształceniem odznaczał; rzemiosłem jego była wojna, a zaletą nadzwyczajne czyny. Niema wzmianki o ich początku w książce, w której to czytałem, lecz nasz pan nauczyciel mówił, iż rycerze są tak dawni jak narody. W Grecyi zaraz w samych początkach tego ludu zja-

wiają się rycerze, których wyprawy i waleczne czyny sławią historycy: jak np. Herkulesa, Tezeusza, Jazona i innych. Byli i w Rzymie, choć pod inną postacią, lecz nowszych czasów rycerze, zdaje się iż w Hiszpanii, w Niemczech i we Francyi początek wzięli około czasów wojen krzyżowych, gdy się chrześciance przez kilka wieków z muzułmanami ścierali. Ściśle atoli biorąc, to dopiero dwa wieki, trzynasty i czternasty, po narodzeniu Chrystusa Pana, prawdziwie rycerskiemi się zowią; przedtem rycerstwo nie było jeszcze wykształcone, a później upadło. Każdy rycerz musiał być szlachcicem, ale nie każdy szlachcic był rycerzem; do tego, niedość było mieć majątek i herb, trzeba było się w boju walecznością, a w pokoju szlachećnym postępowaniem odznaczać, żeby dostąpić honoru pasowania na rycerza. — Cóż to jest pasowanie na rycerza, przerwał młodszy brat Stasia; czyto tak jak chłopcy się pasują na łące? — Ej, gdzie tam! obryknął się Staś, nie przerywaj mi, bo do końca nie trafię. Pasowanie na rycerza odprawiał zwykle sam król wśród niesłychanie okazałych obrzędów. Pospolicie na placu publicznym wznoszono ozdobny tron

na którym zasiadał monarcha, dygnitarzami państwa otoczony; mnóstwo rycerzów, jak wszędzie tak i przy tej uroczystości towarzyszyło królowi. Za danym znakiem, zbliżył się do tronu kandydat, przyklęknął u stopni jego, a wtedy monarcha zlekka uderzał go na krzyż szablą, i zdobił go łańcuchem złotym; wtedy otrzymywał szablę honorową i konia z całym rynsztunkiem, co wszystko pierwój kapłan według przepisanych obrzędów błogosławił. Tak pasowany rycerz ślubował, że w obronie wiary i damy życie poświęcić gotów; nadto wierną usługę pasującemu go panu zaręczał. Było wprawdzie rycerstwo dziedziczne, jednakże mimo to dosługiwać go się trzeba było. Młody syn rycerza do możniejszego udawał się pana, i do czternastego roku życia swojego musiał być paziem jego, zwolna przyuczając się do rycerskiego rzemiosła. W dwudziestym pierwszym roku zostawał giermkim, i wszędzie w orszaku swojego rycerza znajdować się musiał, póki nie został pasowany. Śmierć za wiarę, obrona uciemiężonym, niezachwiana rzetelność, to były godła rycerzów wszystkich narodów. Mieszkali zwykle w obronnych zamkach czeredą zbroj-

nych słuźalców otoczeni, liczny dwór mając naksztalt udzielnych panów. I w istocie, byli udziałnemi w swojej dziedzinie, bo prócz obowiązku towarzyszenia monarsze na wojnie z większym lub mniejszym pocztem ludzi, innych powinności ani względem króla, ani względem narodu nie znali. Czas pokoju przepędzali na łowach, biesiadach lub turniejach, na które się nawzajem okoliczni rycerze spraszali.”

Skończył Staś, dodając, że w książce daleko to piękniej i obszerniej opisane, ale on wiele rzeczy zapomniał, bo już dawno jak to czytał. — Ale Stasiu! najpiękniejszych rzeczy nie powiedziałeś, to jest o turniejach, a tak ładnie było opisane, mówił Broniś. Staś mu zaś na to: Tak jak w książce, ja nie potrafię, ale jeżeli chcecie jeszcze posłuchać, to powiem co sobie przypomnę. — Słuchamy, odezwały się wszystkie dzieci razem.

„Najpięrszym obowiązkiem każdego rycerza było walczyć gdziekolwiek sposobną do tego nastęrczyła się pora. Jeżeli monarcha, któremu podlegał rycerz, toczył wojnę, każdy natychmiast ze swoim oddziałem ludzi spieszył do jego obozu, i w walce na największe narażał się niebezpieczeń-

stwa; miał sobie za szczęście potykać się z najslawniejszemi i najbitniejszemi strony przeciwnej rycerzami. Jeżeli zaś monarcha żył w pokoju z ościennemi narodami, wtedy rycerze wzajemnie między sobą boje staczali, albo z powodu doznanej urazy, albo karcąc ciemniejącego lud rycerza. W takim razie i wyzywający do wojny i wyzwany starał się o pomoc innych rycerzy. Ztąd poszło, że wielu było takich, którzy goniąc sławę rycerską, po całym świecie rycerskich przygód szukali. W ostatnim już przypadku, żeby nie odwykać od wojny, a razem potrzebnej do walki nabierać zręczności, odbywali turnieje na dworach monarchów lub zamożnych rycerzy. Ktokolwiek wydawał u siebie takowe turnieje, rozsyłał uroczyste poselstwa do okolicznych rycerzy, a nawet i do odleglejszych, sławą znakomitych czynów głośnych. Żeby zaś jeden drugiego w drodze nie napastował, co między zwaśnionemi rycerzami często się wydarzało, posłannicy doręczali każdemu list glejtowy, który szanować święcie honor rycerski nakazywał. — Z czego był ten list glejtowy, zapytał Broniś. — Tego ja nie wiem, odpowiedział Staś, tylko to czytałem, że nikt nie śmiał napastować,



ani drogi utrudzać takiemu, który list ten pokazał. — Usłyszał to siedzący niedaleko dzieci nauczyciel i odezwał się do nich: list glejtowy podówczas był toż samo co u nas paszport; nazywano go niekiedy listem żelaznym, a wydawali go tylko monarchowie lub tacy rycerze, których potęgi inni się obawiali; potrzebowali zaś tylko ci, którzy lękali się zemsty innego rycerza, lub sprawiedliwego gniewu monarchy. Te które wydawali rycerze wyprawiający turnieje, były pod opieką praw rycerskich; przestąpić je było toż samo, co wypowiedzieć wojnę wszystkim rycerzom, a tem samém na oczywistą zgubę się narazić. — Podziękowały dzieci nauczycielowi za objaśnienie, a Staś dalej powieść swoją prowadził.

„Turnieje odbywano pospolicie w miastach znaczniejszych, jużto dla większej okazałości, już też dla łatwiejszego pomieszczenia rycerzy, o których wygody starać się musiał ten, który turnieje wydawał. W Niemczech rynek zwykle bywał placem turniejów, we Francyi otwarte pole za miastem. Skoro się zebrali zaproszeni rycerze, z których każdy nmięj więcej licznym dworem przybywał, a w okazałości ubiorów i ryn-

sztunków, jeden drugiego przesadzał, wtedy w oznaczonym miejscu wznoszono pyszny tron dla monarchy, ozdobiony najbogatszymi materyami, złotem i srebrem suto haftowanymi, strusie pióra w różne kolory farbowane, nad pokryciem tronu igrały z powiewem wiatru. Po obudwóch stronach tronu, zwykle pod témże pokryciem były siedzenia dla kobiet, które główną część sądu składały. Dalej wznosiły się galerye mniej więcej ozdobne, stosownie do widzów, dla których były przeznaczone, a przed niemi szranki rodzajowi turniejów odpowiednie, z obudwóch stron mocnymi poręczami opatrzone, z dwoma przerwami do wejścia i oddalenia się. Rycerze pierwszy raz w szranki wstępujący, obowiązani byli przed wyznaczoną rycerską starszyzną wywieść pochodzenia swoje szlacheckie z dziadów i pradziadów, dowieść nieskażonego życia, i przedstawić poprzednie znakomite czyny rycerskie. Skoro czas oznaczony nadszedł, bogato ubrani heroldowie ogłaszali dzień uroczysty, i wszystkich na plac zwoływali. Gdy monarcha zajął miejsce, i dostojniejsi obok niego goście, ciż heroldowie wyzwali rycerzy w szranki. Tu dopiero na dzielnych rumakach, pysznych

hogatym rynsztunkiem, wjeżdżali rycerze w okazałej zbroi, odznaczeni kolorem kobiety na której się sąd zdawali, lub dla której honoru do walki występowali, a oddawszy pokłon monarsze i kobietom, rozpoczynali harce. Giermkowie ich i pазie zajmowali miejsce wskazane, trzymając tarcze z herbami swoich rycerzów i także chorągwie. Trąby, surmy i kotły grzmiały wojenną muzyką, wywyższając zapal walczących. Niekiedy po kilku i kilkunastu rycerzy z każdej strony do walki występowało, pospolicie jednak dwóch tylko walczyło. Z początku używano tępych szabli, i długich dzid bez ostrza, które się kopiami nazywały. Tryumf walki zależał na zwałeniu przeciwnika z konia, przyczem największym było zaszczytem ugodzić kopią w czoło, i żelazny szyszak strącić z głowy przeciwnika; strzaskana dzida była także oznaką zaszczytu, tak dalece, iż większa lub mniejsza liczba skruszonych, jak mówiono, kopij, większą lub mniejszą stanowiła sławę rycerza. Ciężka szabla do pieszej służyła walki, lecz i konni rycerze nie raz jej używali. Nagrodą zwycięzcy rzadko kiedy były pieniądze, pospolicie puhar misternej roboty, a najczęściej szarfa w ko-

lorze stroju kobiety, na której cześć walczył rycerz i z której rąk ją odebrał, wśród odgłosu muzyki i wesołych okrzyków rycerzy i zgromadzonego ludu. Biesiada wesoła kończyła całą zabawę, w czasie której minstrelle, czyli nadworni rycerzów poeci, w ułożonych na cześć tryumfującego rycerza wierszach, sławę jego i przodków przy odgłosie muzyki opiewali.

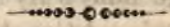
Z czasem pozwolono na takich turniejach dwom zwaśnionym rycerzom pojedynczą walką wetować wyrządzoną urazę, i wtedy ostrzej już używali broni. Od tego zwolna wchodził i zakorzeniał się zwyczaj gonić na ostre, a wtedy rycerskich turniejów szranki krwią zlane, postać rzeczywistej bitwy przybrały. Kościół, którego pierwotne rycerstwo głównym było filarem, powstał przeciw temu wznowieniu; monarchowie powagą swoją zakazywali; lecz ani klątwy kościelne, ani zakazy królów zapobiedz temu nie zdołały. Odtąd turnieje stały się celem prześladowania, i powoli upadać poczęły, a z nimi razem i duch rycerski niknął. Ostatni cios zadał im proch do boju zastosowany, wtenczas bowiem osobista siła na niewiele się przydała,

a zręczności do broni palnej wcale innej trzeba było, niż do kopii. W końcu więc piętnastego wieku rzadko już odbywano turniejè, a w szesnastym wcale o nich zapomniano. U nas choć niebrakło pasowanych rycerzy, niewiele jednak mamy przykładów turniejów dla zabawki odprawianych, ale zato przez długie lata krwawe turnieje odbywały się z rycerzami niemieckimi, których Mazowieccy Książęta w Prusach usadowili. W Niemczech i we Francyi gdy turnieje upadły, karuzel zabawiał dworzan możnych panów, ale coto było, tego ja nie wiem, rzekł Staś kończąc swoje opowiadanie. — Ja wam opowiem odezwał się pan Pawężki. W młodości mojej będąc za granicą, zdarzyło mi się raz widzieć tę zabawę na dworze jednego z książąt niemieckich. Lecz dziś już jest zapóźno, odłóżmy to, da Pan Bóg doczekać do jutra; a teraz dzieci zmówcie pacierz i spać.“

Powstały dzieci, życzyły rodzicom i gościom dobrej nocy, i oddaliły się z nauczycielem. Pan Jan, z większą jak dotąd szczerością uściskał Stasia, i miał sobie za zaszczyt z koleżeńską z nim rozmawiać poufałością, pozbywszy się zupełnie dumy

szkolnej w obcowaniu z nim i jego braćmi; poznał bowiem, że nie w samej tylko szkole uczyć się można, kto ma do tego sposobność i ochotę.

13/3



## IX.

### KARUZEL.



W drugi dzień Zielonych Świątek wróciwszy z kościoła, zastaliśmy pana Rotmistrza z całą familią. Szczere i uprzejme było przywitanie dobrego sąsiada, wnet wszyscy na różne podzielili się grupy: kobiety w osobnym zasiadły kole, dzieci pobiegły oglądać zabawki, a mężczyźni wyszli przypatrzeć się gospodarstwu pana Pawęzkiego, o którym z wielkimi pochwałami w całej okolicy mówiono. Niedługo zastawiono obiad, uprzyjemniały go wesołe rozmowy i dowcipne niekiedy żarciki, na których szczególnie panu Rotmistrzowi nie zbywało. Po obiedzie obszedłszy kilka razy ogród, zasiedli wszyscy pod cie-

niem rozłożystej lipy, i pan Rotmistrz bawił całe towarzystwo powiastkami z czasów swojej służby wojennej; dzieci słuchały go z natężeniem nie myśląc bynajmniej o swoich zabawkach. Skoro skończył pan Rotmistrz, dzieci obstały pana Pawęzkiego, i przypomniały mu dawniejszą obietnicę. „Bardzo dobrze, rzekł im dziedzie Kalinowa, nie wiem tylko, czy się waszym gościom nie znudzi słuchać tej powieści.— I owszem, prosimy pana, odezwały się dzieci pana Rotmistrza. — Wszyscy chętnego nadstawimy ucha, dodał pan Rotmistrz. — Na żądanie więc wszystkich zaczął pan Pawęzki.

„Gdy turnieje zmieniły się w krwawe zapasy, w których nieraz prywatna zemsta zaspokojenia swojej niecnej namiętności szukała; gdy kościół, dla położenia tamy nadużyciom, zabronił pogrzebu na miejscach poświęconych tym, którzyby w szrankach śmierć ponieśli; wtedy zwolna ustawać poczęły rycerskie zabawy, lecz chęć do nich nie ostygła. Moźni panowie wynaleźli rodzaj zabawy żadnym niegrożącym niebezpieczeństwem, a cież rycerstwa przedstawiającej, w tém przynajmniej, że rycerze do niej należeli. Żeby zaś obudzić zapal do



tęj nowej zabawy, i zaszczerpić jej zamiłowanie, przedstawiono ją z równymże prze-  
pychem, jak niegdyś turnieje. Na dworach  
książęcych zebrani rycerze, w bogate stroj-  
ni szaty, w świetnym orszaku dworzan i naj-  
znakomitszych dam udawali się na miejsce  
ku temu przeznaczone. W urządzonych jak  
na turnieje szrankach, stała drewniana figu-  
ra rycerza na mocnym trzpieniu obracająca  
się; rycerze wstępujący w szranki z kopią  
w ręku na dzielnych rumakach, szybkim pę-  
dem godzili ku temu posągowi; do zręcz-  
ności należało skruszyć kopią w piersiach  
drewnianej figury; jeżeli zaś rycerz uchybił  
i pociskiem o bok tylko zahaczył, wtedy  
wykręcał się na swoim trzpieniu drewnia-  
ny rycerz, i szablą niezgrabnego jeźdźca  
w plecy uderzał, bez szwanku wprowadzie-  
na ciele, z wielkim atoli zakałem dla sła-  
wy, który w ponowionej raz i drugi goni-  
twie zatrzcć należało. Odgłos trąb i ko-  
tłów, wrzawa wojennej muzyki roznosiła  
chwałę szczęśliwego rycerza, który naj-  
więcej kopij skruszonych u stóp kobiet  
złożył, i z rąk ich przyznaną odebrał na-  
grode. Następował drugi rodzaj goni-  
twy. Na ukośnym belku zawieszono kilka kólek  
na haczykach; rycerz w całym pędzie ko-

nia, zebrać je był powinien na koniec dzidy, nie pozwalając upaść na ziemię ani jednemu. I tę zdobycz tryumfalną u stóp kobiet składano, stosowną odbierając nagrodę. Gdy wojny tureckie coraz groźniejszą przybierać postać zaczęły, a waleczność spachów i janczarów trwogą przejmowały rycerzów zachodniej Europy, wtedy dla zaprawienia do boju z tak strasznym nieprzyjacielem, na cel dla kopii lub szabli stawiano głowę z drzewa wyrobioną, na podstawie, średniej wysokości człowieka wyrównyującą. Rycerz na harc występujący silnym uderzeniem dzidy, lub potężnym cięciem szabli winien był zwalić głowę z podstawy, a huczne oklaski lubo z odgłosem muzyki zmieszane, towarzyszyły nieustraszonemu zwycięzcy. Świetna uczta kończyła zwykle tę świetną zabawę, a taniec łągodził zapał chciwych sławy rycerzy. W szesnastym wieku nie słychać już było o turniejach, lecz zato rzadko kiedy wielka uczta na dworze książęcym obezła się bez karuzelu. Wprawiano się do ćwiczeń tego rodzaju jak niegdyś do rycerskich harców, i w nagrodę zręczności równą niezaledwie zyskiwano chwałę. Nie byłoto wprawdzie bez korzyści, lecz nie

miało tyle uroku co właściwe turnieje; dlatego cała zabawa wnet utraciła powab i musiała ustąpić miejsca nietyle utrudzającym, a dla płci żeńskiej daleko przyjemniejszym tańcom. Młodzi rycerze już nie w zbroi, nie z kopią w ręku i szablą przy boku, nie przy odgłosie chrapliwej trąby wojennej, lecz w gustownie urządzonej sali na woskowanej posadzce, w wygodnym stroju z bukietem wonnych kwiatów przy boku, w lekkich kadrylach, zwinnych walcach, poważnych menuetach, przy dźwięku łagodnej muzyki tryumfu szukali. Ta przyprawa zabaw towarzyskich wkrótce się utrwałała, ujęła w swoje czarowne pęta wszystkie stany bez różnicy, i już podobno nie da się z miejsca swojego poruszyć. Jak niegdyś do wslawionych rycerzów garnęła się młodzież, by pod ich tarczą do twardego zaprawić się rzemiosła, tak dziś tłumnie się ciśnie do głośnych ze swojej zręczności mistrzów tańca, by za ich skazówką zjednać sobie pochwałę z ust nadobnych, stokroć miłszą nad szarfy rycerskie.

Pozostał jeszcze zabytek rycerskich karuzelów, lecz go do zabaw dzieciennych odesłano; możni panowie mieszczą go w swo-

ich ogrodach; a po wielkich miastach dla zabawki rzemieślniczój czeladzi mają go przy szynkowniach. Niepotrzeba tu rycerskiój zbroi; miejsce dzielnego rumaka, drewniany zastępuje konik; żeby i kobiety udział mieć mogły w zabawie, urządzone są łódki lub krzeselka, w których wygodnie miejsca zajmują. Około pala w ziemię wkopanego, obracają się dwa długie i mocne drągi: na dwóch końcach jednego, dwa drewniane stoją koniki, a na końcach drugiego łódki lub krzeselka. Chłopcy siadają na koniki trzymając chorągiewkę w ręku z ostrą na końcu dzidką, lub krótką szpadę; w krzesłach mieszczą się dziewczęta. Gdy chłopiec dość mocny, nada ruch tój machinie, siedzący na konikach mali jeźdźcy w szybkim przelocie na dzidki swoje zbierają zawieszzone na haczykach kółka. Umówiona liczba zebranych kółek stanowi tryumf wygranej! Dziewczęta w tój zabawie mają tylko ukontentowanie szybkiój przejeżdżki, wolnej od wszelkiego wstrząśnienia. Lecz jestto tylko dziecinna rozrywka, która ani celu nie ma, ani korzyści żadnej nie przynosi, a przy nierozwadze i płochości bardzo łatwo smutne może za sobą pociągnąć

skutki. Patrzyłem sam na to, gdy w jednym miejscu kilkoro bawiło się dzieci; same sobie nawzajem obracały taki karuzel. Mała dziewczynka, lat może dziesięć mieć mogąca, już wysiadała z łódki, gdy wtém jeden z chłopczyków podobno nawet brat jej, pchnął w tój chwili karuzel i uderzył ją drągiem w plecy. Padła na ziemię zemdlna, przypadli na pomoc starsi, otrzeźwili ją przecież, lecz przywołany lekarz niewielką robił nadzieję utrzymania się jej przy życiu, a w ostatnim przypadku zapewnił że kaleką zostanie. Wistocie odzyskała zdrowie, lecz została na zawsze ułomną. Widziałem prócz tego chłopczyka, który na karuzelu oko postradał, a drugiego co na nogę z tój samej przyczyny chromał. Prawda że człowiek przy największej ostrożności i rozwadze podledz może kalectwu, lecz przykrą jest rzeczą, gdy przy pustej zabawce, niemającej celu i korzyści naraża zdrowie i życie na szwank.”

„Choroba a tēm bardziej kalectwo i śmierć znajomych i ulubionych osób z jakiejbykolwiek one przyczyny pochodziły, żalem ściskają serce nasze, rzekł pan Rotmistrz, lecz zdaje mi się, że dla osób obojętnych przykrzejszą jest bez porównania śmierć

w usługach bliźnich poniesiona, jak naprzykład owego rybaka, o którego smutnej przygodzie wieść się dotąd utrzymuje. -- Proszę pana, zapytał się Staś, co to za przygoda? — Zapewne już nieraz musiał wam opowiadać ojciec rzekł pan Rotmistrz. Jakos mi nie wypadło o tem mówić, odezwał się pan Pawęzki, a nadto nie pamiętam dobrze tej historyi, chciiej mnie więc panie sąsiedzie wyręczyć, kiedy dzieci mają ochotę słuchać. — Bardzo dobrze, rzekł Rotmistrz, i zaczął powieść swoją.

Na wzgórzu piaszczystem za kościołem księży Pijarów, niedaleko brzegu Narwi, gdy ta wązkiem ściśnięta korytem płynie, mieszkał niegdyś ubogi rybak z żoną i dwojgiem dzieci. Całym majątkiem jego była mała chatka z niewielkim przy niej ogródkiem, parę wieńciorków, kilka łokci siatki na ryby, ość i czólenko. Bogobojny, pracowity w żądach swoich umiarkowany, spokojnie pędził życie. Nie znał on obfitości, ale też i niedostatek rzadko mu dokuczał, i lubo sam nic nadto nie miał, przecież największą mu radość sprawiało, gdy mógł się potrzebniejszemu przysłużyć: nikt naprózno pomocy poczciwego rybaka nie wzywał. Trudna była podów-

czas droga do miasta na błoniach topieliska, pod samém miastem góra przykra do przebycia: rybak nieraz po całych dniach pomagał biednym ludziom do wydobywania ładownych wozów z kałuży, lub do wdzwigania ich pod górę, zwłaszcza po gołoledzie. W czasie wylewów on przewoził bezpłatnie ubogich na drugi brzeg Narwi, lub na promie pomagał, byle miał prawo zabrać takiego co nie był w stanie płacić przewoźnikom. Ubogi wędrownik, byle do drzwi jego zapukał, znalazł przytułek i skromne pożywienie. Takowy sposób życia głośnem uczynił imię poczciwego rybaka; znali go nietylko w mieście ale w całej okolicy. Pan Bóg mu też widocznie błogosławił: na jakimkolwiek ustępie Narwi założył wieńciorek, pełno zawsze wyciągnął ryb; a gdy na wiosnę rzeka wylała, niejednen z kagańcem noc całą strawił na wodzie, kilka ledwie złowiwszy leszczyków, on nieraz po dwakroć jednej nocy, pełne czółno samych potężnych szczupaków do domu przywoził. Każdy swój połów zwykle na cztery rozdzielał części: jedną na ofiarę Bogu do klasztoru Kapucynów, drugą dla ubogich przeznaczał, trzecią dla siebie

zostawiał, za czwartą rozprzedaną kupował chleba i co mu do domu potrzeba było. Żądza zbiorów nie powstała nigdy w duszy jego, i dlatego skoro mu Pan Bóg jeden polów pobłogosławił, nie wychodził na drugi, póki go potrzeba do tego nie przynagliła; miał więc dosyć czasu na usługę bliźnich, ile że go nikt w karczmie nie widział.

Kilka lat swobodnie pędził życie poczciwy rybak, gdy nieszczęście i jego chatkę nawiedziło: żona jego po krótkiej chorobie przeniosła się do wieczności. Długo nie mógł się pocieszyć po tej stracie, często grób jej odwiedzał, i po kilka godzin łzami zalany modlił się prosząc Boga by go jak najprędzej z nią połączył. Przecież widok pozostałych po niej dwóch synów, którzy jeszcze opieki jego potrzebowali, a zresztą i sam czas ukoił nieco żal jego; całe przywiązanie swoje przeniósł na dzieci, ani na chwilę nie rozłączał się z nimi. Czy sieci na ryby zarzucał, czy biednemu szedł na pomoc, obadwa synowie byli zawsze obok niego. Do tego stanu z czasem tak przywykł, że dawną wesołość odzyskał i znowu był szczęśliwym jak przedtem.



Narew zwracając bieg swój od miasta ku wzgórzom przeciwnej strony, ubiegłszy kawałek drogi, dwakroć się skręca w niewielkiej przestrzeni; miejsce to nazywają pospolicie krzywem kołem. Woda w tym punkcie przez nagły zwrot nurtu rzeki nadzwyczaj bystro płynie i dość znaczne tworzy młynki czyli wiry, których nikt jeszcze nie zgruntował, bo choć się znalazł dość odważny do tego nurek, skoro się spuścił na dno rzeki, życiem przypłacił śmiałość swoją; ciała jego nawet już więcej nie ujrzano. Pospolitego ludu podanie, miejsce to siedliskiem złego ducha pod nazwą topielca być mieni. Świadomy okolicy wędrownik nie odważy się zbliżyć do brzegu rzeki o północy, w tém przekonaniu, że topielec w tej chwili niecne swoje sztuki płata, wabiąc nierozważnych, aby ich na dno krzywego koła pogrążył. To jako dziecko tonące ratunku wzywa, to znów w postaci dorodnego młodzieńca mami przechodnia i w sidła swoje chwyta, to wreszcie w różne zwierzęta zmieniony ludzi lub straszy kogo mu się napotkać przytrafi. Dawna wieść niesie, że poczciwy rybak w Bogu swoją ufność pokładający, nietylko sam siodeł topielca uchodził, ale nadto niejednego

tamtędy bez szwanku przeprowadzał, gdyż komu tylko on towarzyszył, do tego już topielec zbliżyć się nie poważył. Zżymał się ze złości duch potępiony i o zemście myślił, a bogobojny rybak nie dbał o niego, bo w mocnej wierze dzielną przeciw niemu miał obronę.

Kilkanaście lat ubiegło, gdy niezmordowany w usługach bliźnich rybak niejedną ofiarę wyrwał z rąk topielca; tymczasem też i synowie podrosli; i ojca we wszystkim dzielnie wspierali. Już niejedną skuteczną im pomoc zawdzięczał, w całej okolicy z rozrzewnieniem ich imiona wspomniano, a stary rybak cieszył się, że umierając będzie miał komu chatę zostawić i dobre uczynki w puściznie przekazać. Lecz inaczej wyższe zrzędziły wyroki: Jednego roku wcześniej jak zwykle, bo już w połowie marca, pękły lody na Narwi i wezbrana rzeka całe błonia zalała. Rybak dzień cały z synami swojemi przepędził na wodzie przewożąc biednych wieśniaków których nagle sprawy do miasta przywiodły. Gdy słońce zapadło, niebo się nagle grubemi chmurami pokryło, wicher się zerwał i potężne na rzece roztrącał bałwany. Strudzony rybak pewny będąc iż w tak burzliwą

porę nikt o przeprawie nie pomyśli, legł spokojnie w swojej zagrodzie, a przy nim obadwa jego synowie snem głębokim zasnęli, gdy tymczasem wichur z coraz większą huczał wściekłością. Minęła północ, głos ratunku dochodzi uszu rybaka i ze snu go przebudza; zrywa się, słyszy wyraźnie krzyk przeraźliwy, chce budzić swe dzieci, lecz już posłania ich puste; wypada więc szybko, pewny będąc że synowie sami na pomoc pobiegli, nie chcąc go trudzić, już i tak dzienną pracą zmordowanego. Wnet staje nad brzegiem gdzie zwykle zaczepiał swe czółno, już ono kawał od brzegu odbiło i synowie w niem ze wzburzonymi walczą bałwanami, spiesząc w tę stronę z kąd ich głosy ratunku dochodzą. Przeczuciem dręczony starzec, załamuje ręce, woła na synów, by go z sobą zabrali, lecz wichur głos jego w przeciwną unosi stronę. Księżyc kiedyniekiedy przez rozdarte chmury mignie bladym promykiem, a przy jego świetle widzi ojciec, jak synowie pasującej się z burzą łódce na pomoc spieszą, jak się do strasznych nurtów krzywego koła zbliżają. Krew ścina się w żyłach jego, chce krzyczeć, lecz głos w piersiach niknie; nie mogąc więc innej nieść pomocy,

oczyma śledzi ruch każdy, oczyma radby ich zawrócił. Ciemność znowu zapadła, wściekły zawył wicher, lecz ucichły głosy o pomoc wołające: starzec w śmiertelnej obawie, nadstawia ucha i wzrok wyteęza, lecz nie dojrzyć nie może, a uszy świst wiatru tylko razi. Wtém raz jeszcze mignął księżyc, a starzec padł bez zmysłów na ziemię, i łódkę i czółno w oczach jego pochłonęły bałwany.

Biedny rybak czuwałby spieszyć na pomoc nieszczęśliwemu, lecz gdy jego cios twardy ugodził, nikt mu ze wsparciem nie spieszy, wszyscy spokojnie zasypiali. Zwolna przyszedł do siebie starzec, jakby ze snu głębokiego ocucony, wiatr coraz wolniejsze ku brzegowi rozlewał bałwany, chmury rzedniały i słabe jutrzeńki światło już ciemności nocne rozpędzać poczęło; nieszczęśliwy rybak, jak głaz martwy do ziemi przykuty, w miejsce w którym czółno zniknęło wzrok wlepiony trzymał, łudząc się płonną nadzieją, czy jeszcze nie ujrzy swoich dzieci. Ujrzał w istocie, lecz nie tak jak mu rodzicielskie serce rokowało. Ostatni prawie bałwan, który ustający już wicher do brzegu zapędził, złożył, na mieeliznie ciała synów nieszczęśliwego rybaka,

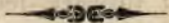
jedno niedaleko drugiego. Rzucił się starzec do wody i na brzeg suchy wydobył, silił się ogrzać je, i ubiegłego ducha przywołać, lecz próżne starania, skrzepłe już były zwłoki młodzieńców. Zalem ściśnięty, ujrawszy już znikłe nadzieje, w gorącej modlitwie żebrał litości Bożkiej, by się mógł w tej chwili z ukochaną żoną i dziećmi połączyć; to znowu rozpaczą szarpany wzywał topielca aby mu wydarł życie tak udęczone. Dzień cały i noc następną nad ciałem młodzieńców przepędził, wreszcie gdy już druga jutrzienka nieszczęście jego oświeciła, inną myślą zajęty, ostatnią dzieciom oddał posługę: ciała ich złożył w grobie, który w tém samym miejscu wygrzebał; sam zaś w tych samych nurtach rzeki końca dni smutnych szakać postanowił.

Zwiastun przedwczesnej wiosny, śliczny dzień marcowy zajaśniał, niebo było spokojne i czystym zdobne lazurem, a rozległa, okiem ledwie ścigniona przestrzeń wody, najrówniejszego zwierciadła obraz przedstawiała; rybak zdybawszy opuszczone stare czółenko, chwycił wiosło do ręki, odbił od brzegu, krzywe koło mając w myśli; gdy wtém opodal ujrzał tłum ludu krzyczący i małe czółenko z dwojgiem

dzieci na samém rzeki korycie bez steru i wiosła w tę i owę stronę zwolna się obracające. Niebezpieczeństwo tych płochych istot, na które tylu ludzi patrzyło, a nikt pomocy nieść nie ośmielił się, inne uczucia w duszy poczciwego starca obudziło. Nagle zwrócił czołnem i na ratunek pospieszył. Śmiały i zręczny żeglarz nie doznał żadnej trudności w ujęciu czółenka, na którym dzieci siedziały, i stojącym na brzegu rodzicom bez szwanku oboje powrócił. Czcigodny księży Kapucynów przewodnik spostrzegłszy z okna swojej celi niebezpieczeństwo dzieci i osłupiałe nad brzegiem zbiegowisko ludzi, spieszył na miejsce, by przecieź kogoś ośmielić i do ratunku zachęcić; ależ w tej już zbliżył się chwili, gdy starzec wyrywał się z rąk wdzięcznych rodziców. Ujrzawszy szanownego kapłana, rybak zalał się łzami i w kilku wyrazach zawiadomił o ciosie okropnym, jaki w chatkę jego ugodził. Łzy spółczucia skropiły lica bogobojnego męża, a wyrazy pociechy przez niego wyrzeczone stały się zbawienym balsamem dla stroskanego serca rybaka. Spokojniejszy wrócił do spustoszonej chatki, poranek jak dawniej, na modłach w kościele przepędzał, a resztę dnia

na usługę bliźnich poświęcał. Ilekroć udało mu się nieść pomoc nieszczęśliwemu lub uratować tonącego, tyle razy cegielkę lub odpowiedni kamień złożył na grobie swych dzieci. W lat kilka znaczny stos zebrał, a uzyskawszy potrzebną pomoc z klasztoru kapucyńskiego, wznosił na tém miejscu murowaną kolumnę, na której godło zbawienia umieścił, a szanowny kapłan religijném błogosławieństwem ten pomnik utwierdził. Na ten znak wiary, miłości i nadziei zadrżał zły duch krzywego koła i wnet odwieczne opuścił siedlisko.

Spokojny wędrownik bez żadnej obawy nadbrzeżną postępuje drogą, żadnej już od-  
tąd nie było przygody. Dawno już, dawno umarł cnotliwy rybak, czas nadwerężył jego kolumnę, zniknęła wiara w topielca, lecz pamięć zdarzenia jeszcze wieść powtarza.



## X.

### WYŚCIGI KONNE.



Nieszczęścia jedne po drugich zubożyły znacznie pana Sobiesława, zamożnego niegdyś właściciela dóbr w bliskości Sandomierza. Jednego roku niespodziany wylew Wisły zabrał mu wszystko siano, drugiego grad zniszczył bujne zboża; to znowu choroby, pożar, nieurodzaj, uszczupliły dochody jego tak dalece, iż chcąc się ratować, musiał zbywać folwark jeden za drugim, ograniczać swoje potrzeby, aby nikomu nie być nic winnym. Już tylko przy jedncj pozostał wioseczce, gdy chciwy sąsiad korzystając z jego niedostatku, zagarnął mu las i całą prawie łąkę pod pozorem mylnie







niegdyś pociągniętej granicy. Napróżno Sobiesław przedstawiał świadków, którzy od lat kilkudziesiąt tę granicę pamiętali, napróżno używał pośrednictwa uczciwych sąsiadów; przywłaszczyciel trwał w uporze i rozpoznanie sprawy na sądy zdawał. Spokojny i wszelkich sporów unikający Sobiesław, a nadto dobrze już z różnemi nieszczęściami obeznany, byłby zniósł i tę krzywdę, lecz pamięć na dzieci, a bardziej jeszcze widok zupełnego niedostatku, dla którego o przyzwoitem ich nawet myśleć nie mógł wychowaniu, skłonił go do udania się do sądu. Sprawa była jasna, lecz chciwy przywłaszczyciel tyle potrafił znaleźć wybiegów, iż ledwie po upływie roku całego ostateczny w trybunale zapadł wyrok, przysądzający własność Sobiesławowi. Nie poprzestał na tém zły sąsiad, lecz się do wyższego sądu w Warszawie odwołał. Już i tak znaczne koszta wycieńczyły dochody Sobiesława, a trudno było sprawę zostawiać losowi, trzeba więc było udać się do Warszawy.

Przed kilku laty Sobiesław jadąc do głównego miasta obwodu, spotkał był na trakcie małego chłopczykę, który rzewnie

placząc, z wolna postępował drogą. „Co ci to?” zapytał się Sobiesław. — Ach panie, łkając odpowiedział chłopczyzna, tak mi zimno, i jeść mi się chce. — Dokądże idziesz? — Do bliższej wsi, może mi tam kto da kawałek chleba. — Czy nie masz ojca albo matki? — Ojciec już dawno gdzieś tam na polu zginął, a matkę wczoraj w dół włożyli i ziemią przysypali. — Rozrzewniony losem chłopczyzny Sobiesław, wziął go na bryczkę, okrył czem mógł od zimna, i w pierwszej zaraz karczynie posilił. Przywiózł go potem do domu i mieć staranie o nim polecił. Powoli wzrastał chłopczyzna, i czem mógł tem się odslugiwał. Skrzętny, usłużny, a nadewszystko roztropny, czuwał nad dobrem państwa z największą gorliwością; sam wierny, wierności innych przestrzegał. Za ledwie Grześ, tak się zwał ten chłopczyk, doszedł wieku w którym jakożkolwiek z końmi obejść się mógł, prosił pana, by mu pozwolił czuwać w stajni i mieć staranie o źrebięta lepszej nieco rasy. Nie wzbraniał mu tego Sobiesław i jego właściwie staraniu winien był dość pięknych kilka koni pociągowych i dwa wierzchowce, bo choć nie miał dość siły sam ich pielęgnować,

przecież dał baczość na stangreta i o wyborze paszy miał staranie. Ta jego czujność i troskliwość zjednała mu zaufanie pana, tak iż w razie potrzeby, nim się wolał wyręczać, niż ekonomem lub włodarzem. Wybierając się do Warszawy pan Sobiesław, postanowił wziąć z sobą Grzesia. Nie był on wprawdzie dla wieku swojego dogodnym w podróży, lecz dla czujności i rozwagi użytecznym mógł być w Warszawie, a nadto już się do niego tak przyzwyczaił pan Sobiesław, iż mu nikt lepiej nad niego dogodzić nie umiał.

W dniach pierwszych czerwca ruszył pan Sobiesław w drogę, zabrawszy z sobą kasztanka, którego z wielkim żalem Grzesia, na sprzedaż przeznaczył, jeśliby kwota którą miał w szkatułce na koszt procesu nie wystarczyła. Im bardziej zbliżali się do Warszawy, tem więcej spotykali na drodze powozów tamże zmierzających, bryk wielkich wełną ładownych, bydła i koni na sprzedaż wiedzionych. Zbliżał się bowiem jarmark na wełnę, termin Święto-Jańskich kontraktów, i wyścigi konne. Trzy tak ważne powody poruszyły całą ludność bliższych okolic, a nawet i nie

jednego z dalszych mieszkańców potrzeba lub ciekawość pociągnęła. Trudno było o stancją w domu zajezdnym; pan Sobiesław mając krewnego w Warszawie, u niego się pomieścił. Cały zajęty sprawą swoją, nie zwracał uwagi na ruch niezwykły panujący w mieście; tylą nieszczęściami znękanym, obojętny był na wszelkie zabawy, lecz zato Grzesia nadzwyczaj zajmowała ta wrzawa, która pierwszy raz zmysły jego uderzała. Z początku rzuciwszy okiem na mnóstwo bryczek, dorożek, powozów, które w biegu jedne za drugimi ścigały, spoglądając na skrzętne uwijanie się pieszych po obudwu stronach ulicy, mniemał, że albo się gdzie pali i ci ludzie na ratunek spieszą, albo też na jakieś osobliwsze widowisko zdążają. Nie namyślając się długo ciekawy chłopczyzna zaczął także biedz za drugimi; lecz wkrótce postrzegł niedorzeczność swojego domysłu; chcąc się więc lepiej zapewnić o przyczynie takiego ruchu, zapytał stojącego przed kamienią stróża, dokądby ci ludzie z taką skwapliwością biegli i jechali? — Dokąd komu potrzeba, odmruknął stróż. Tak zwięzłą odpowiedzią odprawiony Grzesz, poszedł wolniejszym krokiem

dalej i wkrótce stanął na Krasieńskim. Zdumiał się ujrawszy stopy wałtuchów wełną napelnionych pod strażą różnobarwnych wieśniaków, przedstawiających ubiory wszystkich prawie okolic kraju; wdał się z niektórymi w rozmowę, z której powziął wiadomość, jak wiele pieniędzy nie jeden z panów zgarnie za sprzedaną wełnę. Żal serce jego ścisnął na wspomnienie, że jego opiekun i dobroczyńca przez zarazę utracił całą swoją trzodę zeszłej zimy, a tём samém pozbawiony został tak ważnego źródła dochodów. Zasmucony wrócił do stancyi, w której zastał już swojego pana; zdało mu się, iż w nienajlepszym był humorze. Zapewne pan mój był na placu wełny, pomyślił sobie, i żałuje straty swoich owiec; ma czego żałować: kilka tysięcy złotych przepadło. W takich myślach pogrążony stał przy drzwiach Grześ, gdy pan ociężale podnosząc głowę, odezwał się do niego: „Słuchaj! każ kuczerowi wyczyścić kasztanka i jedźcie z nim na Muranów; dziś piątek, targ na konie, może ci się uda dobrze go sprzedać; co do ceny, rozpatrzyć się na targu; na wszelki jednak przypadek zbytecznie się nie drożcie.” Odszedł Grześ zasmucony; nie zga-

dywał, że pana jego nagła przyciskała potrzeba, postanowił więc u siebie, albo drogo sprzedać kasztanka, albo go napowrót przyprowadzić.

Zaledwie Grześ pokazał się na targu Muranowskim, rostrucharze obścapi go natychmiast w nadziei że łatwo da im się omamić, lecz usłyszawszy od niego cenę, od której oświadczył, że ani grosza nie odstąpi, opuścili go śmiejąc się z prostoty wieśniaków; w rzeczy samej, szacunek konia podany przez Grzesia, był w stosunku z jego przywiązaniem do pana, lecz nie odpowiadał bynajmniej pozorniej wartości kasztanka, dlatego też każdy usłyszawszy go, ruszył ramionami i odchodził; Grześ zaś postanowiwszy dużo pieniędzy przywieźć panu swojemu, obstawał przy raz wyrzeczonej cenie. Nadszedł wieczór, Grześ wrócił nie sprzedawszy kasztanka; lecz jakże się zmieszał, gdy pan z gniewem powstał na niego: „Twoja cena, rzekł, śmiechu godna; któżby był tyle nierozsądny, aby za prostego konia płacił tak jak za wierzchowca najlepszej rasy. Co ci się przymarzyło, żądać dwieście dukatów, kiedy ja byłbym szczęśliwy, żeby kto dał ich trzydzieści! zgubiłeś mnie nie-



rozważają swoją; z ką ja teraz dostanę pieniędzy, a sprawa moja za kilka dni przywołaną ma być przed sąd." Zmartwił się Grześ wyrzutami pana, oświadczył że się postara o kupca, i pewnie więcej niż pan żąda przyniesie pieniędzy. Pierwszy raz widząc pana tak zagniewanego na siebie, nie mógł Grześ całą noc ani oka zmrzyć; skoro tylko dzień nadszedł, pobiegł na Muranów szukać kupca na konia, lecz z większą jeszcze jego zgryzotą wynaleziony handlarz pragnąc korzystać z cudzego nieszczęścia, ledwie dawał połowę żądanej przez pana kwoty; odprowadził go więc z gniewem i wyszedł na los szczęścia, czy mu się nie zdarzy napotkać kogo lepszego. Dostawszy się na Nowy-Świat, ujrzał, jak kilku paniczów na starych paradowało rumakach; pomyślił sobie: tak pięknie postrojeni panowie, muszą mieć wiele pieniędzy; na moim kasztanku dalekoby lepiej każdy z nich wyglądał. Posunął się więc spieszniej za nimi w zamiarze ofiarowania im sprzedaży, trudno wszakże było ich doścignąć; gdy się jednak dostał do alei, spostrzegł więcej jeźdźców w jednej spieszących stronę; droga zatłoczona była powozami, po bokach tłumy pieszych po-

stępowwały; ciekawością wiedziony Grześ poszedł za drugiemu. Zaledwie wyszedł za rogatki, ujrzał na obszerném błoniu plac rozległy niezliczoném mnóstwem powozów zapełniony; dalej jakieś altany, podwyższenia a wszędzie tłumy postrojonych pań i panów; muzyki wojskowe brzmiały w różnych punktach, wszyscy zwrócone mieli oczy na długą drogę, z dwóch stron poręczami zamkniętą. Nie mógł wyjść z podziwienia Grześ na widok tylu pięknych pojazdów, takiego tłumu ludu ciekawego; nie śmiał się zapytać, by się nie wystawił na posmiewisko; czekał więc cierpliwie co to z tego będzie. Wkrótce ujrzał dwóch jeźdźców dziwacznie postrojonych: jeden w żółtej kurteczce i okrągłym zupełnie kaszkieciku, na białym siedział koniu, drugi także w kurteczce ale różowej, na kasztanowatym: obadwa za danym znakiem puścili się co tylko konie wybiedz mogły, i jak wiatr przelecieli obok altany, w której, jak mu się zdawało najwięksi panowie siedzieli. Stanęli w końcu drogi, a lud cały krzyknął radośnie; muzyka się odezwała, jeździec na kasztanku odjechał zwolna, ten zaś co na białym był koniu, zbliżył się do altany, przystąpił do niego

jakiś pan, i odebrał z rąk jednego z siedzących w altanie dość sporą paczkę. Wkrótce wjechało trzech jeźdźców i tąż samą pędzili drogą; tym razem siwy konik wyprzedził dwa inne. Tu już Grzesz nie mógł się wstrzymać, i zapytał stangreta blisko stojącego powozu, cobyto wszystko znaczyło?—A zkądżeś mój człowieku znalazł się tu, kiedy nie wiesz co to znaczy, odpowiedział stangret; to są wyścigi konne: który koń prędzej od innych dobiegnie do mety, tego pan wyznaczoną odbierze nagrodę. — Czy każdemu wolno ścigać się na swoim koniu? zapytał się Grzesz. — Tego ja nie wiem, odpowiedział stangret, jeżeli chcesz ścigać się z kim, idź, zapytaj się tych tam panów, co pod tym tam namiotem siedzą. Grzesz powziąwszy myśl wyprowadzenia na plac swego ulubionego kasztanka, póty się tłoczył, póki się nie dostał aż do namiotu i nie zasięgnął pożądaney wiadomości. <sup>2v/3</sup>

Zajęty myślą ulagodzenia pana dostarczonemi na proces pieniędzmi, błogą ożywiony nadzieją spieszył Grzesz do stancyi, różne snując w głowie projekta, by jakim sposobem bez wiedzy pana wygrać nagrodę na swoim kasztanku, i złożyć ją w ręce

swojemu dobroczyńcy. Krewny pana Sobiesława należał do towarzystwa wyścigów; za jego więc staraniem miał nadzieję uzyskać pozwolenie; lecz jak odważyć się wyprowadzić konia nie powiedziawszy panu. W takowych rozmyślaniach zatopiony wrócił do stancyi, właśnie w tej chwili, gdy pan Sobiesław udawał się do swojego adwokata. Korzystając z nieobecności pana, udał się Grześ do jego krewnego: ze łzami w oczach przedstawił mu całą rzecz błagając jego pomocy. „Jestżeś pewny wygranej, rzekł krewny pana Sobiesława.” — Już ja się dobrze przypatrywał, odpowiedział Grześ; ręczę panu, że prócz tego białego konia co to najpierwszy wyruszył, żadnemu innemu nie da się wyprzedzić mój kasztanek; a kto wie, czyby się i z białym nie sprobował. — Dobrze więc, rzekł krewny, przygotuj się na jutro, już ja resztę ułatwię.

Ucałował ręce nowego dobroczyńcy Grześ i upojony radością pobiegł coperdziej do stajni głaskać, czyścić swojego kasztanka. Całą noc prawie nie spał, ale raz po raz do niego zaglądał, nogi wycierał, podcinał, musztrował, słowem zdawał chcieć w niego przelać ten sam zapał, tę samą żądzę

jaka jego samego ożywiała. Skoro dzień błysnął, Grześ zalecił stangretowi, aby się nie ważył dawać jeść kasztankowi, mówiąc że on go sam dziś paść będzie, gdyż się spodziewa dobrego kupca na niego. Udał się potem do swojego pana, czémprędzej przygotował suknie dla niego, przyniósł kawę i pobiegł znowu do stajni. Wkrótce za nim nadszedł pan Sobiesław i rzekł mu: „Nad wieczorem osiodłasz kasztanka, gdyż pan Henryk (tak się zwał krewny pana Sobiesława) chce się na nim przejechać, a może go i kupi; ty zaś wsiadziesz na gniadego i pojedziesz za nim.“ Podskoczył z radości Grześ i odklonił się do nóg panu swojemu. Nie zwróciło to wszakże uwagi Sobiesława; radość Grzesia uważał on za skutek ciekawości oglądania okolicy Warszawy, lub chęci przyśłużenia się panu Henrykowi, a może też nadziei uzyskania od niego kilku groszy na bulkę mątową. Po wydaniu rozkazu pan się oddalił, a Grześ pobiegł dziękować panu Henrykowi.

Nigdy dzień tak długim nie zdawał się Grzesiowi; co chwila spoglądał na zegar w oknie sąsiedniego domu umieszczony: to mu się zdawało że się zatrzymał, to że zbyt

wolno idzie, że się opóźnia. Nie dowierzając oczom własnym, wypytywał się przechodzących o godzinę: zdawało mu się że nie potrafi doczekać czwartej godziny z południa, o której miał być ze wszystkiemi gotów. Przecież nadszedł obiad, Grześ się trochę pocieszył, lecz nie tём że jeść da-no, bo nie wziąć w usta nie mógł, ale tём, że już przecie czas jego się zbliżał. W godzinę po obiedzie zapytał się pana Henryka, czy już czas konia siodłać, lecz dawną otrzymał odpowiedź: dopiero o czwartej. Nieraz jeszcze to pytanie ponowił nim nadeszła tęsknie oczekiwana czwarta. Przecież w końcu ruszyli; Grześ jednym skokiem chciałby stanąć za rogatkami Mokotowskiemi, lecz pan Henryk powściągał ten zapal, ciągle jadąc stępo. Gdy przybyli na miejsce gonitw, pan Henryk ułatwiwszy poprzednie formalności zsiadł z konia i oddał go Grzesiowi, który chciał natychmiast wejść w szranki nie pytając o spółzawodników; powściągnął go atoli pan Henryk widząc daleko dzielniejsze rumaki do gonitwy przygotowane. Do drugiej kolei wystąpił Grześ z trzema spółubiegającemi się: wszyscy obojętnie spojrzeli na niepozornego konia, lecz jeź-

dziec i ubiorem i miną śmiech powszechny wzbudził. Szczęściem nie zrozumiał tego Grześ, dlatego nie stracił odwagi, pewnym będąc, że śmiech ten jest znakiem podziwienia. Nagroda wygranęj niewielka była, lecz ją wnet znacznie powiększyły kwoty przez otaczających panów złożone, do których musiał się, lubo niechętnie i pan Henryk przyczynić. Dano znak, puścili się wszyscy: kasztanek Grzesia, czy przez jego nieuwagę, czy z jakiej innej przyczyny, zaraz z początku o kilka kroków w tyle pozostał, do nowych śmiechów dając powód bliżej stojącym; lecz Grześ zażył go po swojemu: wyciągnął się konik, jeździec przychylił i pierwszy stanął u mety. Z tryumfem spojrział Grześ dokoła, a huczne oklaski wynagrodziły poprzednie śmiechy szydercze; wszystko to atoli Grzesia mało obchodziło, on tylko pragnął pieniędzy, bo one miały mu zjednać najmiłszą dla niego nagrodę, zadowolenia jego pana, jego dobroczyńcy. Zbliżył się więc do namiotu, a pan Henryk jako mniemany właściciel odebrał w oczach jego przyznaną mu całą kwotę. Już dla Grzesia dosyć było; nie miał ochoty patrzeć na dalsze wyścigi, jedyną

już teraz żądzą jego było stanąć jak najprędzej przed swoim panem i złożyć mu summę pieniędzy dziesięć razy prawie większą nad tę, którą się spodziewał dostać za kasztanka. Pan Henryk umiał cenić to przywiązanie, tę wdzięczność Grzesia; nie chciał mu więc robić przykrości, i dobrym klusem przypuścił wracając do domu.

Pan Henryk zsiadając z konia, oddał Grzesiowi kwotę wygraną, aby miał pociechę sam ją doręczyć panu; ten oddał stangretowi konia, a sam czempredziej pobiegł do pana, którego smutniejszym niż kiedykolwiek zastał: stłumił więc radość w sobie, by się nie stać panu natrętnym, i zwolna przystąpiwszy złożył mu woreczek dwieście dukatów w złocie obejmujący. „Coto za pieniądze, zapytał się pan Sobiesław, czyś kasztanka sprzedał?” — Nie, panie, odpowiedział z nieśmiałością Grzes, jakby się lękał by pana nie obraził. — Zkądże je wzięłeś? rzekł z żywością pan. — Jeszcze bardziej pomieszany Grzes, ledwie przebaknął: to kasztanek wygrał. W tej chwili wszedł pan Henryk i wszystko wyjaśnił. Rozczulony postępkom Grzesia pan Sobiesław, rzekł: „Te pieniądze są twoją własnością; zwrócę ci



je wraz z procentem, gdy dojdiesz wieku w którym będziesz umiał niemi rozrządzić i zapewnić sobie sposób do życia." Temi pieniędzmi zapłacił pan Sobiesław koszta procesu który wygrał, a poprawiwszy przez to stan swojego majątku, zajął się wyższem ukształceniem Grzesia, aby mu swobodniejszą zapewnić przyszłość.

Pan Sobiesław znany jest powszechnie ze swojej rzetelności; wątpić więc nie należy, iż dotrzyma swojego słowa, a dobre serce Grzesia zasługuje na przychyłność zacnego pana.

Nie niemasz piękniejszego na wdzięczność za odebrane dobrodziejstwa, nie brzydszego nad serce nieczule na świadczone sobie łaski; a przecież jak rzadką między ludźmi cnota wdzięczności, a przeciwnie jak częsta niewdzięczność! Mimo to wszakże, jak obowiązkiem jest odpłacać się tym co nam świadczą dobrodziejstwa, tak z drugiej strony dobrze czynić bliźnim jest powinnością naszą. Nie sądźcie wszakże, moje dzieci, iż tylko ludzie bogaci i wielkie znaczenie mający, dobroczyńcami być mogą; i ubodzy łatwo znajdą sposób do-

brzeczynienia. Naprowadzić błędzącego na drogę właściwą, usłużyć komuś dobrą radą w potrzebie, pocieszyć w smutku, ustrzedz w niebezpieczeństwie, częstokroć ważniejszém jest dobrodziejstwem od największego datku. Żeby jednak dobroczynność miała zasługę przed Bogiem, pełnić ją winniśmy bez oglądania się na odpłatę: najwięcej skarżą się ci, którzy za najmniejszą rzecz wyświadczoną wielkich odług wymagają: sąto lichwiarze, którzy przysługi swoje na wysoki procent oddają; nie więc dziwnego iż złych znajdują dłużników, którzy ani kapitału ani procentu nie zwracają. Nie usprawiedliwia to niewdzięczników; ktokolwiek bowiem przyjmuje dobrodziejstwo, już tém samém zaciąga dług, który zwrócić sama uczciwość mu nakazuje. Z tego powodu, moje dzieci, starajcie się zawsze więcej dawać jak odbierać; tak się usposabiajcie do życia na świecie, abyście mogli jak najwięcej świadczyć dobrodziejstw, a jak najmniej ich potrzebowali, bo wdzięczność ciężkim jest długiem dla serca uczciwego. Człowiek zacny stara się najmniejszą przysługę tak odplacić jak i największe dary. Lecz i to jeszcze wam dodać muszę, iż za-

chowana wdzięczność za dobrodziejstwa nie zostaje bez nagrody; bo gdy niewdzięcznika własne jego sumienie ściga, wdzięczny zyskuje wewnętrzne zaspokojenie, a zdarzają się czasem przypadki, że i inne ztąd odnosi korzyści, jak oto widzieliście na przykładzie Grzesia. Z tej okoliczności wpada mi na myśl dość zabawne zdarzenie, które wam muszę opowiedzieć.

W połowie drogi między Płockiem a Dobrzyniem, mieszkał w dziedzicznym folwarczku swoim nad samą Wisłą, niejaki pan Przemysłowicz, człowiek rządny i przebiegły. Lubili go sąsiedzi, gdyż był uprzejmy, wesoly, a nawet i usłużny, jeżeli nie szło o pieniądze, temi bowiem nie rad był szafować, gdyż całe szczęście na majątku zakładał. Jednego tylko miał syna, dochody więc z folwarczku, przy jego zabiegach i oszczędności aż nadto wystarczały na przyzwoite całej jego familii utrzymanie; lecz pan Przemysłowicz pragnął czegoś większego, nie dla siebie wprawdzie jak mawiał, lecz dla zapewnienia losu synowi. W tym celu nabywszy mały statek, Jadwigą pospolicie zwany przez flisów, zboże swoje dla lepszego spieniężenia poprowadził do Torunia. Piérwsza próba powio-

dła się wybornie; na drugi więc rok dokupił u sąsiadów zboża i z większą ilością puścił się na targ. Kupcy toruńscy odebrali z Gdańska wezwanie jak najrychlejszej dostawy zboża, choćby za podwyższoną cenę; Przemysłowicz uprzedził wszystkie statki, dwa razy więc tyle zyskał co roku zeszłego. Taką zachęcony korzyścią nabył łyżwę wielką i postanowił wprost spławiać zboże do Gdańska, w nadziei prędszego dorobienia się majątku. Szczęście mu sprzyjało; lecz jak to pospolicie bywa, im lepiej się człowiekowi powodzi, tém bardziej żądze jego wzrastają, tak też i panu Przemysłowiczowi zachciało się coraz większego zysku; postanowił więc wejść w stosunki wprost ze znakomitymi kupcami Londynu. W tym zamiarze odbył jedną podróż do Anglii, drugiej zaś podróży wziął z sobą syna, by też i on za młodu cudze przejrzał strony. Mając syna przy sobie nie kwapił się do domu, z ramienia swojego tylko przysłał komisanta, który znaczną ilość zboża na rachunek jego zakupił i do Gdańska spławił, z kąd odesłane zostało do Anglii. Z kwot zaliczonych wnosili sąsiedzi o ogromnych summach pieniędzy jakich się dorobił Przemys-

słowicz i nie zawiedli się bynajmniej. W kilka lat napisał do jednego z krewnych swoich, że nie mając już dla kogoby pomnażał swój i tak dość znaczny majątek, żonę bowiem pochował przed wyjazdem do Londynu, a syna utracił w Anglii, postanowił więc wrócić na łono rodziny i resztę dni w spokojności przepędzić. Wiadomość ta szybko obiegła całą, dość liczną rodzinę jego; wszyscy z utęsknieniem wyglądali bogatego krewnego w nadziei znacznej puścizny. Od tego czasu kilka jeszcze listów odebrał ów krewny, lecz wszystkie pełne były jakiegoś smętnego utyskiwania, tak zgodnego z położeniem Przemysłowicza, lecz niezrozumiałego dla jego rodziny; ztąd też rozmaite krążyły domysły. Ostatni list pisany był z Gdańska, i w nim oznaczony dzień przybycia jego do domu z prośbą, aby mógł całą rodzinę zastać. Zadosyć czyniąc życzeniu jego, zebrali się wszyscy krewni i powinowaci, raz po raz wysyłając na zwiady w stronę z której przybycia jego wyglądali. Wracał Przemysłowicz w wypakowanym pojeździe angielskim, a za nim postępowała bryka ładowna; lecz gdy się zbliżał do domu, dzień oznaczony już się miał ku zachodowi,

a konie znużone postępowały zwolna. Niecierpliwy, jak najprędzej powitać rodzinę pragnący Przemysłowicz, kazał wypocząć własnym koniom, a sam spotkawszy wieśniaka z targu poblizkiego miasteczka wracającego, zgodził za kilka groszy i wsiadł na mały wózek, by jeszcze za dnia stanąć w swoim folwarku. Mimo ogromny majątek, jaki mu powiodło się zebrać, nie zmienił on bynajmniej swojego sposobu życia, zawsze oszczędny i skromny jechał w wytartej kapocie, i lubo miał suknie przyzwoite, nie wpadło mu jednak na myśl, aby się w nie ustroił na powitanie rodziny. Krewni spodziewając się Przemysłowicza w paradnej kolasie, nie zważali bynajmniej na wieśniaczy wózek, zdumieli się więc niesłychanie, ujrawszy go przed sobą w wytartej kapocie. Im wyższe każdy w swojej głowie roił wyobrażenie o skarbach Przemysłowicza, tém z większym żalem ujrzał swoje nadzieje zniweczone, tém obojętniej powitał ubogiego, tak dalece, że zaraz w pierwszych chwilach, obok westchnień nad mniemaną nędzą jego, wyrwały się temu i owemu uszczypliwe zarzuty przeciw niepohamowanej chciwości. Jeden z rodziny nie czekając dłużej, poże-

gnał natychmiast Przemysłowicza rzekłszy do niego z przekąsem: kto wysoko mierzy, nisko padnie. Jeden tylko ubogi siostrzeniec, który dawniej chodząc do szkół w Włocławku częste od wujaszka odbierał przestrogi, a niekiedy trzygroszówkę na papier, teraz zostawszy etatowym kancelistą w obwodzie, postęp swój w naukach i umieszczenie obecne jego radom przypisywał; dlatego nie patrząc na stan swojego wujaszka, z największą czułością ucałował jego ręce i z serdeczną radością powitał przybyłego.

Przychyłość siostrzeńca obok wzgardy nieledwie przez innych krewnych okazałej, rozrzewniła Przemysłowicza; kontent więc ze szczęśliwego trafu, który mu objawił uczucia krewnych, postanowił dziedziem majątku ogłosić siostrzeńca, pewny będąc, iż ten który mu tyle był obowiązany za same rady, będzie niezawodnie umiał być wdzięcznym za przeznaczony spadek. Zastawiono tymczasem wieczerzę, stryjeczny brat Przemysłowicza siadłszy obok niego, bawił całą rodzinę dowcipnemi ucinkami, wreszcie spostrzegłszy pierścień duży na palcu jego, zapytał się uszczypliwie: poczemu też w Anglii na odpustach takie

pierścionki przedają? Skromnie odrzekł Przemysłowicz: rozmaite są ceny, od grosza począwszy, aż do krociów; ten mój nie z najdroższych; zapłaciłem za niego pięćset dukatów w złocie. Na te słowa wszyscy otworzyli oczy, każdy pragnął oglądać tak kosztowny pierścień. Wnet zmieniła się postać rzeczy: braciszek stryjeczny przestał swoich żarcików, a wszyscy krewni zaczęli się przesadzać w grzecznościach dla Przemysłowicza: ten zaczął wyliczać dobrodziejstwa sobie świadczone, tamten dawną jego przychyłność ku sobie wspominał, ów wynurzył dozgonną wdzięczność za dobrą radę, a wszyscy niezmiernie cieszyli się, że go przecie w dobrém zdrowiu oglądają. Nasłuchawszy się tylu odrazu pochwał, życzeń i oświadczeń, Przemysłowicz odezwał się z powagą: Ten pierścień widzę ma moc czarnoksiężką, umie on największą oziębłość zamienić w uprzedzającą przychyłność; mnie staremu już jest niepotrzebny, lecz ty mój siostrzeńcze może przez jego tajną siłę potrafisz utorować sobie drogę w świecie: przyjm go więc na pamiątkę odemnie, a później może Pan Bóg da co więcej. Zazdrośnym okiem spojrzeli krewni na szczęśli-



wego siostrzeńca, lecz widząc słuszną swoją karę, nie śmieli nic mówić. Wkrótce pan Przemysłowicz kupił znaczne dobra i siostrzeńcowi zapisał, który go w późnej starości jak własnego ojca pielęgnował i długo zgon jego oplakiwał.

Macie więc drugi przykład, moje dzieci, jak Pan Bóg szczerą wdzięczność za drobne nawet na pozór przysługi okazaną, dziwnem swoim zrządzeniem sownie wynagrodził. Nie myślcie wszakże iż i waszą wdzięczność Pan Bóg zapłaci bogatą po jakim wujaszku puścizną; to są rzadkie przypadki moje dzieci; lecz bądźcie pewnymi, że czułe i dobre serce wasze zjedna wam łaskę u Boga i przychyłość u ludzi.

## XI.

### NIEDŹWIEDNIK.



Od niepamiętnych czasów utrzymuje się zwyczaj w Wielkiej Polsce, że obywatele zamożniejsi zjeżdżają się do Poznania na Ś. Jan i tam zawierają układy o kupno dóbr, dzierżawę, pożyczkę summ, lub wypłatę pożyczonych; wtedy także godzą ekonomów, kucharzy i innego rodzaju służących, zgoła wszelkie ważniejsze interesa załatwiają. Przy takowych zjazdach niemało korzystają kupcy, rzemieślnicy i ludzie rozmaitego rodzaju przemysłem trudniący się. Nie zbywa wówczas na zabawach, niejeden bowiem całodzienną pracą i zabieganiu utrudzony, chętnie szuka ro-





zrywki i z następczonęj chciwie korzysta. Nieraz spotykają się tu krewni, przyjaciele i znajomi, których odległość miejsca ich zamieszkań częstego widywania się nie dozwala; nieraz interesa i towarzyskie zabawy, nowe związki, nowe przyjaźni kojarzą. Jakiżto piękny widok, jak ożywiony obraz wystawia wtedy miasto. Snują się po ulicach powozy wiedeńskich, paryzkich i londyńskich fabryk, czasami też z warszawskich i poznańskich, te ostatnie wprawdzie nie są podlejsze od innych, lecz na nieszczęście są krajowe, a to ich wartość zmniejsza. Przepyszne cugi koni pięknymi zaprzęgami zdobnych, gustowne, a tu i owdzie bogate barwy, mimowolnie nawet zwracają na siebie oko. Po sklepach kupców bławatnych i magazynach strojów pełno kobiet czarujących wykwinnością ubioru, a bardziej jeszcze zachwycającą kibicią i miłym wejrzeniem. Na rynku stoją grupy służących w różnokolorowych wysłużonych barwach, czekając rychło skrzętny faktor dogodnie wynajdzie im miejsce, a tymczasem jeden drugiemu opowiada zwyczaj dworu przy którym dotąd służył; tą drogą idą w obieg drobne intrygi, a niekiedy nawet familijne zajścia i tajemnice.

Po kilku dniach ruchu i wesołej wrzawy, ten się cichaczem wymyka, bo nie znalazł nowego wierzyciela do zaspokojenia dawnych długów; tamten wraca do domu zamysłony, lękając się o swoją sumkę, którą na wysoki wprawdzie procent, lecz na zgubne imię lekkomyślnemu powierzył paniczowi; ów nie kontent z nowej dzierżawy, a niejednemu zdawało się, że przy większej cokolwiek cierpliwości zyskowniejsze mógłby był zawrzeć układy. Tak więc po wszystkich drogach do miasta wiodących pędzą powozy mniej więcej zamysłone mieszcząc w sobie postacie, rzadko gdzie zdarzy się ujrzeć prostą brykę, na której czerstwy starzec z wypogodzonym czołem wesoło pokręca wąsa, przedstawiając obraz spokojnego zadowolenia; w ogóle zaś nadobnych dziewięć lica jaśniejają radością, którą wzbudzają słodkie wspomnienia świetnych zabaw i widok przyszłego szczęścia, w walizach i pudełkach modnych kapeluszy, stroików, szalów i bławatnych materyj zawartego.

Jeszcze byłem dziecięciem, kiedy powiastki o zabawach świętojańskich w Poznaniu drażniły moją ciekawość i wzniewały w duszy gorące pragnienie oglądania ich aby raz w życiu; lecz ojciec mój, właściciel

małego folwarku, człowiek rządny i gospodarny, nie był niczym wierzyicielem, ale też i nie miał wierzyciela, nie jeździł więc do Poznania na kontrakty. Takim sposobem nie było dla mnie nadziei oglądania tak pożądanego widoku. Rok za rokiem mijał zwolna, dosięgałem młodzieńczego wieku, skończyłem bieg nauk w szkole wschowskiej, wróciłem do domu, a zabawiwszy czas niejaki przy rodzicach, począłem wraz z nimi myśleć o przyszłym powołaniu. Czekало mnie wprawdzie, jako jedynaka, dziedzictwo ojca mojego, nie wypadalo wszakże zagrzebywać w szczupłej zagrodzie utalentowanej młodości, jak mówiono, a ja chętnie wierzyłem. Lecz cóż począć? Do urzędu miałem dosyć zdolności, brakło mi tylko należytego ukształcenia, którego szkoła wschowska dać nie mogła; do wojska miałem ochotę, ale matka mdlała na samo wspomnienie; na dzierżawę nie było funduszu, a literackie rzemiosło niepopłatne. Wśród tak przykrych namysłań przybywa do nas pan Przezornicki, sąsiad i dziedzic Dylewa, prosząc abym u niego czas niejaki zabawił. Nic pożądanszego nie mogło być dla mnie; jadę więc z nim bez namysłu, nibyto pod pozorem uczenia

się gospodarstwa, towarzyszenia jego synom mało co młodszym odemnie; nibyto wreszcie dla chwilowego zastąpienia gubernera, a czasami do pomocy w utrzymywaniu rachunków gospodarskich i wyłączeniu go w obowiązkach wójta gminnego. Kilka tygodni już bardzo przyjemnych przepędziłem w domu pana Przezornickiego, gdy wtém zbliżył się czas kontraktów. Coraz większy ruch w domu spostrzegać się dawał, skrętne czyniono przygotowania do podróży, nakoniec w wigilią odjazdu odezwał się dziedzie Dylewa: „Jutro wszyscy wyjeżdżamy do Poznania, miłoby nam było gdybyś nam Waćpan chciał towarzyszyć.” Nie potrzebuję malować radości, jaka ogarnęła serce moje, gdym się ujrzał tak blizkim spełnienia życzeń od tak dawna obudzonych w duszy mojej; żeby wszakże nie ubliżyć powadze starszego niby towarzysza młodych Przezornickich, z udaną grzeczną obojętnością wynurzyłem chęć moję i wkrótce byłem gotów do podróży.

Nazajutrz, po dobrém śniadaniu, ruszyliśmy w drogę: pan Przezornicki, dwaj jego synowie i ja wsiedliśmy do jednego powozu, pani Przezornicka z kuzynką swoją je-



chała za nami angielską karetą, orszak nasz zamykała bryka z kuchnią. Wkrótce stanęliśmy nad przewozem, i przebywszy szczęśliwie Wartę, mijaliśmy miasteczko Szrem, gdy na przedmieściu, na placu dość obszernym, uderzył nas widok zgromadzonego ludu, od którego raz po raz huczne śmiechy się rozlegały. W głębokich rachunkach kontraktów zagrożony pan Przechornicki nie zważał na nic, gdy Jaś, starszy syn jego, który wyprosił sobie pozwolenie kierowania powozem, siedząc na kozle obok stangreta, wstrzymał konie, i odwracając się do ojca, rzekł: „Tu zwierzęta jakieś dziwne pokazują, ojcze: zobaczmy je!” Podniósł się zwolna pan Przechornicki, wysiadł z powozu i udał się w miejsce zgromadzenia. Zeskoczył szybko z kozła Jaś nie zdążywszy nawet oddać bicia stangretowi, pobiegł czempędzój na miejsce, które ciekawość jego obudzało, i stanął jakby osłupiały na widok dziwacznie postrojonych małąp i mruczącego niedźwiedzia. Ojciec z młodszym synem przedarł się przez tłum ludu, a ja zwolna za nimi postępowałem. Uderzyły mnie postacie dwóch przewodników tej małej menażeryi, a osobliwie też tego który kierował niedźwiedziem; szli

oni do Poznania, nadzieją większego zysku wiedzeni. Zaspokoivszy ciekawość wróciliśmy do powozu i pospieszyli za karetą pani Przechornickiej, która bez zatrzymywania się dalszą odbywała drogę. Wkrótce dostaliśmy się na piaski, Jaś przesiadł się do powozu, i zapytał ojca: zkądby ci ludzie takich zwierząt nabyli? czy one się gdzie znajdują u nas? — Ani małp, ani niedźwiedzi niema u nas, odpowiedział ojciec. Małpy właściwie żyją tylko w Afryce środkowej, i gorących strefach Azji i Ameryki, w Europie jedynie w okolicach Gibraltaru znajdują się w stanie dzikim. Liczą ich pospolicie trzy familie a sześćdziesiąt i dwie odmian. Wszystkie wewnętrzną budową ciała zbliżają się do człowieka, i dlatego równie na dwóch, jak na czterech nogach biegać mogą wygodnie; lecz pod względem usposobienia umysłowego zupełnie są zwierzętami, i mało co więcej okazują zmyślności jak pies, a i to tylko urang-utang i małpa zwana troglodytes. Te które pospolicie u nas pokazują, należą do odmiany sylwanów. W ogóle są to zwierzęta łakotliwe, nieczyste, ostrożne i złośliwe. Uciekając przed człowiekiem, szybko i zręcznie wdrapują się na

najwyższe drzewa i ztamtąd zdają się nagrawać z niego. — A jakże je łowią? odezwał się młodszy Antoś. — Różnych na to używają sposobów, rzekł ojciec; najpospoliciej jednak sama natura tych zwierząt przychodzi człowiekowi na pomoc. Są to istoty nadzwyczaj ciekawe i skłonne do naśladowania czynności, które w obecności swojej wykonywane widzą. — To zapewne dlatego, rzekł Jaś, dzieci podrzeźniające innych nazywają małpkami. — Tak jest, rzekł mu ojciec: otóż ludzie korzystając z takowego usposobienia małp, udają się w miejsca, gdzie one w większej liczbie bawią, a gdy spłoszone obsiadą wierzchołki drzew, wtedy człowiek jeden siada na ziemi, tak iżby go dogodnie małpy widzieć mogły i wkłada na nogi obuwie, mocno około kolan obwijając sznurkami, poczem zostawiając kilka par przygotowanego takiego obuwia, oddala się i ukrywa w zaroślach. Małpy powoli schodzą z drzew i oglądają obuwie, wkładają na nogi i podobnież mocno obkręcają sznurkami; wtedy ludzie wypadają z ukrycia, i niemogące wdrzeć się na drzewo, chwytają, wiążą i z wolna oswajają. Mają i inne, temu podobne sposoby. Wkładają na przykład czapkę na głowę w obecność

małp, a potem oddalając się zostawiają kilka czapek zastosowanych do głów małpich ale dość głębokich. Małpy toż samo robią, zasłaniają sobie oczy spadającymi czapkami i nie mogą trafić do drzew. Czasami i ten sposób się udaje: Pod drzewem, na którym małpy siedzą, człowiek umywa twarz wodą, a potem na miednicy zostawia lep: małpy naśladują człowieka, zalepiają sobie oczy, i z łatwością dają się łowić.

— To i niedźwiedzie także z Afryki pochodzą? zapytał się Antoś. — Niedźwiedzie, rzekł mu ojciec, znajdują się w rozległych lasach północnych krajów Europy, Azji i Ameryki. Pełno jest ich na Polesiu, gdzie wielkie zrzadzają szkody tamtejszym mieszkańcom, na polach, w trzodach i barciach; lecz są także i w południowych krajach między górami wysokimi, gdzie dość chłodne powietrze. Ten któregoście widzieli, pochodzi z lasów Litewskich. Niezgrabne to zwierzę jest przecież tak szybkie, iż przed rozgniewanym człowiek uciec nie zdoła. Dwa ich tam są gatunki: niedźwiedź większy, i ten mały, pospolicie od ludu bartnikiem albo mrównikiem nazwany. — Cóżto jest baré, bartnik? zapytał się Antoś. — Na Polesiu i w Litwie, gdzie

są jeszcze lasy rozległe, robią w drzewach wysokich, o kilka łokci od ziemi, podługowate, czworograniaste wyźłobienia, zatykając je zastosowaną do wielkości łątą. W tych wyźłobieniach osadzają pszczoły, albo téż one same sobie w nich obierają siedliska, i to zowie się barcią; człowiek zaś do dozoru i podbierania miodu, nazywa się bartnikiem. Ze zaś małe niedźwiedzie lubią miód i często wydzierają go z barci, dlatego i jemu toż samo co dozorczy pszczoł dano nazwisko. Wyjada on także i mrowiska, i ztąd ma drugie nazwanie. — Ale niedźwiedź ludzi nie napastuje? rzekł Jaś. — Nie, odpowiedział ojciec, gdy nie jest głodny; lecz rozdrażniony, lub gdy innego nie ma pokarmu, wówczas niebezpiecznym jest dla człowieka. — Oh! zapewne złowić żywego niedźwiedzia musi być trudniej niż małpę, odezwał się Antoś. — Niekoniecznie, odrzekł ojciec. Człowiek przemyślem potrafi wszelkie przełamać trudności. Spostrzegłszy że niedźwiedź lubi miód, użył go na sposób łowienia. Rozrabia wódkę z miodem, stawia w naczyniu blisko legowiska niedźwiedzia, a sam z gotowym kagańcem i łańcuchem kryje się w gęstwinie. Niedźwiedź zwęszywszy napój, chci-

wie go połyka, i wkrótce zmorzony trun-kiem zasypia; wtedy człowiek z łatwością kładzie mu kaganiec na głowę i na łańcuchu do mocnego pnia przywiązuje. Skoro się zwierz obudzi, wtedy człowiek na pierwiastkowe zniewolenie go do posłuszeństwa, mocnego używa kija póty, póki zmorzowanego do powolności nie przywiedzie. Skoro kaganiec dobrze zrobiony i łańcuch mocny, sposób ten nie ma w sobie nic niebezpiecznego; lecz polowanie na niedźwiedzia z psami i strzelbą, jak jest dla myśliwych przyjemną zabawą, tak niejednej smutnej przygody bywa źródłem. Niedźwiedź zwykle od połowy listopada, aż ku końcowi kwietnia, obrawszy sobie w największej gęstwinie ukryty ostęp, ściele łożysko pod obalonym pniem drzewa, i tam całą zimę bez żadnego pożywienia przepędza. Myśliwi wysledziwszy takowy ostęp, obstawiają knieję strzelcami, a potem puszczają psy, które nacierając na niego, napędzają go na stanowiska strzelców. Jeżeli który z myśliwych postrzeli go a schronić się nie potrafi, wtedy rozjątrzony niedźwiedź obala go na ziemię, jedną łapą następuje mu na kark, a drugą silnie bije w tylną część ciała, za każdym uderzeniem

przykładając nos swój do ust człowieka, dla przekonania się czy jeszcze oddycha. Skoro ubije człowieka, albo ten zręcznie oddech w sobie zatrzyma, wtedy znosi gałęzie i całkowicie go okrywa. Niechże się człowiek pod tym stosem chrustu poruszy, niedźwiedź, zdaleka przypatrujący się, wraca, odwala gałęzie i powtórnie bije takim samym sposobem jak pierwszy raz. Wieśniacy z Polesia, tak są oswojeni z tym drapieżnym zwierzem, że we dwóch lub trzech wychodzą na łowy na niego, mając tylko oszczep w ręku i kordelas za pasem. Trafiają się między wieśniakami tak zręczni, że gdy zadrażnią niedźwiedzia, i ten na zadnich łapach stanie, gotując się do natarcia na najbliższego człowieka, wówczas ten uderza go włócznią pod łopatkę i na miejscu zabija. Jeżeli zaś chybi, wówczas pada twarzą na ziemię, a gdy niedźwiedź bić go zaczyna, drudzy oszczepami nań godzą i zwykle ubijają.

W lato jednak lub na początku jesieni rozjątrzony niedźwiedź, jeżeli do tego głodny, straszniejszym jest dla człowieka; już bowiem wtedy nie bije, ale obaliwszy na ziemię, jedną łapą następuje na kark, a drugą chwyta za wierzch głowy, pazury w oczach

zatapiając i tym sposobem zrywa czaszkę i ciało człowieka pożera. — Wzdrygnęły się dzieci na ten rys srogości niedźwiedzia i Antoś westchnawszy rzekł: „Dzięki Bogu że takich zwierząt u nas niema, bobyśmy się bali biegać po lesie.“ Chciał jeszcze pan Przewornicki dalej ciągnąć swoją rozmowę, lecz turkot powozu po bruku miejskim zagłuszył jego wyrazy, a tymczasem widok miasta i snujący się lud po ulicach, zwróciły całą uwagę dzieci. Nie było wszakże jeszcze Poznań lecz miasteczko Kurnik, osiadłe samemi fabrykantami ręczników i stołowej bielizny. Przed jednym z domów tego miasteczka zatrzymała się pani Przewornicka dla obejrzenia serwet i obrusów, które z daną przez nią przędzy osnowane były na warsztacie. Wstąpił tam i pan Przewornicki, nie żeby czynić uwagi nad robotą serwet, ale raczej aby synom pokazać warsztaty i porządek roboty. Obejrzawszy cały zakład, ruszyliśmy w dalszą drogę, mając jeszcze blisko dwie mile do Poznania. Dość piaszczysta droga dozwoliła panu Przewornickiemu wytłumaczyć dzieciom postępowanie w robocie serwet, a osobliwie w bieleniu przędzy na ten cel użytej. Wśród tej rozmowy nad nadzie-



wanie szybko zbliżyliśmy się do miasta, i wnet stanęliśmy przed bramą domu zajezdnego, w którym oddawna już dla nas pokoje zamówione były.

Zaledwie poznoszono rzeczy, gdy zaraz przybyło kilku znajomych pana Przewornickiego w tymże domu mieszkających, i zdali mu sprawę z upłynionych już dni kontraktów; przez wzgląd atoli na utrudzenie nasze pięciomilową podróżą, niedługo bawili, co nam wszystkim się podobało, a osobliwie też dzieciom, które z całej, tak interesującej rozmowy nie rozumiały, a przyznam się szczerze, że i dla mnie wiele rzeczy było niepojętych; główne punkta rozmowy ile sobie przypominam, były: źle idą interesa — dzierżawy tanie — dobra w wysokiej cenie — kapitalistów mało — wszyscy się ociągają. Szczęściem dla mnie, że udawszy się na spoczynek do przeznaczonego nam pokoiku, dzieci rozpoczęły między sobą rozmowę o tańcu małym i niedźwiedzia, a tém samém nie żądały już odemnie wyjaśnienia rozmowy przez gości toczonej.

Nazajutrz państwo Przeworniccy zajęli się załatwieniem swoich interesów; a ja z synami wyszedłem dla rozpoznania mia-

sta: wieczór przepędziliśmy w teatrze. Uszczęśliwiony widokiem tylu nowych dla mnie przedmiotów, długo zasnąć nie mogłem snując w głowie projekta zajęcia się w dniu następnym: osobliwie dręczyła mnie chęć poznania toku kontraktów, której zaspokojenia nie widziałem żadnej sposobności. Wśród tych myśli przecie sen skleił moje powieki. Przebudziłem się nieco później jak zwyczajnie, i z wielkiem podziwieniem ujrzałem młodych moich towarzyszków już ubranych i nader wesółych. Za ledwie spostrzegli żem oczy przecierać począł, gdy obadwa stanęli przy łóżku mojem, i radosną zwiastowali mi nowinę, że Niedźwiednik w nocy przybył do tegoż domu zajezdnego, że będą mieli sposobność przypatrzeć się należycie zwierzętom. Jakoż zaraz po śniadaniu wyprosilili sobie od rodziców kilka złotych na wynagrodzenie niedźwiednikowi i pobiegli na dziedziniec, aby jak najprędzej zaspokoić swoją ciekawość.

Dwóch było przewodników tych zwierząt: jeden niskiego wzrostu, krępy i już ku starości zbliżający się, w błękitnej kapocie, czerwonym pasem dzianym przepasany, w ogromnym kapeluszu, grał na fujarce

i jedną pałeczką uderzał w bębenek u pasa zaczepiony: drugi w sile wieku przystojny, wysmukły mężczyzna, w czerwonej czapce z kasztanowatym barankiem, w krótkim po kolana żupaniku, trzymał na łańcuchu niedźwiedzia, i dość grubą laską do tańca go zniewalał, kierując zarazem pięcią małpami, dziwacznie w krótkie fraki, surduciki i sukienki postrojonemi. Trudno było dzieciom rozmówić się ze starszym, a młodszy z początku wymawiał się utrudzeniem zwierząt; ujrawszy jednak brzęczącą monetę w większej kwocie, aniżeli mógł zebrać w Szremnie, dał się skłonić, krótko porozumiał się ze starym i wyprowadził zwierzęta na dziedziniec. Nie miał wielkiej ochoty do tańca głodny jeszcze niedźwiadek, skrobały się po uszach małpki, lecz czarodziejska laska przewodnika ożywiła wszystkich, i chcąc nie chcąc bawiły swoich dwóch widzów i całą czereď słuźalców z domu zajezdneho. Po skończeniu uciesznych skoków, przystąpił Jaś do młodszego przewodnika pytając się zkad wzięli te zwierzęta. — Niedźwiedzia, odpowiedział, kupiliśmy już wyuczzonego w Smorgoni, małpki zaś po jednej nabywaliśmy od podobnych nam wędrowni-

ków. ~~+~~ Jakto można, mówił dalej Jaś, nauczyć tak niezgrabne zwierzę? — Jużci można, odrzekł przewodnik, ale potrzeba do tego czasu, cierpliwości i umyślnie do tego przysposobionych miejsc. Dawniej w Smorgonii i w kilku innych miejscach na Litwie mieszkańcy tём się trudnili, teraz rząd zakazał z powodu kilku przykrych wypadków. — A to jakich? zapytał się Antoś. — Zdarzyło się, odpowiedział przewodnik, że niedźwiedź wyrwawszy się z rąk swojego przewodnika, pokaleczył ludzi, były i takie przypadki, że własnego przewodnika zagryzły; to skłoniło rząd do wydania zakazu; odtąd zmniejszała się liczba przypadków, bo się też umniejszała liczba wodzących niedźwiedzie. Ze zaś panowie ciekawi, a już tego widzieć nie będziecie, opowiem wam jak dawniej uczono niedźwiedzie. Naprzód chwywane w kniei zwierzę oswajali morząc głodem i trapiąc bezsennością, używając przytём laski: oswojone już i dające się łatwo wodzić, wprowadzali bo izby cegłą wykładanej, pod którą był piec tak urządzony, iż gdy w nim dobrze napalono, podłoga izby rozgrzewała się tak dalece, że się jej ręką dotknąć nie można było; na zadnie łapy

wkładano niedźwiedziowi sandały z drewnianą podeszwą, także same brał ten co na fleciku przygrywa, i ten co wprowadzał niedźwiedzia. Gdy rozpalona cegła dopiekać poczęła niedźwiedziowi w przednie łapy gołe, wtedy z początku szybko przestępował z jednej łapy na drugą, a gdy to nie mu nie pomogło, podnosił się stając tylko na zadnich łapach; w tej samej chwili mający flecik poczynął grać i w bębenek uderzał, a przewodnik głosem i laską do chodzenia znagłał zwierzę. Gdy taką naukę kilka, lub kilkanaście razy powtórzono, w miarę pojętności zwierzęcia, bo i między zwierzętami są pojętniejsze jedne od drugich, wtedy niedźwiedź przyuczał się głosu flecika i bębenka, i skoro go usłyszał, zaraz się podnosił przednimi łapami w górę, sądząc, że go jak dawniej parzyć będzie cegła. Tym sposobem wyuczony niedźwiedź dość drogo kosztował. Jeżeli był młodo schwytany, oswajał się zupełnie i zapomniał swęj dzikości; lecz stary nieraz na widok kniei porzucał całą naukę i wyrwawszy się przewodnikowi, wracał do dawnego stanu, a przewodnik był szczęśliwy, jeżeli się tylko na tém kończyło. — Oh! kiedy tak, odezwał się Antoś, to jabym nie chciał wo-

dzie niedźwiedzia. — Mój panie, rzekł z głę-  
bokiem westchnieniem przewodnik, i jać to  
nie robię z ochoty, ale raz do tego stanu  
przywiedziony, trudno mi się z niego wy-  
dobyć. — Alboż kto pana do tego przymusił,  
zapytał się Jaś. — Tem przykrzój dla mnie,  
odrzekł niedźwiednik, że własna moja nie-  
rozważa nieszczęścia mojego początkiem.  
Widzę, że panowie macie dobre serce, dla  
przestrogi więc waszej opowiem wam  
w krótkości koleje mego życia. To mówiąc  
oddał staremu niedźwiedziowi z łańcuchem,  
który go do stajni zaprowadził, on zaś usu-  
nawszy się nieco od grona służących, tak  
mówić począł:

„Gdybym był powolniejszy na rady  
i przestrogi moich rodziców, i ja dziś, tak  
jak panowie, jeździłbym w powozie, był-  
bym użyteczny społeczności pośród której  
się wychowałem, miły Bogu i bliźniemu,  
swobodne zapewne na łonie rodziny pędził-  
bym życie; lecz jakaś lekkomyślna natura,  
żadnemi przygodami nieposkromiona ła-  
twowierność, jakiś zgubny pociąg do towa-  
rzystwa równie płochego jak ja, przywio-  
dły mnie do tego stanu i na tułackie życie  
skazały. Nie wymienię wam nazwiska, bo  
nie chcę plamić imienia ś. p. ojca mego.

Byłto zacny i powszechnie szanowany obywatel, długie lata spędził pod bronią i znakomitego dosłużył się stopnia, resztę dni przepędził na wsi, którą po ojcu odziedziczył, a która niestety nie miała należeć do nierozważnego syna. Pókim był mały, byłem jedyną pociechą ojca: ze mną on bawił się po całych wieczorach, kiedy utrudzony służbą wrócił na odpoczynek do domu. Nieszczęściem matka rozstała się z tym światem, gdym był jeszcze niemowlęciem; krewni byli daleko od miejsca w którym się ojciec mój znajdował, tym sposobem musiałem być przy ojcu. Dobrze to było, gdy ojciec wolny od służby w domu przesiedział, lecz im wyżej postępował po stopniach, tém więcej przybywało mu zatrudnień, tém mniej chwil mógł poświęcić dla mnie. Zostawiony sam sobie, wybierałem do towarzystwa takie dzieci, które mi we wszystkim ulegały, takie zaś tylko były powolne dla mnie, które się na bułkę, ciasteczko, lub karmelek łakomiły; inne mogące to mieć od swoich rodziców, nie chciały znosić moich kaprysów, a ja też odpłacałem im niechęcią. Z laty coraz bardziej stwierdzało się we mnie to usposobienie umysłu: jeżeli jakie rozważniejsze dziecię nie zgadzało się

z moją fantazyą, nie chciało należeć do wy-  
rządzenia uprojektowanej psoty, wnet uka-  
rane przezemnie, wytracone zostało na za-  
wsze z mojego towarzystwa. Nadszedł czas  
w którym trzeba było pomyśleć o mojej  
nauce. Przyjęty nauczyciel w parę dni po-  
znał mój charakter, chciał go przełamać,  
stawilem się upornie, on wystąpił przed oj-  
cem ze skargą, przedstawił moje postępo-  
wanie w zbyt może żywych kolorach, przez  
co dotknął miłość własną ojca i miejsce po-  
stradał. Drugi powolniejszy, więcej uło-  
mnościom moim pობлаżający, miał nadzieję  
że z czasem uleczy mnie z moich narowów:  
nie mógł jednak tego czasu doczekać, bra-  
kło mu cierpliwości i sam ojcu podziękował.  
Już też i ojciec trochę baczniejszy na moje  
sprawki, dostrzegł niektóre zdrożności  
i dał mi poznać swoje nieukontentowanie.  
Kochając ojca nad życie własne, uczulem  
mocno jego przestrogi, postanowiłem zmie-  
nić moje postępowanie, stałem się powol-  
niejszym dla nowego nauczyciela, z wię-  
kszą pilnością zabrałem się do nauki, wszy-  
stko to jednak niedługo trwało: towarzysze  
moi za pierwszą zabawką wrócili mię na  
dawną drogę. Wtém ojciec opuścił służbę  
i osiadł na wsi. Z początku nie mając sto-



sownego towarzystwa, zabrałem się do nauki, lecz wnet chłopcy wiejskie na każde skinienie swojego panicza gotowe, stali się uczestnikami moich zabaw i narzędziami lekkomyślności. W obecności ojca układałem się jak niewiniątko, nauczycielowi dokuczałem, a ten przez szacunek dla ojca cierpiał póki mógł, nareszcie się oddalił radząc mi, aby mnie jak najprędzej do szkół oddał. Ojciec nie mogąc dobrać nauczyciela według swojej myśli, usłuchał rady i umieścił mnie na pensyi u jednego z nauczycieli szkoły powiatowej. Z niemałą bojaźnią jechałem do tej szkoły, lecz wkrótce oswoiłem się i obfity znalazłem żywioł dla przewrotnych skłonności. Wszyscy towarzysze moi do nauk gnuśni, a do psot skorzy, przyłgnęli do mnie duszą i ciałem; razem układaliśmy projekta psot, lecz wykonanie ja najwięcej brałem na siebie. Bo też moi towarzysze umieli obudzić we mnie fałszywą ambycją, wychwalając moją śmiałość w działaniu, przebiegłość w wykrętach, zuchwalstwo w odpowiedziach. Czasami po ważniejszem wykroczeniu, przedstawiali mi znaczenie ojca, w skutek którego nauczyciele nie ośmielały się tak mnie karcić jak któregokolwiek innego. Wierzy-

18\*

łem temu rozważając postępowanie nauczycieli domowych, byłem pewny że i publiczni tąż samą drogą pójdą. W tém przekonaniu utwierdzały mnie kary lekkie, jakie z początku za moje przewinienia naznaczali, rozsądne stopniowanie wzięłem za znak obawy, a towarzysze moi potrafili mnie w tém przekonaniu utwierdzić. Za niepoprawnością moją coraz cięższe następowały kary, ale samo przyzwyczajenie i chęć pokazania się w oczach spółtowarzyszów, odejmowały im w oczach moich całą ochydę. Nakoniec przyjąwszy na siebie winę spółtowarzyszów, spotkałem się z bolesną różgą. Pilni i wzorowych obyczajów uczniowie ubolewali nademną, zachęcali mnie do wyznania niewinności, i już po części zachwiali mój czyn, lecz towarzysze złego uwielbiając moc duszy i stałość charakteru mojego, a szydząc z lizustwa, jak nazywali godnych naśladowania zacnych kolegów, na nowo dodali mi odwagi do złego. Zresztą szanowny zwierzchnik szkoły nie widząc już dla mnie środka poprawy, radził ojcu, aby mnie do innej przeniósł szkoły, częścią dlatego, że oderwany od złego towarzystwa może się poprawić, częścią zapewne aby się pozbyć przewrotnego ucznia.

Czas feryj szkolnych przepędziłem w domu ojca, na ciężkiej próbie i gorzkim rozmyślaniu o przeszłości: widziałem całą okropność mojego postępowania, postanowiłem szczerą poprawę. Ojciec uwiedziony moim żalem oddał mnie do szkoły wyższej, przeszło dwadzieścia mil od jego zamieszkania odległej. Z początku wierny postanowieniu mojemu zawarłem przyjaźń z wzorowymi uczniami i zyskałem przychylność wszystkich nauczycieli; lecz rozmawiać ustawnie o naukach, siedzieć spokojnie na lekcyach, chodzić po ulicach poważnie, każdemu należytą grzeczność okazać, w zabawach nawet przyzwoicie się zachować, byłoto dla mnie męką, której nie mogłem długo znośić; pozbyłem się po jednym moich nowych przyjaciół, i w mgnieniu oka zyskałem przychylność niedbalców, trzpiotów i psotników. Szósty rok pobytu mojego w szkołach zacząłem, a dopiero wszedłem do klasy trzeciej, i to bardziej ze względu na wiek, niż na postęp w naukach, już bowiem szesnastą rocznicę życia mojego obchodziłem; z tego powodu nie gardzili towarzystwem mojem wyższych nawet klas uczniowie, których nauki nie umiałem ocenić, lecz zepsute obyczaje chętnie i z rozkoszą naślado-

wałem. Dotąd niedbalstwo i rozhlukana swawola były główną moją wadą, teraz wszedłem na drogę występków. Zapoznałem się z kartami, porzuciłem towarzystwo szkolne, a namiętnie przyłączyłem się do kompanii szulerów. Nie uszło to baczności oka zwierzchności szkolnej, poczęto pilniejszą zwracać uwagę na mnie, lecz i ja przewidywałem skutki; posprzedawawszy więc szkolne sprzęty, wybrałem się cichaczem do stolicy. Tu dopiero zajaśniało dla mnie szczęście i swoboda w całym blasku, w zakątnej kawiarni ujrzałem się otoczony dobranym gronem młodzieńców, z których każdy krasił swe imię tytułem szanownym ojca lub rodziny, a każdy już oddawna godzien był kary poprawczej. Z początku szło mi wybornie, fortuna sprzyjała, a towarzysze szanowali; lecz gdy wkrótce zaczęły zapasy wyczerpać się, dopiero ujrzałem obmierzłych szulerów w osobach moich nowych towarzyszy: znikły tytuły, a nikczemne namiętności, podle obejście się na jaw wystąpiło. Porzuciłem to bezecne grono, lecz bez funduszu, bez znajomości, przyzwoitego nawet ubioru pozbawiony, nie wiedziałem gdzie się obrócić i co począć. Głodem przyciśniony, musiałem wreszcie

połączyć się z jednym z dawniejszych spółników szulerstwą, któremu chwilowo los sprzyjał, lecz zamyśliwszy się nieraz o smutnej przyszłości jaka mnie czekała, zamierzałem porzucić obmierzłe rzemiosło, wrócić do domu, przebłagać ojca i być mu w trudach gospodarstwa pomocą. Cztery lata upłynęło, a ja pogrążony w zamęcie najdzikszych namiętności, codzień postanawiałem wrócić na drogę cnoty, codzień zwłóczyłem wykonanie postanowienia, aż nareszcie powziąłem wiadomość o śmierci ojca. Jakie wtedy uczucia miały duszą moją, tego panom opowiedzieć nie jestem zdolny: wstyd, żal, zgryzota, naprzemian mnie dręczyły. Porzuciłem wreszcie stolicę i towarzystwo moje, udałem się do domu.

Majątek zastałem w ręku opieki, przed którą trzeba było usprawiedliwić moje pochodzenie i prawa, bo mnie oddawna miało za zgubionego. Droga to była łatwa lecz długa, mnie brakło cierpliwości, zgodziłem się więc na projekt jednego z opiekunów, wziąłem od niego skromną sumkę, pokwitowawszy go ze wszystkich pretensyj. Z tą sumką postanowiłem osiąść nieznanym gdzie w zakącie i porządnie rozpocząć życie. Udałem się więc w odleglejszą stronę kraju

w zamiarze nabycia skromnej zagrody, aby w niej spokojniejsze pędzić życie. Przybyłem do znakomitszego w owych stronach miasta i wnet napotkałem człowieka, który mi się zdał prawdziwym aniołem opiekuńczym. Ten przyrzekł mi swoją radę i pomoc wę wszystkiem, przyjął mnie do swego mieszkania, krzątał się wraz ze mną w wyszukaniu dogodnej osady, podawał projekta przyszłego gospodarstwa, radził, nauczał, przestrzegał, a raz po raz kilka złotych z kieszeni wyciągał. Kilka dni wesoło spędziliśmy z sobą, jak dawniej starzy przyjaciele; wtém, jednego dnia wstawszy rano spostrzegam opróżnione łóżko mojego towarzysza i wszystkie jego rzeczy uprzątnione. Zdziwiony tym wypadkiem, którego przyczyny nie zgadywałem, niespokojny zabierałem się wyjść do miasta sam nie wiem w jakim celu, gdy nadszedł urzędnik policyjny, zapytał mnie o nazwisko, miejsce pochodzenia, zażądał papierów, których złożyć nie mogłem; a zatem jako podejrzaną osobę zaprosił z sobą. Jeżeli mnie uderzyła bytność urzędnika policyjnego i tajne oddalenie się mojego towarzysza, tém bardziej przerażony zostałem spostrzegłszy że mój tłumoczek zniknął. Poznałem wtedy

w jakie ręce wpadłem, lecz już było za-  
późno. Nie chcąc dla wstydu wyjawić wła-  
ściwego nazwiska i miejsca urodzenia, tłu-  
maczyłem się jak mogłem. Od zarzutu  
spółnictwa złego człowieka uwolniony zo-  
stałem, ale mnie odesłano do zmyślonego  
przezemnie miejsca urodzenia. Ogołocony  
ze wszystkiego, do rozpaczy prawie przy-  
wiedziony, stanąłem w nędznem miastecz-  
ku, którego nazwisko z lat dziecinnych  
mi się przypomniało: wszyscy stronili ode-  
mnie jak od tułacza, nigdzie nawet noclegu  
znaleźć nie mogłem. Udałem się do kar-  
czmy, lecz i tam nie cierpią gościa od któ-  
rego nic zyskać nie można; przecież w koń-  
cu nastęrczył mi się ten oto niedźwiednik;  
przyjął mnie za pomocnika, a wkrótce  
przypuścił do spółnictwa, i z nim oto już  
trzeci rok tułackie prowadzę życie. Oh pa-  
nowie! biada młodemu gdy w złem podoba  
siebie towarzystwie; biada, gdy nie ma  
dość mocnej duszy otrząsać się ze złego,  
ani dość stałości wytrwania w dobrém; lecz  
największa biada, jeżeli idąc na oślep za  
popędem swojej fantazyi, zaniedba się  
w młodości, nie przysposobi się w nauce  
skarbów, któreby mu w każdej przygodzie  
losu pewny zasilek przyniosły. Nauka

utwierdzając rozsądek, zdolna jest zatrzyć błędy młodości i rozhukanego nawet młodzieńca w dojrzałym wieku na drogę cnoty naprowadzić. Panowie, nie wątpię że macie sposobność kształcenia się; niech was moje nieszczęścia do tём gorliwszego zajęcia się zachęcą, bo ja w tём tylko znajduję pociechę, jeżeli smutne moje przeznaczenie komuśkolwiek posłuży za przestrożę.”



## XII.

### KARAWANA.



„Dziś dobrześmy się przeszli, mój ojciec! odezwał się Boles, najstarszy synek pana Stężyca; pewny jestem, żebyśmy już mogli śmiało zejść nawet i do Krakowa. — Być może, rzekł ojciec; gdzieżście to byli tak daleko, że śmiesz taki wniosek robić? — Odwiedziliśmy księdza Proboszcza, odpowiedział Boles; zastaliśmy u niego dwóch jakichś młodych panów, którzy pieszo z Częstochowy wracali. Obadwa w płóciennych surducikach, ładne maleńkie mają tłómczki skórzane do zachowania bielizny i porządniejszego ubioru. Ja jednego przy mierzałem, to wcale nie ciężki, a przytém

jak dobrze pozapinany, to go bardzo wygodnie nieść na plecach. Opowiadali księdzu proboszczowi, jakto piękny kościół i klasztor księży Paulinów na Jasnej Górze; że przy kościele jest kaplica z cudownym obrazem Najświętszej Panny w hebanowym ołtarzu umieszczonym. Starszy z tych panów mówił, że wszedłszy do kaplicy, każdego zaraz przejmuje jakieś niepojęte uczucie bogobojnego uszanowania, tak iż mimowolnie ze czcią zgiąć musi kolana i zasylać modły do słynącej łaskami Najświętszej Panny, Matki Zbawiciela naszego; że temu uczuciu nikt się oprzeć nie zdoła, i to samo już za cud uważać należy. Oni byli w czasie odpustu i zastali kilkanaście tysięcy ludu pobożnego, który się zebrał z różnych stron, nawet bardzo dalekich. Ztamtąd wracali przez Olkusz, Suchedniów i inne jakieś miasta, których nazwisk nie pamiętam. Opisywali księdzu proboszczowi jakieś ogromne piece, w których żelazo wytapiają; maszyny parowe nadające ruch młotom niesłychanie ciężkim, i różne piękne rzeczy, których aż miło słuchać było: tylko szkoda, że my tego i połowy nie rozumieli, a i ci też panowie mówili że to trudno dokładnie opowiedzieć, i kto nie widział

choć aby jednej huty i fryszerki, ten niełatwo opis zrozumieć potrafi. Pokazywali także rysunki rozmaitych zamków, gór, zakładów górniczych. Jakto pięknie porobione! a oni powiadali że to tylko zarysy dla łatwiejszego spamiętania, w domu dopiero myślą to wszystko należycie wyrobić. Ojczy, pan nauczyciel umie pięknie rysować i obiecał nas uczyć bylebyśmy potrzebne do tego mieli rzeczy; mybyśmy się z wielką ochotą uczyli, na przyszłe lato poszlibyśmy także pieszo do Częstochowy, Krakowa, i okolic w których są różne zakłady górnicze i fabryczne, bo daleko łatwiej pojąć wszystko z widzenia, jak z opisu.

„Chęć wasza, moje dzieci, jest chwalebna, ale tak prędko, jak sobie życzycie, do wykonania niepodobna. Przykład tych dwóch panów rozognił waszą imaginacją, opowiadania ich rozdrażniły ciekawość, a przechadzka półmilowa po równej drodze i pod cieniem drzew rozłożystych odbyta, wraziła wam to przekonanie, że już do wszystkiego zdolni jesteście. Moje dzieci, wiele bardzo potrzeba, żeby taką wędrówkę odbyć z korzyścią należytą; bo przyglądać się różnym przedmiotom, a składu ich nie

rozumieć, celu korzyści ich nie pojmować, na cóż się to przyda? Trudzić się dla zaspokojenia próżnej ciekawości, i dlatego żebyście mogli komuś powiedzieć, żeście tam i owdzie byli, żeście jedno i drugie miejsce widzieli, a przytém nie umieć należycie ocenić ważności rzeczy widzianych, wierzcie mi, to więcej wstydu niż zalety człowiekowi przynosi. — Właśnie też pan nauczyciel już nam powiadał, rzekł Boles, że chcąc z przyzwoitą korzyścią taką wędrówkę odbyć, trzeba mieć znaczny zapas rozmaitych wiadomości, trzeba znać historią naturalną, ogólne przynajmniej zasady fizyki, mechaniki, trzeba umieć rysować; to też mamy jeszcze blisko rok do przyszłego lata; jak się szczerze przyłożymy, wszystkiego potrafimy się nauczyć, przynajmniej tyle, żebyśmy mogli zrozumieć wszystko co nam osobliwszego pokażą. — Piękne i chwalebne są wasze zamiary, rzekł ojciec, życzę wytrwałości, ale wątpię czy największa usilność wasza zdolna będzie pokonać wszystkie trudności, i czy siły wasze wystarczą na taki ogrom nauki w ciągu jednego roku. Lecz skoro, nad spodziewanie moje, przysposobicie się należycie, wówczas nie będę miał nic przeciw temu.

Spokojnie całej rozmowie przysłuchiwał się dymissyonowany pan porucznik, krewny pana Stężyca, który niedawno wrócił z niewoli tureckiej; lecz gdy ojciec młodego Bolesia skończył swoje uwagi, on się odezwał: „Stryjaszek zapomniał jeszcze małej ale nader ważnej rzeczy, bez której takie wędrowki, do jakich bracia mają ochotę, udać się nie mogą. — Ciekawy jestem, co byto było, rzekł Boles. — To jest to, co ci się zdaje niczem, odpowiedział pan porucznik, a bez czego wędrowka przykrą chorobą skończyć się może. Jestto zahartowanie się na wszelkie przypadki i niewygody w podobnych wędrowkach przytrafić się mogące, i zwykle przytrafiające się. — Braciszek ma na myśli swoje wojskowe przygody, odrzekł Boles, to wcale co innego. W czasie wojny trzeba cierpieć głód, zimno, i wszelkie niewygody; ale my w czasie pokoju wędrując nie obawiamy się niczego. Po miastach wszędzie są domy zajazdne w których można dostać jeść czego kto zażąda, wygodny nocleg w osobnym pokoju; a jeżeli mocny deszcz będzie padał, to się zatrzymamy, póki się nie wypogodzi; wyjdziemy w lato, więc nam nie dokuczy zimno, iść zaś będziemy póty, póki się nie

zmordujemy; wszak nas nikt pędzić nie będzie. Nie zajdziemy dziś do jakiego miejsca, to zajdziemy jutro; żołnierz zaś choćby upadł z utrudzenia, musi koniecznie stanąć tam gdzie mu rozkażą.

— Tak wszystkie dzieci rozumieją, mój Bolesiu, gdy mają na jaki cel natężoną wyobraźnię, a skoro doświadczeńszym od siebie wierzyć nie chcą, niewczesnym zwykle żalem przyplacają. Prawda, że żołnierz z powołania swojego narażony jest na różne niewygody; lecz są tysiączne zdarzenia w których sobie daleko prędzej i łatwiej zaradzi, niż prywatny wędrownik, a osobliwie taki jak wy obadwa. Są wprawdzie domy zajezdne po miastach, lecz w nich najczęściej prócz prostej wódki, nic więcej nie dostaniesz. Dadzą ci osobną izbę, ale o innej pościeli, prócz słomy, nie myśl. Nie zawsze też do miasteczka na noc zdążyć można; trzeba szukać przytułku i we wsi, a tam, mianowicie przed żniwami, rzadko gdzie znajdziesz kawałek chleba. Dwory nie w każdej wsi, a prócz tego, jeżeli cię kmiotek z otwartymi rękami nie przyjmie, do dworu nie zaglądaj skoro jesteś nieznanym, obejrzą cię od stóp do głów, obsypią pytaniami, dadzą na nic nieprzydatną radę,

i szczęśliwy będziesz jeżeli cię filiżanką kawy lub szklanką herbaty pozbędą. Jeżeli ci więc mówię o potrzebie zahartowania się, to rozumiem przez to przyzwyczajenie się do potraw prostych, razowego chleba, do zniesienia czasem głodu i pragnienia, do spania na gołej podłodze, a czasem też i pod gołym niebem, a przy tém wszystkiem wesoło i ochoczo a nadewszystko szybko zbierać nogi. Nikt wprawdzie pędzić cię nie będzie, ale same okoliczności zagną jednego dnia więcej drogi odbyć jak drugiego. Nie z samem wojskiem odbywałem ja pochody, mój Bolesiu. Boże cię zachowaj od takich wędrówek, do jakich ja zmuszony byłem; przestroga więc moja z gorzkiego wypływa doświadczenia, i dlatego z ochotą jej słuchać powinieneś.

— Braciszek nie nam o swoich podróżach nie mówił, a my z taką ochotą słuchalibyśmy, bo braciszek pewnie dalej był jak w Krakowie, a tém samem wiele widział. Prawda mój Bolesiu, rzekł porucznik, i znacznie dalej. Bylbym wam już opowiedział moje wędrówki, lecz w tych kilku dniach od mojego do was przybycia, zawsze częmsiś nowem zajęci byliście, trudno więc było znaleźć sposobność opowiadania;

ale teraz, gdy macie czas i ochotę, tedy posłuchajcie.

„Niewiele byłem starszy od ciebie Bolesiu, gdy nie dostawszy promocyi z klasy piątej, na którą nie zasłużyłem, postanowiłem wejść do wojska z tą słodką nadzieją, że za kilka lat stanę na czele pułku, okryję się sławą i przynajmniej generałem do domu powrócę. Jakaż moja była radość gdym pierwszy raz przywdział mundur, i z szablą przy boku dosiadł dzielnego kasztanka; rozumiałem że wszyscy na mnie patrzą i wszyscy podziwiają moją żołnierską postawę. Wkrótce dano rozkaz do pochodu, hasło wojenne rozległo się w szereгах naszych, radość opanowała umysły, bo nadzieja szybkiego postępu na wyższe stopnie każdemu zawróciła głowę. Pułk w którym się znajdowałem, prawie najpierwszy spotkał się z nieprzyjacielem, dobrze mu się powiodło, ale straciliśmy dwóch podoficerów, ja zająłem zaraz miejsce jednego; podobnymże sposobem niespełna w trzy miesiące doszedłem stopnia porucznika. Tak szczęśliwym losem zachęcony coraz śmielej postępowałem, aż nareszcie w żwawej rozprawie nad samą węgierską granicą, obkoczony od przemaga-



jącej siły, ranny, dostałem się do niewoli. Odesłano mnie do Semlina w Słowacko-węgierskiej wojskowej granicy.

— Cóżto jest ta wojskowa granica, za-pytał się Boles. Urządzenie to sięga bar-dzo dawnych czasów, lecz o tem później ci powiem, rzekł pan porucznik; teraz dość będzie abyś miał tylko wyobrażenie o tem. Kiedy Turcy przeszedłszy z Azyi do Europy, opanowali Konstantynopol, i zniszczyli Cesarstwo Wschodnie, i da-lój swoje panowanie poczęli, wtedy król węgierski Zygmunt, spółczesny Władysławowi Jagielle, dla zabezpieczenia się od ich napaści, wyznaczył kawał ziemi osadnikom, uwolnił od wielu powinności, włożywszy warunek aby zawsze z bronią w ręku czuwali nad bezpieczeństwem gra-nic, i wstrzymywali bandy tureckie. Ta pierwsza jego osada w Zengskim kapi-taństwie złożona z wieśniaków żołnierzy, tojest z ludzi rolę uprawiających, i zara-zem w obrotach wojennych wyćwiczonych, pod rządem zupełnie wojskowym, okaza-ła się nader korzystną; zczasem więc rozciągnięto ją wzdłuż całej granicy węgierskiej, na dwieście mil przeszło; na-dano grunta ośmset ośmdziesiąt mil kwa-

dratowych obejmujące, i rozdzielono na pięć generalstw, między któremi generalstwo słowackie, czyli inaczéj peterwardejskie najznakomitsze jest prawie. Dziś we wszystkich tych generalstwach przeszło dziewięććroć sto tysięcy mieszkańców liczą, z których, w razie potrzeby, sto tysięcy wyćwiczonych wojowników w pole wyjść może. To się nazywa wojskową węgierską granicą; tam każdy mieszkaniec, syn żołnierza, dorosłszy, zostaje żołnierzem, ćwicz się w obrotach wojskowych, i sam musi bronić téj ziemi, którą własnymi rękami uprawia. Jestto lud śmiały i bitny; duchem rycerskim ożywiony, szanuje każdego żołnierza. Wyjąwszy Turków, których sobie zniecierwidzili przez odwieczne z nimi krwawe utarczki, zresztą zarówno poważają mieszkańców wszystkich narodów i z wojennymi jeńcami obchodzą się jak z braćmi. Dla mnie dwie tylko były najprzykrzejsze rzeczy: że był bardzo oddalony od swoich, i że napróżno traciłem czas, gdy moi towarzysze wyższych dosługiwali się stopni. Z tego powodu nieraz brała mnie chętka wydobyć się, i dostanie się do kraju przez

Wołoszczyznę i Multany tak mi się wówczas wydawało łatwe, jak wam teraz do Krakowa.

Zaledwie dwa tygodnie przepędziłem w Semlinie, gdy odgłos trąby wojennej rozległ się w całym generalstwie. Banda zbrojnych Turków napadła wieś pograniczną, i uprowadziła z sobą dość liczną trzodę bydła. Kilka kompanij ruszyło przeciw napastnikom; ciekawością zdjęty oglądania Turków, wyjednałem sobie pozwolenie towarzyszenia wyprawie. Utarczka była dość żwawa, z jednej i z drugiej strony kilkanaście osób poległo, lecz zwycięstwo nam sprzyjało, odbiliśmy trzodę i wesoło z zyskiem kilkunastu pięknych koni powracaliśmy; tymczasem znaczny oddział Turków wypadłszy z zasadzki, rzucił postrach na nasze hufce, i nim się potrafilśmy zebrać i uszykować, już oni pięćdziesięciu pochwycili do niewoli i spiesznie uchodzili. Między tymi byłem i ja, jeniec wojenny do niewoli zabrany. O ile było ludzkie i łagodne obchodzenie się ze mną dowódców wojennej granicy, o tyle srogie i przykre postępowanie Turków. Dnia następnego stawiono nas przed baszą, który obejrzawszy wszystkich, najdorodniejszych

i najsilniejszych zatrzymał dla siebie, resztę między podwładnych rozdzielił. Ja dostałem się jakiemuś niższemu oficerowi, który, o ile mi się zdawało, mógł się równać w stopniu z naszym porucznikiem, bo mniej więcej tak licznym dowodził plutonem. Tylko com przybył do jego domu, natychmiast mnie przestrojono po turecku i włożono obowiązek nakładania fajki panu. Trzeba się było zastosować do nowej pozycji, by uniknąć bolesnych napomnień.

Krótko bawiłem u nowego pana: wziął mnie do siebie inny: czy kupił, w zamian lub w podarunku mnie dostał, tego ja nie wiem, bo przy mnie nie nie mówiono, a choćby też i w mojej obecności targowali się, pewniebym nie nie wiedział, nie rozumiejąc ani słowa po turecku. Z tym drugim panem dostałem się do Adryanopola; tu już wiedziałem wyraźnie że byłem na sprzedaż wystawiony wraz z wielu innymi; kupujący przychodzili, oglądali nas kolejno, wybierali, targowali się i płacili. Przeszedłem więc w ręce bogatego Turka, który czy z polecenia poprzedzającego, czy też z własnego przywidzenia obrócił mnie do dozoru swoich wierzchowców. Spojrzawszy na dzielne rumaki

mojego baszy, pomyśliłem sobie: jakbyto łatwo było szukać wybawienia w szybkości jednego z nich, gdybym choć cokolwiek umiał po turecku. Zacząłem się więc szczerze przykładać do nauki tego języka, i wkrótce nauczyłem się kilkudziesiąt wyrazów w mowie potocznej najużywanych. Podobało się to nadzwyczaj mojemu panu, zostałem jego przybocznym masztalerzem, i w tym charakterze towarzyszyłem mu w pielgrzymce, którą w tymże roku do Mekki odbywał. W Stambule połączyliśmy się z kilkuset pieszemi pielgrzymami i przeprawiliśmy się morzem do Smyrny, z kąd cały orszak znanym sobie traktem udał się do Arabii. Widok nowych okolic, innego poniekąd nieba, tak zajął moją uwagę i całą wyobraźnię, iż zapomniałem że jako niewolnik wędruję. Cokolwiek w szkołach przy nauce dziejów zastanowiło moją uwagę, cokolwiek w opisach starożytnej geografii uderzyło umysł, to pragnąłem sprawdzić na miejscu, wywołać z łona przeszłości. Śledziłem okiem niecierpliwem miejsca sławy i tryumfów Aleksandra Wielkiego, szukałem miejsc, na których krwawym bojem ścierali się jego wodzowie, by z rozszarpanej w ka-

walki zdobyczy część jaką otrzymać; upatrywałem owych zamożnych miast, które nieraz nęciły chciwość rzymskich pogromców świata. Nieszczęściem imaginacya moja na najpiękniejszych spoczywając krajobrazach, czeze tylko roila domysły położenia różnych miast, których najmniejszego śladu nie było. Znikła tu aż do ostatnich szczątków starożytnej Grecyi cywilizacya, a miejsce jej zajęła w ogóle nędza i nieokrzesany tu i owdzie, acz wymyślny zbytek.

Trzeciego dnia po opuszczeniu Smyrny, napotkaliśmy ogromną karawanę z kilkuset wielbłądów złożoną, do której przyłączyliśmy się, tworząc jej niejako wojenną zastłonę. Były tam i wielbłądy pana mojego, które inną drogą wyprawił, naładowawszy na nie dary dla świątyni przeznaczone i zapasy do podróży niezbędne. — Dlaczegoż ten pan, odczwał się Boles, mając tyle koni, nie założył ich do wielkiej bryki, na którą mógłby bardzo wiele naładować? — Dlatego że trzeba przebywać pustynie i stepy piaszczyste; konie luzem idąc niezawsze je szczęśliwie przebyć potrafią, a o prowadzeniu bryk ani myśleć nie można. Wielbłąd mój bracie,

jest darem niebios, prawdziwem dla tamtych stron dobrodziejstwem, którego usługi ani koń, ani żadne inne zwierzę zastąpić nie może. -- Jakto dobrze, zawołał uradowany Boleś, że braciszek widział wielbłąda w jego własnym kraju, bo myśmy już nieraz o tém zwierzęciu różne rzeczy słyszeli i czytali, a dokładnie o niem nie wiemy; niech nam braciszek co o niem powie. — Bardzo chętnie, odpowiedział porucznik, zaspokoję waszą ciekawość, lecz tylko o tyle, o ile sam nad temi zwierzętami zastanowić się mogłem.

W tych stronach Azyi i Afryki, w których stepy żarem słonecznym rozpaloną przestrzeń, parę set mil rozległą, mialkiego i ruchomego piasku tu i owdzie zajmują, gdzie prócz ostu i kolczystych krzewów nie znajdzie wędrownik cienia pod którym mógłby odetchnąć na chwilę, ani kropli wody którąby spieczone zwilżył usta; tam zniknęłoby wszelkie między ludźmi połączenie, gdyby Opatrzność nie utworzyła była umyślnie zwierzęcia, które bez wielkiej przykrości tę niegościnną ziemię przebywa, i przebycie jej człowiekowi ułatwia. Wielbłąd, ten okręt, jak go zowią, arab-

skich i afrykańskich mórz piaszczystych, odebrał z rąk Twórcy budowę ciała wewnętrzną i zewnętrzną do swojego przeznaczenia dziwnie zastosowaną. Nogi długie i cienkie w powolnym, lecz dość szerokim kroku, unoszą go szybko z tych miejsc zabójczych; podeszwy zaś stóp jego dość miękkie a przytęm płaskie, przedzielone są od kości sprężystą tkaniną, przez co po rozpalonym i usuwającym się pod nogami piasku bez utrudzenia i przykrości postępować może. Szyja wysmukła i długa pozwala mu w postępie chwycić gałązki poziomego janowcu i wznioślejszj akacyi nie wstrzymując bynajmniej pochodu. Nozdrza dowolnie otwierać i zamykać może, aby według potrzeby świeże wciągać powietrze, lub od wzniesionych wichrem tumanów kurzu zabezpieczyć się. Nie dba o soczyste trawy, i zioła, owszem najmilszym jego pokarmem są osty, gałązki i liście krzewów jakie natura po pustyni gdzieś niegdzie skąpą ręką rozrzuciła, a i tych niewiele potrzebuje, długo nadzwyczaj głód wytrzymać zdolny, równie jak i pragnienie. Do tego dziwnie dogodny ma żołądek. Jest to zwierz odżuwający, jak wół lub owca; podobnie więc jak one ma żołądek na cztery



części podzielony, lecz przeznaczony do przebywania bezwodnych okolic, odebrał jeszcze w przydatku piątą część do zachowania zapasów wody, na przypadek potrzeby. Raz więc dostawszy się do wody, tyle jej zarazem polyka do tego żołądka, iż mu na dziesięć a nawet i dwanaście dni wystarczyć może. W tym worku woda czysta z żadnym zwierzęcym sokiem niezmieszana przechowuje się, tak iż wędrowcy do ostateczności przywiedzeni, zabijają wielbłąda i wydobytą wodą pragnienie gaszą. Tak szacownego zwierzęcia Arabowie liczne trzody hodują, bo prócz dogodności w wędrowkach, jeszcze nadto różne z niego ciągną korzyści. Mlekiem i mięsem jego się żywią, z wełny różne wyrabiają materye, nawet dosyć delikatne, skór na pokrycie juków podróżnych używają. Wielbłąd do pociągu wcale niezdatny, ciężary na grzbiecie dźwiga, co jest także wielką w tych stronach dogodnością, zwłaszcza że dobry wielbłąd do dwunastu centnarów udźwignie i jeszcze ośm mil na dzień bez wielkiego utrudzenia ujdzie; bez ciężaru zaś, jednego tylko jeźdźca unosząc na grzbiecie, dwadzieścia mil na dobę ubiega. Na nim to najezdniczy pustyń arabskich równie

szybko napadają karawanę, jak z zabraną zdobyczą uchodzą, tak że ognisty rumak arabski ani uciec przed ścigającym, ani uciekającego doścignąć nie potrafi. Pięknyżto widok patrzeć na karawanę niekiedy przeszło tysiąc wielbłądów liczącą, sznurem blisko na milę ciągnącym się postępującą; a piękniejszy jeszcze, gdy przewodnik karawany obrawszy miejsce wypoczynku zatrzymuje się: wszystkie wielbłądy zbierają się na to koczowisko, przyklękają, czekając cierpliwie póki ich od juków nie uwolni przewodnik, poczem wesoło nędznego szukają pożywienia, lub je z rąk człowieka odbierają. Ta sama scena ponawia się gdy karawana rzucając koczowisko w dalszą zabiera się drogę: wielbłąd do przyjęcia swego brzemienia spokojnie przyklęka, wesoło się podnosi i swoją kolejną bez żadnego przymusu postępuje. Ma wszakże i on swoje narowy: ciężaru zbyt wielkiego nie ruszy; znużony bardzo bicza wcale nie słucha, i owszem uporniejszy się robi, śpiew tylko lub muzyka do ostatniego wytężenia sił zachęcić go zdoła.

Takichto stworzeń nasza karawana liczyła blisko ośmset, i stu jeźdźców uzbro-

jonych na dzielnych tureckich i arabskich rumakach, do których mój pan, dowódzca całej karawany i mnie policzył. Niedługo zbliżyliśmy się do pustyni; trzeba więc było na ostatnim stanowisku uzupełnić zapasy żywności i napoju, poczem ruszyliśmy na pustynią. Wystawcie sobie okiem nieścignione przestwory piasku; niebo jakby gazą pokryte, przez którą prosto nad głowami wzniesione, jaskrawe słońce niszczący ogień rzuca na piaski, które aż do głębi wrzecz się zdają; żarem oddychasz, żar w siebie wciągasz. Niknie wzrok w przestworze, nigdzie najmniejszej nadziei ochłody nie dościgając. W dzień upał, w nocy parno; i najodważniejszych nieraz odstępują nadzieje, sam tylko wielbłąd spokojny i wśród znużenia szczęśliwym się zdaje. Dwa dni podróży naszej w tej pustyni dość pomyślne były, lecz trzeciego dnia nad wieczorem tuman kurzu opodal z prawej strony wznoszący się był hasłem powszechnej trwogi: szybko ściągnęła się cała karawana, mój pan wydał stosowne rozkazy, a ja miałem szczęście zająć miejsce jego adjutanta. Dzięki trwodze i posłuszeństwu muzułmanów, w jednej chwili byliśmy gotowi do obrony. Tymczasem

umilkło wszystko, tuman zniknął i my spokojnie rozłożyliśmy nasz obóz; jednakże mój pan baczny na wszelki przypadek, zapewne dobrze świadom zwyczajów arabskich rozbójników, porozstawiał strażę, sam czuwał i mnie raz wraz do posterunków wysyłał. Okazało się niedługo, że troskliwość jego nie była próżną; zaledwie bowiem pierwszy brzask jutrzeńki sam kraniec horyzontu krwawym blaskiem rozjaśniać począł, gdy z wrzaskiem niesłychanym uderzyła na nas banda koczujących Beduinów, nadzieją bogatej zdobyczy ożywiona. Zerwaliśmy się natychmiast, kilka kul świsnęło koło uszu i wnet starły się dzidy i szczyknęły szable. Mój pan był najpierwszy w boju i napotkał przywódcę Arabów; lecz chybiło cięcie jego, i sam ciężką odebrał ranę. Tuż przy boju jego będąc, tryumfującego Araba wystrzałem z pistoletu powaliłem na ziemię, krzyknąłem silnym głosem na swoich, dając znać, że dowódzca bandy już nie żyje; obudziłem odwagę w naszych, a rzuciłem popłoch w tłum przeciwników. Odparliśmy szczęśliwie napaść i zdobyli przeszło czterdzieści dzielnych koni nieodłącznych towarzyszy synów pustyni. — Jak tylko nie-

bezpieczeństwo minęło, pobiegłem nieść pomoc mojemu panu: rana była wprawdzie wielka, lecz nie zagrażała niebezpieczeństwem, bylebyśmy się mogli jak najprędzej wydobyć z pustyni i uniknąć żaru, zgubnego dla zdrowych, zabójczego dla rannych. Nie poświęcałem się nigdy chirurgii, przecież przez prosty rozsądek umiałem się lepiej obejść z raną mojego baszy, jak wyuczeni lekarze karawany. Zwolna pan mój przychodził do zdrowia, i nim zbliżyliśmy się do Mekki, już on zupełnie odzyskał siły. Mężtwo moje i zręczne rozporządzenia zjednały mi przychyłość całej karawany, tak dalece, iż od momentu napaści, w czasie słabości baszy nikomu ulegać nie chciano tylko mnie. Darowano mi konia i broń po zabitym dowódcy Beduinów, a pan mój zdanie karawany potwierdził. Stanąwszy w Mekce po odbytych obrzędem muzulmańskim ceremoniach, do których mnie, jako niewiernego, z żalem wielkim nie przypuszczano, zabieraliśmy się do powrotu. Szczęśliwato była chwila dla mnie, bo wszelkie widoki, najciekawsze osobliwości, stłumić nie mogły we mnie tęsknoty do swoich; pragnąłem gorąco lotem błyskawicy stanąć w Adrya-

nopoku, i albo u baszy, w nagrodę ocalonego życia wyprosić wolność, albo losy moje powierzyć zdobytemu rumakowi, ile że już dość wprawnie po turecku umiałem.

Nadeszła chwila powrotu, ruszyliśmy z Mekki, radość malowała się na twarzach pobożnych muzułmanów, wzniecona przekonaniem dopełnionego obowiązku religijnego; mojej radości inne było źródło, lecz stopień nie mniejszy. Stanęliśmy na nocleg w wygodnym karawanseraju; uwolnione od ciężaru wielbłądy pasły się spokojnie, ludność do obszernej zebrała się izby, my z panem osobny zajęliśmy pokoić. Usiadł basza na rozpostartym dywanie, i założywszy na krzyż nogi, okrył się kłębami dymu z podanej mu przez niewolnika fajki; milczący siedział niejaka chwilę, jak gdyby wielką jaką myśl ważył w swój głowie. Wtém nagle się podnosi, oddaje czujnemu niewolnikowi fajkę, bierze mnie za rękę i wiedzie z sobą do sali ogólnego zebrania pielgrzymów. Zerwała się cała tłuszcza i ukłonem poszanowania przyjęła namiestnika sultańskiego. Na jego skinienie głęboka nastąpiła cisza, wszyscy z pochylonem czołem czekali na jego wyrok, on zaś w te odezwał się słowa: „Abdallah,

tak mnie nazywano u Turków, ocalił od zguby karawanę, trupem położył naczelnika rozbójników, mnie przywrócił życie; wszyscy winniśmy mu wdzięczność, wielki nasz prorok ją nakazuje; ja wypełniając wolę jego, Abdallę wyzwalam, i drugim go po sobie dowódcą mianuję, póki na bezpiecznem nie staniemy miejscu.” „Wielki jest Allah, krzyknęła cała zgraja, sprawiedliwie postąpiłeś!” — Nie potrafię wam opisać, jaka radość opanowała moją duszę w tej chwili; co się ze mną stało dalej, nie wiem, bom równy obląkanemu ścisnął jednego za drugim i dopiero w chwili wyruszenia karawany przyszedłem niejako do siebie. Szczęśliwie przybyliśmy do Smyrny, gdzie korzystając z nadanej mi wolności, rozstałem się z moim baszą, hojnie przez niego na drogę udarowany; po rozrzucającem pożegnaniu wsiałem na okręt francuzki i wylądowałem w Marsylii. Nie bawiły mnie widoki tego miasta; martwym był dla mnie ruch ogromnego handlu, massa okrętów przybywających i odpływających nie robiła na mnie żadnego wrażenia; jedna myśl mnie tylko zajmowała, aby jak najprędzej rodziną powitać zagrodę. Puściłem się przez Lugun i Strasburg.

Póki starczyło zasobów, droga szła wybor-  
nie; chętnie mi usługiwano w każdym domu  
zajezdnym, lecz gdy powoli zmniejszał się  
mój woreczek, stygła grzeczność, zmniej-  
szała się gościnność cheiwych zysku kar-  
czmarzy. W końcu u wieśniaków szukać  
trzeba było schronienia i przytulku na noc,  
a kiedy zmokły nieraz, przeziębły, dostałem  
na nocleg suchej pęczek słomy, uważałem  
to sobie za największe dobrodziejstwo.  
Wyczerpały się moje zasoby, wyprzedalo  
się z tłómczka drogie nawet upominki,  
a jednakże w końcu trzeba było cały tydzień  
na suchym kawałku chleba przestawać.  
Przecież dostałem się w granice nasze;  
biegnę do pierwszego dworu, wzywam go-  
ścinności; obejrzano moje papiery, i lokaj  
zwracając mi wszystko, przyniósł mi bułkę  
i kieliszek wódki, z oświadczeniem że  
państwo na bal się wybierają, a zatem za-  
łują, że mnie przyjąć nie mogą. Trzeba  
przecież gdzieś nocować; w późnej je-  
sieni trudno pod drzewem szukać przytul-  
ku: pukam do pierwszej chałupy wieśnia-  
ka, zastaję nędzę, lecz szczerę przyjęcie.  
Odtąd od wieśniaczęj zagrody, do zagrody  
zdażając, szczęśliwie dostałem się do was:





### XIII.

## OGRÓDEK.



Jakżeto piękny ogródek, zawołał z uniesieniem Tadeuszek, idąc z rodzicami na spacer ulicą Łucką w Warszawie. — Ale jak porządnie poubierani ogrodnicy! dodała Wandzia; oto tam jeden coś sadi, drugi niedaleko niego drzewko przywiązuje, a za niemi jakaś wystrojona ogrodniczka grabiami grządki równa. — Wejźmy tam Mamo! zawołał Tadeuszek; o dobrze, wejźmy Mamo! odezwał się Hipolitek, przypatrzemy się jak tam wszystko porządnie: konewka do polewania zielono malowana, domek ładny i szklarnia jest przy nim: — Prawda; i jak w niej czysto, okna pomyte,





mówiła Wandzia. Ojciec! przypatrzymy się wszystkiemu; tam muszą mieć i kwiatki piękne, możebyśmy co kupili. — Któżby za nami poniósł? zapytała się Matka. — Jeżeli małe doniczki, samibyśmy zabrali i do domu zanieśli, odpowiedział Tadeuszek, a jeżeli większe, jabym zawołał dorożki. — Kupić kwiatów łatwo, rzekł ojciec, wziąć je do domu także nietrudno; lecz wchodzić do ogrodu w tak licznem towarzystwie niebardzo przystoi, jestto bowiem ogród prywatny, brama do niego z przypadku tylko otwarta. Znam ja wprawdzie dobrze właścicieli tego ogrodu, lecz dlatego samego nie chciałbym robić im przykrości. — Gdy tak cała familia stojąc w bramie ogrodu, przypatrywała się jego urządzeniu, jeden z pracujących spostrzegłszy ją, przystąpił i z uprzejmością do wejścia zaprosił, zamknąwszy bramę za wchodzącymi. Oprowaodził dzieci po całym ogródku, pokazał im wszystkie rośliny piękniejsze, ułożył piękny bukiet z kwiatów, ofiarował Wandzi, i oświadczył, że zakupione doniczki kwiatów odnieść sam każe.

Uszczęśliwione dzieci uprzejmością przewodnika, a więcej jeszcze widokiem rozlicznych kwiatów i roślin w gustowne klom-

by i piękne kwatery ułożonych, wyszedłszy z ogrodu zarzucały ojcu pytania o rośliny, które im się bardziej podobały. „Jakato szkoda rzekła Wandzia, że tyle i tak pięknych jest krzaków georgin, a żadnego na nich niema kwiatu; ale natomiast co za ładne hortensye, a osobliwie też gatunek z błękitnymi kwiatami, to muszą być bardzo drogie, ja przynajmniej pierwszy raz taką hortensyą widziałam. — Hortensya z kwiatem błękitnym, rzekł ojciec, nie jest osobnym gatunkiem tej rośliny, której u nas cztery tylko odmiany w ogrodach pielęgnowają: 1) krzewna, 2) biała, 3) dębowo-listna, 4) kalinowo-listna. Pierwsza odmiana ma kwiat biały; druga z wierzchu ciemnozielony, zpod spodu śnieżno-biały; trzecia z początku zielony, później biały; czwarty nareszcie kwiat naprzód jest purpurowo-czerwony, następnie fioletowy, w końcu brudno-biały, a niekiedy jaskrawo-czerwony. Ta ostatnia odmiana, po naszych ogrodach najpospolitsza, zowie się różą japońską. Hortensya z kwiatem błękitnym nader trudna jest do wypielęgnowania, kolor jej zależy od ziemi żelezistej; ogrodnicy mają różne sposoby przyrządzenia takiej ziemi, lecz niezawsze im się udaje.

— Dlaczego hortensye zawsze w wazonach tylko sadzą? zapytała się Wandzia. — Ponieważ zimy naszej nie wytrzymują, odpowiedział ojciec. W Japonii i w Ameryce rośnie w gruncie pod gołym niebem, w okolicach gdzie jest cieplej jak u nas; ztamtąd do nas sprowadzone, w samym końcu przeszłego stulecia, muszą się na zimę kryć w szklarniach, lub w niezbyt ogrzewanych pokojach. — Czyto prawda ojczu, odezwał się Tadeuszek, że hortensya przynosi nieszczęście temu kto ją u siebie w domu utrzymuje? — Cóżby moje dziecię, rzekł ojciec, mógł mieć za związek kwiat z nieszczęściem? W istocie jednak jest takie mniemanie; zkądby ono poszło nie wiem, zdaje się wszakże iż temu przesądowi przypisać należy małe zajęcie się hodowaniem tak pięknego kwiatu. Ogrodnikom przynosi on szczęście, bo nieźle im płacą za dobrze wypielegnowany krzew.

— To zapewne i georginy u nas dawniej nie rosły, rzekła Wandzia. — Georginy dopiero w początku bieżącego stulecia sprowadzono z Meksyku do Francyi, odpowiedział ojciec, a ztamtąd dostały się i do nas. Dziwiło cię że krzewy georgin, któreś w ogródku widziała, nie mają jeszcze kwia-

tów; zapomniałaś widzieć o tem, że nie wszystkie rośliny o jednymże czasie kwitną. Niektórych kwiat pojawia się zaraz po stopieniu śniegów, jak niektórych gatunków anemonów; inne kwitną w maju, wielka część wydaje kwiat w czerwcu i lipcu, georginie zaś w jesieni. Ogrodnicy trzymając je w cieplarniach, na wiosnę doprowadzają do tego, że im kwitną już ku końcowi sierpnia. Jestto piękny, i z wielu miar osobliwy kwiat. Zagraniczni ogrodnicy chęcią zysku powodowani, dla obudzenia żądy lubowników kwiatów liczą już sto odmian georgin, lecz różnice tych odmian są tak małe, iż wprawione nawet oko ledwie ich dostrzedz potrafi. Zależą one naprzód, na wysokości i kolorze łodygi; powtóre, na wielkości, kolorze i wycinaniu liści; potrzecie, na wielkości, kolorze, kształcie kwiatu. Same jednak najwybitniejsze różnice pod temi trzema względami uważając, można trzydzieści odmian naliczyć. Są one koloru białego, żółtego, różowego, czerwonego, z różnemi odmianami; są z kwiatem pojedynczym i pełnym, i te ostatnie szczególnie pielegnują. Nasienne jednak tylko pojedyncze kwiaty wydają, a mają tę osobliwość, że z nasienia kwiatów jakiegobądź



koloru wyradzają się inne kolory i tymto sposobem namnożyło się tyle odmian. <sup>10</sup>/<sub>4</sub>

— Jak będą kwitły georginy, rzekł Hipolitek, wtedy przyjdziemy tu dla przypatrzenia się im; ten ogrodniczek taki grzeczny, on nam pokaze wszystkie odmiany, a musi ich mieć bardzo wiele, bo takie mnóstwo jest krzewów. — A jak zastaniemy samego ogrodnika, odczwał się Tadeuszek, to może mu nie pozwoli, bo ja pamiętam jak nas jeden ogrodnik bardzo niegrzecznie wyłajał, choć tylko zdaleka przypatrywaliśmy się. — Nie troszczcie się o to, przerwał mu ojciec, ten was zapewne bez powodu nie wyłaje, a innego ogrodnika w tym ogródku niema; jest on własnością matki tych dwóch młodych ludzi, którychście widzieli, a ta panna co za naszym zbliżeniem się odeszła, jest ich siostrą. — Ah! jakto przyjemnie! oni sami w ogrodzie pracują, rzekła Wandzia, i muszą się dobrze znać, kiedy tyle mają roślin i tak czysto i porządnie ogród utrzymują. — Bez wątpienia że się znają, mówił ojciec, sama potrzeba ich tego nauczyła. Ten ogródek, moje dzieci, przedstawia obraz dziwniej skromności, przywodząc na pamięć zbytki i niepohamowaną dumę. — Jakim

sposobem? zapytał się Tadeuszek. — Skoro wrócimy do domu, rzekł ojciec, opowiem wam historią posiadaczów tego ogródka, w której ujrzycie, że częsłokroć to za czem się namiętnie uganiamy, zamiast spodziewanego szczęścia, same zgryzoty nam sprówadza.”

Zajęte rozmową dzieci zbliżyły się do rogatek Wolskich, gdy wtém mały Hipolitek nagle się cofnął z niejaką obawą i mocno ujął ojca za rękę, odzywając się stłumionym głosem: o to tam murzyn idzie! — Cóżto, rzekł ojciec, murzyna nie znasz, że się go boisz? — Boję się, odpowiedział Hipolitek, gdyż kilka dni temu, patrząc przez okno, widziałem jak ten sam murzyn przechodząc ulicą, pochwycił za rękę chłopczyka małego, który spokojnie o kilka kroków za nim postępował, i mimo płaczu i opierania się tego biednego, gdzieś go szybko prowadził. — Ojciec mu na to: „Z okna drugiego piętra mogłeś widzieć wszystko, aleś nie słyszał; zdaje się, że chłopczyk ów idąc za murzynem musiał go drażnić, jak zwykle robią uliczne chłopcy; to znudziło murzyna, wziął go za rękę aby nastraszyć a może też do policyi oddać, i w tém niema nic złego. Nadto ja

znam tego murzyna, to człowiek spokojny i dobry, nikomu w drogę nie wejdzie, owszem stara się chętnie usłużyć w czem może. — Szkoda że on czarny, kiedy taki dobry, mówiła Wandzia. — Moje dziecię, rzekł jej ojciec, dobroć człowieka nie od koloru ciała zależy, ale od wewnętrznego usposobienia i wychowania. Pięćdziesiąt lat temu wielu było takich, co sądzili że murzyni są niższym gatunkiem ludzi, i dlatego obchodzili się z nimi jak ze zwierzętami: kupowali ich, przedawali, zamieniali, i teraz jeszcze są kraje, w których tego haniebnego i zbrodniczego przesądu pozbyć się nie chcą, mimo usiłowanie ludzi cnotliwych i możnych, wspartych potęgą i spółdziałaniem niektórych rządów europejskich. Tymczasem na wyspie Świętego Dominika, inaczéj Haity zwanéj, murzyni już blisko od czterdziestu lat tworzą naród udzielny, według własnych praw rządzący się. Mają ministrów, generałów, i całe wojsko z samych czarnych złożone i kraj ich niczém się nie różni od krajów w których sami biali mieszkają. Tak między murzynami jak i Europejczykami są zli i dobrzy, cnotliwi i występni, pracowici i próżniaki. W tej chwili przypomina

mi się pocieszne zdarzenie, które zajmowało całą Warszawę, jeszcze wówczas, kiedy byłem małym chłopcem.

„Wojewodzie B... w czasie swoich podróży za granicą, kupił w Lizbonie murzyna i przywiózł go z sobą do Warszawy; paradował z nim po wszystkich ulicach, wabiąc ciekawych próżniaków. Nie byłato wprawdzie nowość podówczas, owszem, należało do mody mieć murzyna za powozem, lecz zawsze było znak zamożnego i wiele znaczącego pana, dlatego i nasze wiejskie chłopaki, byleby jakotako z twarzy do murzyna podobni, musieli grać rolę murzynów; z poczernioną twarzą i rękami, i postrojeni dziwacznie stali za powozem pana starosty, szambelana, podkomorzego, a nawet i wojskiego powiatowego. Póki wojewoda B... żył, syn jego nieźle odgrywał rolę pana: roje młodzieży snuły się koło niego, huczne dzień za dniem były zabawy; funduszków nie brakło, bo albo ojciec w widokach bogatego ożenienia dostarczał pieniędzy na szumne życie, albo przeczorni spekulanci w widokach przyszłego dziedzictwa pożyczali sumki w dwójnasób do rewersów zapisane. Po śmierci wojewody upadły intratne starostwa, wierzy-

ciele z rewersami i kwitkami tłumnie się zebrali, z całego państwa został tylko mały folwarczek; trzeba było rozprządz angielskie cugi, rozpuścić na świat arabskie wierzchowce, pożegnać się z niepotrzebną czeredą służalców. Z karety przesiadł się wojewodzie do bryczki, murzyn źle odbijał przy fornalce, i temu więc dał odprawę. Niemłodo kupiony podstarzał się znacznie biedny murzyn; do żadnej roboty niewprawny, nie mógł sobie znaleźć miejsca tak swobodnego jak miał niegdyś u wojewodzica; chodził od domu do domu a wszędzie go z niczém odprawiano. Nareszcie wojewodzie pożegnał Warszawę, murzyn został na bruku, nikt go nawet na noc przyjąć nie chciał. Późno już wieczór przybywa do kupca S... na starém mieście prosząc by mu u stróża domu przespać się pozwolono. Kupiec, człowiek litościwy, wchodząc w stan nieszczęśliwego murzyna, kazał mu dać posiłek i pozwolił mu nocować w pokoiku na pierwszém piętrze, z którego dniem pierwszym wyprowadził się lokator, a następcą jego dopiero za parę dni miał zająć to pomieszkanie. Na témże piętrze od podwórza miał kupiec skład kosztowniejszych towarów, kasę swoją i pokój sypialny. Mu-

rzyn posiliwszy się wszedł do wskazanego sobie pokoju, i padłszy na kolana, dziękował Bogu że mu pozwolił znaleźć dobroczyńcę, i prosił o łaskę i błogosławieństwo dla niego. Minęła północ, głucha cisza załęgła ulice Warszawy, wszyscy w śnie głębokim pogrążeni; źli tylko ludzie czuwali na cudze dobra. Dwaj złoczyńcy wiedząc zapewne że pokoiik od strony rynku opróżniony, a nadto spodziewając się, że w składzie kupca bogaty połów znajdują, po przystawionej do okna drabince wdarli się na górę, okno wystawili i już drzwi pokoju do sieni prowadzące otworzyli zabierając się śmiało do wyłamania żelaznych drzwi od składu. Wtém przebudza się murzyn, spostrzega światło latarni w sieni i okno wysadzone, zrywa się z posłania, przeraźliwym głosem krzyczy: kto tu? Złoczyńcy zwróciwszy oczy na murzyna, przerażeni tym widokiem, mniemając że zły duch przed nimi staje, puszczają z rąk wszystko, uciekają do okna którym weszli, lecz ze strachu chybiają drabki i obadwa padłszy na bruk tak się kaleczą, iż dalej ujsć nie mogą. Wrzawa ta przebudziła kupca i czeladź domową, pospieszyli wszyscy na górę i za skazówką murzyna obudwóch zło-

czyńców przytrzymali, i nazajutrz w ręce sprawiedliwości oddali. Kupiec zawdzięczając przysługę murzyna, rzekł mu: „Ponieważ ocaliłeś mój majątek, a może i życie, dziel się więc ze mną tym kawałkiem chleba któryś dla mnie uratował, i zostań w domu moim dopóki nam Pan Bóg życia dozwoli.” Tak więc moje dzieci, dziwnem rządzeniem Opatrzności, poczciwy murzyn został narzędziem nagrody dobroczynności kupca, a kupiec wzajemnie został opiekunem cnotliwego murzyna.

Za powrotem do domu, choć dzieci znużone były długą przechadzką, choć ich bawiło, że złoczyńcy murzyna uważali za złego ducha, i różne z tego powodu robiły uwagi i żarciki, przecież po krótkim odpoczynku przypomniały ojcu obietnicę opowiedzenia historyi właścicieli ogródka. Zaspakajając ich ciekawość ojciec tak rzecz swoją rozpoczął:

„W Kujawach, niedaleko Włocławka, mieszkał niejaki Doliwa, dziedzic małego folwarku, którego nazwiska nie pamiętam. Miał on dwóch synów i trzy córki, którym stosownie do możności starał się dać wychowanie. Synów odesłał do słynnej podówczas szkoły księży Reformatów w Pa-

kości, córki zaś uczyły się w domu. Były wtedy czasy wojenne, ciągle same bitwy obijały się o uszy młodzieży, odgłos sławy niejednego imienia dochodził aż do Pakości, i podżegał wrzące umysły. Starszy Doliwa sądząc że samo imię Augusta, jakie mu na chrzcie świętym dano, wielkich przeznaczeń jest wróżbą, doszedłszy do retoryki, to jest najwyższej klasy w ówczesowych szkołach, postanowił zaciągnąć się do wojska, pewny świetnego losu. Nie przeszkadzał życzeniom ojciec, oporządziwszy jak mógł, dał swoje błogosławieństwo. Silny, dorodny, a nadewszystko śmiały młodzieniec, wnet zyskał względy starszyzny; popisawszy się w kilku utarczkach został kapralem, a w krótcie potem nadliczbowym chorążym. Tak szczęśliwy początek zawrócił głowę młodemu Doliwie; wciąż tylko marzył o generalskiej szarfi. Tymczasem wojna się skończyła, a chorągiew, pod którą służył, zwinięto, i równie prostym żołnierzom jak oficerom dano odprawę. Ujrzawszy zawiedzione nadzieje, wrócił do domu rodzicielskiego, lecz ten zdał mu się zbyt szczupłym dla jego chorążowskiej godności. Szacunek, z jakim byli dla niego sąsiedzi, zamiast zaspokoić dumę



jego, t $\acute{e}$ m bardziej j $\acute{a}$  podzegał: uważał za nadto mały zakres w jakim imię jego z należytą pochwałą gło $\acute{z}$ szono, pragnął koniecznie, żeby Augusta Doliwę w całym świecie znano i wielbiono. Takimi myślami dręczony, pożegnał powtórnie rodziców, i jak niegdyś błędny rycerz puścił się w drogę szukając szczęśliwej przygody.

Włocławek był pierwsz $\acute{e}$ m miastem na drodze Augusta. Był on oddawna punktem s $\acute{r}$ odkowym handlu zbożowego żywnych Kujaw i zamożnej niegdyś ziemi Dobrzyńskiej. Tu okoliczni obywatele większe masy zboża na statki ładowali splawiając do Gdańska, mniejsze zaś zbywali obywatele faktorom toruńskich i gdańskich kupców; tu się odbywały układy o kupno, zamianę, dzierżawę dóbr i rozmaitych przedmiotów. August lekceważył rolnictwo, bo mu żadnej nie obiecywało sławy, gardził handlem uważając go za poniżające rzemiosło; i z tych powodów, nie byłby się zapewne zatrzymał w Włocławku, gdyby go był głód do tego nie znaglił. Stanął więc w domu zajezdnym, który zarazem miejsce giełdy, nie kupieckiej wprawdzie, lecz obywatelskiej zastępował, w której przecie $\acute{z}$  snuli się factorzy różnej barwy. W obszernej doś $\acute{c}$

izbie, obraz szynkowni wyższego tonu małych miast przedstawiającej, zastał kilka stolików zajętych przez okolicznych obywateli, którzy kończąc śniadanie dobijali targu. Krzyżowały się rozmaite głosy i oświadczenia, tak że August mimo najszerszej chęci nie rozumieć nie mógł; siadł więc spokojnie przy stoliku w kącie w bliskości dwóch panów żwawo rozprawiających; ostatnie wyrazy jednego z nich silnie wstrząsnęły umysłem Augusta: w zapale największym, kończąc zapewne swoje projekta nieznanym dobitnym mówił głosem: „Co wy tam świat poprawiać chcecie, próżne marzenia, pieniądze Mospanie, pieniądze nadają wartość człowiekowi, podwyższają jego znaczenie, roznoszą imię po świecie. Walcz na polu bitwy jak lew, miej więcej rozumu niż Krasicki i Naruszewicz razem, jeżeliś goły, nikt na ciebie nie spojrzy; a wsiądź tylko do angielskiej baszardy, sprząż piątkę dzielnych rumaków, nalicz sto tysięcy intraty, choćbyś był od stóp do głów tchórzem podszyty, choćby w głowie było ciemno jak w rogu, znajdziesz poctów co cię z Annibalem zrównają i pomiędzy siedmiu mędrców świata policzą: ponura Justyna, do której napró-

żno wzdychał Karpiński, ciebie uzna najdowcipniejszym człowiekiem, i pełnym złotego wdzięku osądzi. O! tak, Mospanie! jutro wyjeżdżam, i albo marnie zginę, albo wielkim człowiekiem do was powrócę.”

Z natężeniem słuchał August tych wyrazów; zapaliły one umysł jego, i w jednej chwili inny kierunek nadały zamiarom. W tej chwili podniósł się rozprawiający, a rzuciwszy okiem na ślady wojskowości w ubiorze Augusta, zbliżył się do niego z zapytaniem grzeczném, zkądby był i w jakich interesach tu bawi. Wnet porozumieli się obadwa, jednakowe uczucia zjednoczyły ich serca do spólnego zamiaru. August z nowym towarzyszem udał się na Ukrainę, i jako znawca przez niejaki czas pomagał mu w skupowaniu koni, przestając na małej korzyści jaką mu tenże naznaczał. Niedługo atoli zebrawszy niewielką sumkę, sam na własny rachunek począł handel prowadzić. Niczle mu się powodziło, kapitał szybko wzrastał, August posunął się dalej, dostał się do Bessarabii, ztamtąd w granice państwa Tureckiego, i piękną zebrawszy stadninę, bardzo dobrze ją spieniężył kupcom do Berdyczewa przybyłym.

Kilka takowych wycieczek w różne odleglejsze strony odbytych, a każde z coraz większym kapitałem, tak dalece pomnożyły fundusze Augusta, iż postanowił ostatecznie doświadczyć losu. Za cały i już bardzo znaczny kapitał zakupił koni i wołów, i w swoich stronach spieniężyć postanowił, a potem żyć swobodnie z darów fortuny umyślił. Jarmarki w Dubnie, w Łęcznej i Łowiczu nader korzystnie wypadły dla niego, potrojony prawie kapitał ujrzał w swojej szkatule. Zakupił więc piękne dobra w Kujawach, i szumne rozpoczął życie, jedynie w zamiarze zyskania sławy i wziętości. Nieszczęściem ukształcenie jego na retoryce szkół Pakoskich skończone, dalsze obcowanie w obozie, i nakoniec towarzystwo z prostemi roztrucharzami, nadało postępowaniu jego cechę jakiegoś nicokrzesania, którego nawet pozłota majątku pokryć nie mogła. Z tego powodu pierwszej doznał przeciwności, która go powinna była na lepszą drogę naprowadzić, lecz głęboko wkorzeniona zarozumiałość wytepiła w nim wszelkie szlachetniejsze uczucia. Zapragnął on wejść w związki małżeńskie z panną znakomitego rodu, a znakomitszego jeszcze ukształcenia i pięknych przymiotów

duży, lecz w zaślepieniu dumy nie taił się bynajmniej, że połączenie to uważa za szczęście dla panny dość skromny posąg mającej. Jakże się zdumiał usłyszawszy dość niegrzeczną odprawę, a tem bardziej gdy powziął wiadomość, że panna zaręczoną została z młodzieńcem, który pod względem majątku wcale równać się z nim nie mógł, ale co do ukształcenia o wiele go przewyższał. Rozgniewany tem lekceważeniem majątku swojego udał się do Warszawy i tam zawarł związku małżeńskie z niemajątną wprawdzie, lecz najpiękniejszych przymiotów panną.

Zycie warszawskie poętniejsze stało się dla niego od życia wiejskiego. Niebrakło mu nigdy towarzystwa, znalazł głodnych poetów, którzy za dobry obiad składali na cześć jego wiersze, historycy ród jego od stryjów Popiela wywiedli, zgoła znalazł sławę, której tak długo skrzętnie szukał. Dał mu Pan Bóg doczekać się dwóch synów i córki, urodzenia ich poeci obsypali szczęśliwemi wróżbami, a ojciec kontent, poetów obsypywał złotem. Rozsądna atoli i skromna małżonka przewidując koniec nienajlepszy, zaczęła się cofać od zgrai pochlebców i męża do skromniejszego życia zachę-

cać, zalecając pamięć na los dzieci. Lecz właśnie to było powodem do większej jeszcze rozrzutności: trzeba przecieżyć dzieciom drogę wziętości i sławy utorować, powtarzał pan Doliwa, i coraz nowe okazyje do zabaw wymyślał. Tymczasem wikłały się stosunki majątkowe, przez pięć lat nie powstał pan Doliwa w dobrach swoich. Kommissarz rozporządzał wszystkiem, i na każde zawołanie dostarczał pieniędzy nie składając rachunków. Na wszystko obojętna była żona Augusta, lecz ilekroć spojrziała na podrastające zwolna dzieci i tę zgraję pochlebców, która fałszywemi karmiła je pochwałami, tyle razy serce jej ścisnęło się na wspomnienie skażenia moralnego wśród jakiego wzrastać mieli; ciągle więc myślała o środkach zapobieżenia złemu. Przecież raz nastęrczyła się sposobna do tego pora. Pan Doliwa smutną od niejakiego czasu małżonkę chcąc rozweselić, i w nadchodzące imieniny przyjemność jej niespodzianą sprawić, postanowił wielką i świetną wyprawę ucztę w jakim ogródku, w stronie mniej ludnej miasta, aby mieć podobieństwo wsi, do której żona jego ciągle wzdychała. Marszałek dworu ten właśnie wybrał ogródek któryście widzieli; urzą-

dził go z przepychem, porozpinał piękne namioty, wybudował szybko domek ładny wraz ze szklarnią, którą najpiękniejszymi kwiatami napełnił, pozasadzał klomby, porobił aleje, trawniki, szpalery. Zgola, że w przeciągu czterech tygodni ogród jakby na rozkaz laski czarnoksiężkiej powstał, tak piękny, tak gustowny, że równego mu w Warszawie nie było. Prawda, że większa część drzew i krzewów w wilią uczty sadzonych, we trzy dni po uzcie uschła, lecz główne urządzenie ogrodu zostało, a miejsca próżne zwołna się potém w przyzwoitej porze zapełniły.

Nadszedł dzień imienin, towarzystwo sproszone udało się do oznaczonego ogródka. Pan Doliwa pod pozorem wyjazdu na wieś wsiadł z żoną do powozu i niespodzianie zawiózł ją na miejsce tak rozkoszne, w tém przekonaniu, iż ją teraz przynajmniej ukontentuje. Nie zawiódł się w swoim oczekiwaniu, żona jego spostrzegłszy tak piękny ogród, powzięła natychmiast myśl, jak jej się zdawało do wykonania nietrudną, i z tego powodu weselszą była jak zwykle. Radość pana Augusta nie znała granic, bawiono się przyjemnie noc całą i ledwie ze świtem rozjechali się

goście. Gdy już sami tylko zostali, wtedy odezwała się do męża pani Doliwa: „Auguste, nie chcesz jechać na wieś, mnie w mieście przykro i widzisz jak ciągle jestem cierpiącą; kup ten ogródek i pozwól mi w nim mieszkać z dziećmi i zająć się ich nauką, której już potrzebują, osobliwie chłopcy, a bądź pewny, że wśród tych zabaw, wśród ustawnej wrzawy niczego dobrego się nie nauczą.” Zamyślił się nieco pan Doliwa, lecz przystał na wniosek żony, wszedł z właścicielem w układy, zapłacił umówioną summę i pod tytułem posagu zabipotekował na imię żony.

Przeniosła się do nowego mieszkania pani Doliwa wraz z dziećmi, wyprosiwszy u męża warunek, iż żadnych uczt szumnych w ogródku jej dawać nie będzie. Z początku niewiele zważał pan August na kaprysy żony, jak mu się nazywać podobało jej rozsądne umiarkowanie, żył wesoło w dobranem ile mu się zdawało towarzystwie; lecz powoli w chwilach, w których sam sobie zostawiony, wolny od natręctwa próżniaczęj czeready, swobodniej mógł się nad sobą zastanowić i śmieliej zajrzeć w oczy tej sławie, której niebardzo głośna trąba tyle go kosztowała, ujrzał, że sposób życia jego



nie chwały, ale pośmiewiska godzien, uznał słusność rad swojej żony, postanowił iść drogą przez nią wskazaną — lecz już zapóźno. Przeniesienie się jego żony do świeżo kupionego ogródka, nie zrobiło wprawdzie żadnego wrażenia, lecz usunięcie się jej zupełnie od zabaw męża, oświadczenie jego, iż chce zwiedzić swoje dobra, sprawiło niejakię podejrzanie pomiędzy wierzycielami. Czemprędzej zaczęli układać rachunki, które tak przeraziły marszałka, iż eichaczem opuścił pałac pana Doliwy i znikł bez żadnego śladu. To znęgliło pana Augusta do przyspieszenia wyjazdu na wieś i rozpatrzenia się w stanie swojego gospodarstwa. Przedłożone przez kommissarza rachunki, zniweczyły wszelkie nadzieje, uleciała zprzed oczu jego sława, a natomiast obraz czekającej na niego hańby tak go przeraził, iż tknięty apopleksyą życia dokonał. Dłużnicy rozszarpali dobra, nie mogli jednak dosięgnąć ogródka. Pani Doliwa została spokojną jego właścicielką. Umiarkowana w żądzach swoich, rozsądna i gospodarna, wnet potrafiła zastosować się do smutnego położenia, w jakim się nagle, choć niezupełnie niespodziewanie ujrzała. Ogród zaopatrzony w najpiękniejsze rośliny, sta-

rannie pielęgnowany, dostarczył jej potrzebnych dochodów na przyzwoite wychowanie dzieci i skromne utrzymanie domu. Za pomnożeniem się liczby ogrodów zmniejszyły się wprawdzie jej dochody, lecz natomiast syn starszy ukończywszy z chwałą cały bieg nauk, uzyskał urząd, z niewielką wprawdzie płacą, lecz dostateczną na utrzymanie jednej osoby, co znaczną w ogólném gospodarstwie stanowi ulgę. Drugi syn kończy niedługo nauki i sprawowaniem się swoim, równie jak i pilnością wielkie rokuje nadzieje. Nadto obadwa w chwilach wolnych wyręczają matkę w dozorowaniu ogrodu, a nawet nie wstydzą się bynajmniej własnych do pracy przyłożyć rąk. Od niejakiego czasu tak się obeznali obadwa z ogrodnictwem, iż już prócz prostej roboty w ogrodzie, żadnej innej nie potrzebują pomocy. Tym sposobem skromne lecz swobodne prowadzą życie, i jeżeli kiedyś zasłyną, to zapewne nie opłacą swojej wziętości pieniędzmi, lecz ją sobie cnotami i nauką zjedną. Obadwa synowie znają dobrze usterki ojca swojego, a nikt jeszcze nie słyszał, aby mieli utyskiwać na utratę majątku przez jego nierozsądne marnotrawstwo; owszem corocznie w dzień jego

zgonu znajdują się na żałobnym nabożeństwie za duszę jego odprawianem i modlą się z najszczerzą bogobożnością. Zato też Pan Bóg widocznie błogosławi im we wszystkim, kwiaty i rośliny z ich ogrodu są najpiękniejsze i najwięcej poszukiwane, a znajomi i przyjaciele są dla nich pełnego szacunku i szczerego przywiązania, gdy tymczasem spółbiednicy ojca wraz z jego majątkiem nikczemnie zniknęli. Otóż matce, moje dzieci, przykład, co może praca ze skromnym żądz umiarkowaniem; a z drugiej strony, do czego przywodzi chęć znaczenia, nie na wewnętrznej wartości człowieka, lecz na fałszywej zbytku wystawie oparta.

## XIV.

### MASKARADA.



Już było po Trzech Królach, mróz zwolniał nieco, obfite śniegi wyborań usłały sanne. Moźniejsi panowie unikając nudów zimy na wsi, płacili haracz zabawom w Warszawie, mniej majątni nie opuszczali wiejskiej zagrody i w gronie zebranych sąsiadów mile przepędzali długie wieczory, zmieniając kolejno miejsce rozrywki. Nie wszędzie prawda wygodne i dość obszerne do zabaw było miejsce, o przepychu i okazałości nikt się nawet nie pytał, lecz zato szczerą uprzejmość gospodarstwa, niewymuszona a przyzwoita wesołość gości, przyjemniały chwile, tak dalece, że zwy-

kle wieczór każdy kończył się rannem śniadaniem. Już kilka takich zabaw minęło, z których weselsze nad inne były w wigilią Nowego Roku i przed świętem Trzech Królów; tu bowiem brzmiała już muzyka, a młodzież ohochoza niejednego wyskoczyła mazurka lub krakowiaka, gdy tymczasem przed Bożem Narodzeniem, starzy bawili się gawędką, młodzi zaś spokojnemi grammi, o tańcu ani wspomniano. W sąsiedzkiej kolei miejsce zebrania się wypadało u państwa Przyjemskich, którzy obszerniejszy dom mając, a razem chcąc korzystać z dość łagodnej pory, postanowili nową zabawą rozweselić swoich gości. Mieli oni dwóch synów i dwie córki w dzieciennym jeszcze wieku, a tём samem niepodzielających zabaw ogólnych, rodzice ich bowiem mieli, że czasu na nauki poświęconego nie godzi się marnować na rozrywki do wieku niestosowne. Zeby jednak nie obudzać zbyt chętki do owocu zakazanego, postanowili raz jeden do zabawy sąsiedzkiej dołączyć zabawkę dla dzieci: w tym celu zaprosili sąsiadów swoich do uczestnictwa w ich zamiarach. Dzieciom swoim oświadczyli państwo Przyjemscy, iż za parę dni zjedzie się do nich wiele ich rówieśników,

mają się więc przygotować do ich przyzwoitego rozweselenia, dodając iż dostaną wszystkiego czego w tym celu zażądata. Dzieci w radę: po długich sporach i po różnych projektach zgodziły się, iż postrojone w różne ubiory, zamaskowane przyjmować będą gości, i tym sposobem pierwszą im sprawią zabawkę: do podobnegoż przebrania się, postanowiły zaprosić dzieci bliższych sąsiadów, czego rodzice z chęcią dopełnili przesyłając własnoręczne ich listy w miejsca przez nich wskazane. ●

Wkrótce nadszedł dzień pożądany, mieszkanie zostało stosownie do zamierzonej zabawy urządzone: dwa pokoje dla dzieci, sala do tańca, reszta pokojów dla gości według ich upodobania. Skoro się zmierzchać poczęło, rozległ się brzęk dzwonek na drogach do dworu wiodących, sunęły się sanki jedne za drugimi, a zręczni stangreci pękając biczem, dawali znać o zbliżaniu się gości. Dzieci ledwie nie wyskoczyły z radości na wspomnienie zabawy jaką sobie obiecywały, najstarszy synek państwa Przyjemskich Juliś, przybrawszy strój chińskiego bonzy, stanął przed niszą różowemi firankami przystrojoną i w poważnej postawie miał przyjmować gości,

których młodszy brat, niby dworzanin jego miał wprowadzać. Zajechały pierwsze sanki, dworzanin w zielonym jedwabnym fraku, staroświeckim krojem, z upudrowaną peruką na głowie, z trójrogatym kapeluszem w rękę, w trzewiczkach i pończochach, wprowadził do pagody i nisko kłaniając się przedstawił bonzie małżeństwo świeżo znad Platy przybyłe. Żona w zawoju brylantami i strusiem pióry strojnym, w masce z potężnym nosem i przepyszny wachlarzem w rękę, dumnie naprzód jako pani domu postępowała, grzeczny jej małżonek w stroju hiszpańskim, wziął na twarz maskę pięknej papugi, i ręką potwierdzał uprzejme wyrazy swojej małżonki. Nie miał czasu odpowiedzieć bonza, bo w tej samej chwili wpadł postylion trąbiąc przeraźliwie, i wiodąc z sobą grenadyera w niedźwiedzim kolpaku z czerwonym piórem i dwie damy w szwajcarskim ubiorze. Za temi przybywały inne grupy dzieci w rozmaity sposób przestrojonych, to w ubiorach tyrolskich, to nakształt karpaccich górali, to po krakowsku i po kujawsku; była tam i para kurpików znad Narwi i druga podobna wieśniaków znad Wilii. Ten zbiór wesołych dzieci, strojem swoim

szczęśliwych, niemało ucieszył i starszych. Zaczęli się mieszać do zabawy wszyscy, dzieci choć w maskach wnet się popoznawały; porozrywały się pierwotne pary i grupy, krakowianka zaczęła się bawić z tyrolką, kurpik rozmawiał z górą-lem, a téj chwili jeden ze starszej młodzieży przebrał się za firanką i zajął miejsce Julisia ogłaszając iż każdemu użyczy o co go prosić będzie. Nie spostrzegły dzieci wybiegu, bo choć wielka była różnica co do wieku, mała jednak i na pierwszy rzut oka wcale nieznaczna co do wzrostu między Julisem, a nowym przebranym bonzą; dlatego z zupełnem zaufaniem przystąpił najbliższy chłopczyk i skłoniwszy się z uszanowaniem aż do ziemi, rzekł: **O!** wielki bonzo daj mi siłę nadzwyczajną. <sup>19</sup>

*Bonza* na to: Rozum góruje nad siłą: staraj się o jego udoskonalenie, a zyskasz to o co prosisz.

*Drugi chłopczyk.* Bonzo! chciałbym być jak najprędzej pociechą rodziców.

*Bonza.* Dobrém postępowaniem i teraz tego dokazać możesz.

*Trzeci chłopczyk.* Spraw abym był wielkim człowiekiem.



**Bonza.** Pytaj się o drogę do mądrości, ona cię doprowadzi dokąd żądasz.

Przystąpiła *dziewczynka* i rzekła: Szanowny Bonzo, proszę o długie życie rodziców moich.

**Bonza.** Staraj się być ich pociechą, a dni ich przedłużysz.

**Druga.** Chcę być bardzo uczoną.

**Bonza.** Lepiej staraj się być bardzo dobrą.

**Inna.** Zaczny Bonzo, uchroni mnie od złych języków.

**Bonza.** Czyń dobrze, unikaj złego, a nie troszcz się co ludzie mówią.

Zbliżył się znowu *chłopczyk*, i rzekł chciałbym być bardzo bogatym.

**Bonza.** Ucz się przestawać na tem co masz, a nie będziesz nigdy ubogim.

**Inny chłopczyk.** Co jest lepsze: majątek, czy nauka?

**Bonza.** I jedno i drugie jest zgubne bez bojaźni bożkiej.

**Dziewczynka.** Ja pragnę szczęścia.

**Bonza.** Idź drogą którą ci rozum wskaże, a serce poprowadzi.

Odpowiedzi Bonzy rozchodziły się szybko po sali i pokojach w których się starzy bawili, dzieci bowiem z radością biegły powtarzać je matkom swoim, które uderzone

dowcipem mniemanego Julisia, zazdrosnym okiem spoglądały na matkę jego. Pani Przyjemaska świadoma wybiegu, uśmiechała się na ten pewny rodzaj niewłaściwej, lecz wrodzonej matkom zazdrości. Doroslejsza młodzież zajęta tańcem nie zważała na nic, starzy jednak powoli zaczęli się schodzić do pokoju dzieci, gdy wtém Julis znudzony w swoim ukryciu nagle wyskoczył z niszy i całemu towarzystwu objawił tajemnicę podziwianego dowcipu. Wtedy młodzieniec grający rolę bonzy zrzucił swój ubiór, dzieci pozdejmowały maski, głośne aha! aha! rozległo się w małym towarzystwie, poczem rozpoczęły się gry i zabawy wiekowi odpowiednie, wszystko szło jak najweseliej. Długo, bardzo długo wieczór państwa Przyjemskich miłe wzbudzał wspomnienia: dzieci wśród zabaw swoich lubiły opowiadać sobie to co ich najwięcej uderzało, powtarzały sobie odpowiedzi bonzy i według swojego widzi mi się objaśniały; dziewczęta wyliczały szczegóły ubiorów szwajcarskich i tyrolskich, porównywały je z ubiorami krajowemi, przenosząc jedne nad drugie, stosownie do swojego gustu i nabytych wyobrażeń.

Nazajutrz dzieci państwa Przyjemskich wolne były od nauki, bo też niepodobna aby umysł ich po takiej rozrywce mógł się spokojnie zająć naukami, zwłaszcza że się nie obeszło bez znużenia wśród zabawy, w tak liczném gronie dzieci prawie aż do północy przeciągniętej. Bo choć starsi goście do białego dnia się bawili, dzieci jednak w swoich pokojach, lubo nie ze wszystkiém wygodnie, przecież bardzo przyjemnie zasypiały. Nadszedł wieczór cichością swoją dziwnie od wczorajszej wrzawy odbijający. Trzeszczał ogień rozłożony na kominku, a starzy i młodzi otoczywszy go dookoła, zjewając raz po raz przypatrywali się wijącym się płomieniom i jaskrawym kolorom żarzących się węgli. Nakoniec przerwała to powszechne milczenie Kamilka, pytając się matki, dlaczego to ludzie nie bawią się w lato? zdawało się jej bowiem, iżby daleko przyjemniejsze były rozrywki. Ciepło, powietrze przyjemne, kwiatów pełno, owoców: miłoby było i w ogrodzie się zabawić, nietylko w pokojach; a w zimie za drzwi się wychylić nie można, zaraz się trzeba otulać, i jeżeli gdzie dalej jechać trzeba, to aż strach żeby nie zmarznąć. — Moje dziecię, odpowiedziała jej

matka: ludzie się bawić mogą w każdej porze roku, i każda pora odpowiednią ma zabawę, lecz pamiętaj na to, że przeznaczeniem człowieka nie jest zabawa, lecz praca; po pracy miły jest odpoczynek i rozrywka. Ktoby się ustawicznie bawić chciał, bardzo prędkoby się znudził. Kiedy dobrze odbędziecie waszą lekcją, miło wam wieczór grać w ślepą babkę, w gąskę, lub inną rozerwać się zabawką, a w lato pobiegać po ogrodzie, zbierać kwiaty w gaju lub po łąkach; żeby zaś wam kto kazał od rana do wieczora, dzień za dniem biegać, lub grać w ślepą babkę, nie wiem czyby się wam to wnet nie sprzykrzyło. — O prawda, rzekła Kamilka, hobyśmy się i pomordowali. -- Teraz-że uważaj, dodała matka: na wiosnę ludzie zajęci są uprawą ogrodów i roli; zasiewają rozmaite rośliny do utrzymania życia potrzebne. W lato zbierają się z pól zboża; w jesieni sieją żyto i pszenicę, sprzątają z ogrodów, przysposabiają potrzebne zapasy na zimę. Takowe zatrudnienia, choć mozolne i utrudzające, mają przecież coś przyjemnego w sobie i miłą dla człowieka stanowią rozrywkę, zwłaszcza jeżeli Pan Bóg błogosławi jego zabiegom i pracy. Kiedy więc

zima nadejdzie, mróz ściśnie pola, ustają dla wieśniaka jego prace, spokojnie wtenczas używa tego, co z wiosny aż do jesieni przysposobił. Słuszna więc i przyzwoita rzecz, aby się wtedy ludzie zbliżali do siebie dla wspólnego użycia darów bożych, i kojarzyli węzły wzajemnej przychylności i pomocy, bo człowiek sam w sobie ostać się nie może, potrzebuje wsparcia towarzystwa; do łączenia się więc z towarzystwem konieczne go potrzeby zmagają. Zdaje mi się, że teraz pojdziesz przyczynę dla której ludzie więcej się zgromadzają na zabawy w zimie niż w lecie.” <sup>20</sup> ~~21~~

— Ja słyszałem, odezwał się Juliś, że dawniej weselej się bawili kuligiem; ciekawy jestem jakato zabawa! — Rzekł mu na to ojciec: Każdy wiek ma sobie właściwą cechę, która się od innych różni i która nawet się w zabawach objawia. Czy dawniej weselej się bawiono jak dziś, tego ci powiedzieć nie śmiem, zdaje mi się wszakże, iż podobno przed laty więcej otwartości i szczerzej gościnności było w zabawach; ale zato dziś mamy więcej gustu i więcej, choć może poniekąd trochę sztywniej uprzejmości. W tak różnym duchu

czasu trzeba szukać przyczyny zarzucenia kuligów, a przynajmniej w tej formie w jakiej były niegdyś. Pamiętam ja jeszcze te zabawy, ale już mało różniące się od dzisiejszych, dlatego wam opowiem ich tryb, jak powziąłem w mojej młodości od ludzi już wówczas sędziwych. Znakomitsi z młodzieży, znani w całej okolicy, zbierali się przed Bożem Narodzeniem, i w skutek wspólnej narady układali porządek zabawy i czas jej trwania po domach obywatelskich, mając na względzie mniejszą lub większą zamożność i inne dogodności. Poczém na pierwsze zaczęcie zapraszając kilka familij, posyłając człowieka z laską na wierzchu której była kula, i to podobno dało początek nazwie kuliga. Przesadzali się jeden nad drugiego w doborze koni, w gustowności barwy służących, w przystrojeniu sanek; i muzyka należała do tego, lecz niebardzo w niej przebierano. Kiedy już wszystko było przygotowane a droga sanna była po temu, wtedy starano się potajemnie, jakby od niechcienia ostrzedz dom do którego najpierw wstąpić zamierzano. Zaproszone towarzystwo, w umówionym dniu i miejscu zbierało się i razem, ruszało do miejsca na pierwszą zabawę obranego. Stara-

no się zawsze przybyć już zmrokiem przy świetle pochodni, z trzaskiem i hałasem cały orszak, z kilku lub kilkunastu sanek złożony, wpadał na dziedziniec, zajeżdżał przed dom; a réj wiodący młodzieniec ze swoją damą, wyskoczywszy z sanek wpadli do domu śpiewając: Hej! kulig! kulig! Jeżeli gospodarz domu odebrał jaką skazówkę, wychodził więc przygotowany na powitanie miłych mu gości; lecz choćby i to nie było, tedy o zbliżaniu się kuliga ostrzegał brzęk dzwonek, trzask biczów, tętent kilkudziesiąt koni, bo zwykle każde sanki w cztery konie były zaprzężone, i to jak mówią szydłem, koń przed koń. Przywódca kuliga odbierał zaraz od gospodarza klucz od piwnicy, a dama jego przyjmowała od gospodyni klucz od spiżarni; wtedy wszystko było na zawołanie gości: raczyli się tem co w domu zastali, tańczyli i bawili się wesoło całą noc zwykle. Znużeni przyjmowali spoczynek z dogodnościami na jaki dom zdobyć się mógł; poczem ruszali dalej do drugiego z kolei, zabierając z sobą pierwszego gospodarza z całą rodziną, i tak szło następnie: coraz zwiększał się orszak, chociaż on zwykle i przy początku nie był ma-

ły, zapraszano bowiem na zaczęcie zabawy te familie, do których kulig na samym końcu miał zawitać, a to dlatego, aby się wszyscy równo bawili. W zamożniejszych domach tańczono po dwa i po trzy dni, w mniej zamożnych skracano czas pobytu, aby się nie stać ciężarem domowi. Takowa zabawa, jeżeli czas sprzyjał, trwała zwykle od wigilii Nowego Roku do środy popielcowej; wówczas umilkła muzyka, a miejsce wesołej wrzawy zajęły pobożne rozmyślenia i nabożeństwo w ciągu całego postu. Takito był kulig niegdyś, przyjemna dawniejszych ludzi zabawa; dzisiejsza wytworność nie może się z nim zgodzić; teraz trzeba czasu żeby się przysposobić do przyjęcia gości, trzeba dogodnego miejsca do ich pomieszczenia. Wykwintność zajęła miejsce dawnej prostoty, grzeszna uprzejmość dawnej otwartości. Celem ówczesnej zabawy było zbliżenie się wzajemne, kojarzenie związków przyjacielskich, a niekiedy nawet i rodzinnych; dzisiejsze zdają się mieć na widoku pokazanie się z gustem i wytwornością; dlatego też zabawy nasze dostarczają płytkim dowcipom obfitej materji do żarcików, po większej części jałowych, a niekiedy złośli-



wych. W gruncie rzeczy, jestto następstwo bardzo naturalne; zapraszający na zabawę stara się zyskać pochwałę znajomości świata i dobrego tonu, niedziw więc, gdy znajdzie w dobraném towarzystwie takich, którzy nie zgadzając się z taktem gospodarza, żartują z tego w czem tamten chluby szukał. Szczera gościnność dawnych nie szukała poklasków, nie zyskiwała też przygany. Trudno już teraz pogodzić dzisiejszą wytworność z dawniejszą gościnnością, lecz przy wykształconym rozsądku niebaczni nasi trefnisie grzecnością odpłacając grzecność, mogą uprzyjemnić zabawy i dawną im przywrócić wesołość. 72/4

Bywały u nas dawniej i inne zabawy, naprzykład maskarady, lecz to tylko z okoliczności imienin, zaślubin, uczczenia jakiej znakomitej osoby, i to jedynie u wielkich i bogatych panów: były bowiem bardzo kosztowne. Na takie maskarady zaproszeni goście rozdzielali się na małe towarzystwa, z których każde przybierało charakter albo osób historycznych np. dworu Karola W.; albo osób allegorycznych, jakoto: wesołości, sprawiedliwości i. t. p. Wszystkie osoby przyj-

mowały maski i ubiory stosowne do obranego charakteru, a pospolicie bardzo kosztowne. Naśladują i teraz podobnego rodzaju zabawy, i nazywają je balami kostiumowymi, lecz dzięki gustowi i rozsądnej oszczędności, zabawy te nie są już tyle kosztowne jak dawniej, sztuczne bowiem błyszczydła zastępują miejsce drogich kamieni, hafty zaś szychowe wybornie przy świecach odbijają, nie przynosząc żadnego uszczerbku wesołości.

Pamiętajcie jednak dzieci moje, dodał pan Przyjemski, iż miła jest rozrywka po pracy; zabawy niewinne są przyprawą życia ludzkiego, odświeżają one niejako umysł nasz, i sposobniejszym go do następnych trudów czynią; zbliżają ludzi do siebie, kojarzą znajomość i przyjacielskie stosunki; a tém samém ważne nieraz w życiu człowieka przynoszą korzyści; lecz namiętne poświęcenie się zabawom, niejednę już zrujnowało familią. Przyzwoita jest rzecz aby człowiek użył rozrywki po pracy; lecz nieszczęście dla tego, który dla rozrywki zapomina o swoich obowiązkach. Dobra jest zabawa stosowna do stanu i możliwości, lecz naganna się staje, gdy albo

nieprzyzwoita powołaniu, albo trwoniąca majątek. Nie chcę zaprzeczać temu co powiedział, „że lepsza chwila wesołości, jak cały wiek płaczu;” ale biada temu, który chwilą wesołości przysposabia sobie nędzę na całe życie. Bogaci ludzie, jeżeli nie chcą lub nie umieją korzystniej użyć swoich dochodów, mogą a nawet powinni wystawniejsze prowadzić życie, lecz nierozsądnem jest, kto przy miernym majątku stara się zrównać w wydatkach z możniejszemi od siebie: zamiast spodziewanych uwielbień, śmiech tylko i politowanie wzbudzi, jak owa żaba co chciała się wielkością równać z wołem. W tym momencie przypomina mi się szczególniejsze zdarzenie, które posłużyć może za przestrożę niejednemu co się namiętnie za zabawami ugania.

Skończywszy nauki szkolne wszedłem do palestry grodzieńskiej dla nabycia wprawy w praktyczne zastosowanie artykułów prawnych. Wtedy ojciec mój odebrał od siostry swojej ze Zwudzi zaproszenie, aby z całą rodziną przybył na ślub jej córki. Dla wieku, a bardziej dla licznych zatrudnień nie mógł ojciec dopełnić życzenia siostry, wysłał więc mnie tylko, żeby i związ-

ków familijnych nie zrywać i mnie, jak mówił, podać sposobność przejrzenia świata. Opatrzony więc nauką i niemałym funduszem na drogę, udałem się do ciotki w nowym i pięknym koczku warszawskim, bo przyzwoita rzecz, mówił ojciec, aby w miejscu nieznaném sobie wystąpić z należytem honorem familii, nie szumno, nie luzczo, ale stosownie do możliwości. Ojciec mój bowiem był nieprzyjacielem głupiej rozrzutności, ale też nienawidził brudnego sknerstwa. Wyposażony więc należycie, odebrawszy błogosławieństwo rodzicielskie, ruszyłem w drogę. Ciotka zasmuciła się z początku, że nie mogła oglądać brata w chwili dla niej tak ważnej, przyjęła mnie jednak z uczuciem prawdziwego przywiązania. Wkrótce potrafiłem zyskać jej względy i zaufanie tak dalece, że z trudnościami z którymi na brata czekała, mnie się zupełnie zwierzyła. Dzięki Panu Bogu nie zawiodłem jej zaufania, zdanie moje ojciec w zupełności potwierdził.

Nadszedł dzień ślubu na którym w parafialnym kościele sama prawie tylko familia się znajdowała, na wieczór dopiero zaproszona była znakomita liczba gości. Że zaś

i ciotka moja należała do rzędu domów zamożniejszych, i zięć jój był znakomitego rodu, wszyscy więc zaproszeni na wesele, postanowili wystąpić z okazałością godną dwóch słynnych w całej okolicy rodzin. Niektórzy pewni będąc zaproszenia wcześniej już bardzo przygotowywali się na tę zabawę, i żeby przyjemną państwu młodym sprawić niespodziankę, postanowili przybyć w maskach i ubiorach charakterystycznych.

W sąsiedztwie ciotki mojej mieszkała nieźle się mająca wdowa z dwiema córkami, i sama namyślnie lubiła zabawy, i córki o niczem nie myślały tylko o rozrywkach. Kontente z wydarzonej sposobności bawienia się, zajęły się przygotowaniem ubiorów, któreby całego towarzystwa oczyszczały. Po długich rozmyślaniach postanowiła pani Szamiot, tak się zwała ta wdowa, wystąpić jako królowa Golkondy, córki zaś miały stanowić jój frauncymer. Uszczęśliwiona tym pomysłem, udała się do Królewca dla zakupu stosownych na ubiór materyj i klejnotów dla przystrojenia ich. Zamierzyła ona dyamenty zastąpić szkielkami, a perły paciorkami weneckimi, lecz pojawiwszy się między sklepami

kupców królewieckich, tysiącem grzeczności i pochlebstw otoczona, mniemała się być bogatszą niż była w istocie. W bliższych cudzoziemskich bowiem miastach granicy naszej, kupcy rachując na próżność naszą, występują z niezwykłą uniżonością i szumnemi tytułami. Przed każdym nierozsądnie rozrzucającym pieniądze zdejmują czapki, i nisko się kłaniają, hrabią go mianując, oświadczając gotowe usługi na wszelkie zawołanie. — Pochlebiali to niezmiernie pani Szamiot i córkom jej; nie chcąc zaprzeczać nadaniu kupieckiemu, zamieniły pierwszą myśl i postanowiły utrzymać w Królewcu honor hrabiowski choć tylko w obrębie sklepu ważny, i to póty tylko, póki szkatulka ważność jego utrzymać zdolną była. Lecz jakże się zmieszaly, gdy ubiorły na głowę z prawdziwych klejnotów dwakroć sto tysięcy złotych polskich otaksował jubiler. Byłoto właśnie tyle, ile wynosił prawie cały ich majątek; nabycie więc okazało się niepodobne; lecz usłużny kupiec oświadczył iż gotów jest pożyczyć klejnotów na czas balu za odpowiednią wartości rękojmią, i nader umiarkowanym wynagrodzeniem dwóch tysięcy złotych na miesiąc. Nic pożądanszego nad

to nie mogło być dla pani Szamiot: błysnąć niesłychanemi bogactwy, zwrócić na siebie wszystkich oczy, stać się przedmiotem podziwienia, a choćby też i zazdrości sąsiadek, wzbudzić wysokie wyobrażenie o swoim majątku, zdało się jej bardzo warto dwóch tysięcy złotych. Natychmiast więc zapisała na dobrach swoich żądaną rękojmię, zaliczyła z góry umówione wynagrodzenie, i porobiwszy resztę sprawunków, szczęśliwa wracała do domu. Wkrótce gotów był ubiór w którym równie gust jak bogactwo w zadumienie wprawiało.

Tymczasem rozeszła się wieść o niesłychanej wartości klejnotów, jakiemi strojna pani Szamiot ma wystąpić na weselu; żli ludzie pochwyciwszy tę wiadomość, postanowili z niej korzystać: namowami przewrotnemi potrafili wciągnąć do swojego towarzystwa jednego ze służących tej pani, który długo w jej domu będąc, wiedział wszystkie zwyczaje jej, znał powozy i wszystkie w nich schowania, do ułożonego przeto rabunku miał być przywódcą. Jakoż na parę dni przed czasem zabawy zbiegł i połączył się z bandą łotrów. Droga pani Szamiot wypadła przez las dość gęsty choć

niezbyt długi, a że czas zjazdu koniecznie umówiony był na sam wieczór, las więc trzeba było przebywać już przy zapadającym zmroku — pora dla złych ludzi nader dogodna. Już złoczyńcy na umówionem stanęli miejscu, ułożyli między sobą co który ma robić, a pani Szamiot nie przeczuwając grożącego jej niebezpieczeństwa, z sercem radością spodziewanego tryumfu przepelnionem wjeżdżała do lasu. Dziwnem atoli zrządzeniem Opatrzności, przy samem wstępie do lasu, na drożynie ciasnej, niezręczny stangret zanadto zbliżył się do drzew, które ponad drogą spuszczały gałęzie; pani Szamiot przyszlę szczęściem upojona nie zwracała uwagi na to co się około niej działo, tymczasem gałęź zawadziła o splot pereł na jej głowie, zerwała go i część pereł padła do powozu, reszta zawiesiła się na gałęzi, lub rozsypała po drodze. Stój! krzyknęła pani Szamiot, nie szczędząc polajania dla stangreta, któremu poniekąd ocalenie swoje była winna. Trzeba było wysiąść z powozu, wyszukiwać w trawie, zbierać i liczyć perły, aby żadnej nie brakło: ta czynność zajęła niemało czasu. Złoczyńcy niespokojni, na różne wpadając domysły, mniemali



że pani Szamiot albo wcale nie będzie na weselu, albo dalszą drogę obrała; wśród takich rozmyślań odezwało się sumienie w złym służącym, wzdrygnął się na wspomnienie dopełnienia zbrodni, i w tej chwili postanowił ratować swoją panią nie myśląc o dalszych skutkach swojego postępku; rzekł więc do swoich towarzyszków: „Zatrzymajcie się tu, ja pobiegnę ścieżką poboczną naprzód wywiedzieć się co się stało: jeżeli inną drogą pani pojechała, tedy będzie wracała rano, a ja się wywiem którędy.” Zgodzili się na to złoczyńcy, i sługa w największym pędzie ruszył naprzód. Właśnie w tej chwili dopadł powozu, kiedy pani Szamiot kontenta iż żadna perła nie zginęła, miała zamiar w dalszą udać się drogę; już stangret podniósł rękę by zaciąć konie, gdy zadyszały służący, stłumionym lecz dość przeraźliwym głosem krzyknął: stój! Zmieszala się pani Szamiot, zadrżały ze strachu córki, ujrzawszy przed sobą zbiegłego sługę.“ Coto jest! krzyknęły razem wszystkie. — Cyt! odezwał się sługa, zanim pani opowie co jest, niech stangret co żywo nawraca, zbójcy... Więcej nie trzeba było dla pani Szamiot; przerażona tym wyrazem, co żywo

nawracać, i co konie wybiedz mogły do domu pędzić kazała. Tu dopiero służący upadłszy jej do nóg, i przepraszając za swoje przewinienie, opowiedział wszystko co ją czekało w owym lesie.

Ochłonawszy z pierwszego przerażenia, zaczęła powątpiewać pani Szamiot o rzetelności opowiadania służącego; dla przekonania się więc kazała natychmiast ekonomowi z kilkunastą ludźmi udać się w miejsce wskazane, który w kilka godzin przywiódł trzech złoczyńców, reszta uszła rąk jego. Tu dopiero zadrżała pani Szamiot na wspomnienie nędzy jaka ją czekała: gotowe bowiem pieniądze wydała prawie co do szeląga na różne ubiory, a majątek cały byłby jubiler zabrał za swoje klejnoty. W całym tem zdarzeniu uznawszy skazówkę Opatrzności, przebaczyła służącemu, klejnoty natychmiast odesłała do Królewca by jak najprędzej odzyskać zapis dany na zaręczenie, a sama z córkami, w najgłębszym ukorzeniu się przed Bogiem, dziękowała w gorących modłach za ocalenie jej tak dziwnym sposobem od oczywistej zguby, i postanowiła odtąd roztropniejsze prowadzić życie.

Tak dziwne wypadki rzadko się zdarzają, dodał jeszcze w końcu ojciec, ale podobnie nierozsądnych nigdy nie braknie. Są i dziś tacy ludzie, co zabawą jednego wieczoru pozbawiają się całorocznego przyzwoitego utrzymania. Idą na tandetę klejnociki, sreberka, kosztowne futra, które oszczędni rodzice, w puściznie swoim dzieciom zostawili, w nadziei że się ich wnukom dostaną; a tymczasem nierozważny syn lub córka, strwonią to na czeze zabawki, a natomiast błyszczą sami tonem i świecą nędzą. — Oj, dzieci moje! uczcie się zawczasu we wszystkiem zachować miarę.

## XV.

### SZTUCZNI JEŹDZCY.

Niedaleko Drohiczyzna na Podlasiu, mieszkał niejaki pan Strzembski w dziedzicznej wiosce swojej na lewym brzegu rzeki Bugu położonej. Nie należał on do rządu zamożnych ludzi, ale przez wyrozumowane gospodarstwo i rozsądną oszczędność potrafił do tego stopnia podwyższyć dochody swoje, iż mu na przyzwoite utrzymanie całej rodziny wystarczały. Miał on trzech synów i dwie córki: najstarsza panna Emilia, niedawno szesnastą rocznicę swoich imienin obchodziła, najmłodsza zaś z całego rodzeństwa sięgała połowy dziesiątego roku. Wszystkie więc dzieci były w wieku





w którym o ich przyzwoite ukształcenie troszczyć się należy. Ta myśl nieraz zatrzymała spokojność pana Strzembkiego, czuł on całą ważność moralnego i umysłowego ukształcenia człowieka, często bowiem powtarzał sąsiadom swoim: zostawić dzieci sierotami pod względem majątku, nie jest rzeczą tak dalece przykrą; lecz zostawić je sierotami pod względem ukształcenia moralnego i umysłowego, to jest okropne i przerażające wspomnienie. Nie potrzebował się pan Strzembki silić na dowodzenie swojej zasady, sąsiedzi aż nadto przekonywające mieli przykłady w swojej okolicy; wszelako mimo takie przekonanie, dochody wioski nie wystarczyły panu Strzembkiemu na edukację dzieci, wyobrażeniom jego odpowiednią. Nie będąc jednak z rzędu tych ludzi, co owczym pędem na ślepo za przykładem drugich biegną; ale zarazem nie należąc do grona przemądrych, coto wszystko podług swojego widzimi się, a zawsze nietak jak ludzie pospolicie działają, wynalazł sposób najprzyzwoitszego, możliwości majątkowej nieprzechodzącego ukształcenia swoich dzieci. Rozważywszy gruntownie pierwszy pomysł i ułożywszy go należycie, zasięgnął zdania biegłych w tym

przedmiocie mężów, i co pojął z rozwagą, wykonywał z rozsądkiem. Poznał on niejakiego pana Światowida, człowieka ustalonego już wieku, którego osłabiony wzrok do opuszczenia biura znaglił; nie było zupełnie naukowy człowiek, ale też ani z pewnego zasobu wiadomości ogołocony, lecz nadewszystko zdrowym rozsądkiem, gruntownym zdaniem i niezachwianą moralnością zalecający się. Tego, zapewniwszy mu należyte uszanowanie i stosowne dogodności, skłonił do przyjęcia obowiązku czuwania nad dziećmi i przewodniczenia im w drodze praktycznego życia; co się tycze nauk, przybrał młodego człowieka, który mu należyte świadectwa szkolne przedłożył. Z tej strony spokojnym był pan Strzembki, gdyż sam odbywszy z korzyścią przygotowawcze nauki w szkołach, chlubnie ukończył uniwersytet, mógł więc pochlebiać sobie, że potrafi być przewodnikiem młodego nauczyciela, a zresztą miał kilku przyjaciół między znakomitemi literatami w Warszawie, na których radę w wyszukiwaniu stosownych dzieł naukowych śmiało mógł się spuścić. Co się zaś tycze córek, pani Strzembka zdobna w cnoty niewieście, pełna ujmującego do-



wcipu, przy należycie ukształconym rozsądku, sama postanowiła zajmować miejsce ochmistrzyni, drobną część naukowości zlewając na nauczyciela. Według takiej myśli urządzonego wychowania, trzeci już upływał rok, i pan Strzembwski cieszył się pożądanym skutkiem swoich zabiegów: dzieci we wszystkich naukach stosowny do wieku czyniły postęp, a pod względem ogólnego rozwinięcia władz umysłowych, o wiele przewyższały swoich rówieśników; jeżeli zaś brakło im encyklopedycznych wiadomości, pana Strzembskiego mało to obchodziło, gdyż z własnego doświadczenia wiedział, jak łatwo jest nabyć tych błyskotek przy gruntownem z innych miar oświeceniu.

Według przyjętego zwyczaju w domu pana Strzembskiego, dzieci z rana zajmowały się nauką, po południu córki przy matce trudniły się robotami kobiecemi, chłopcy zaś jeździli konno, lub dłuższe dla zahartowania się odbywały podróże pieszo, czy to celem odwiedzenia rówieśników w sąsiedztwie, czy też dla wyszukiwania roślin i owadów stosownie do odbytej nauki. W lecie zajmowały się wszystkie razem robotami w ogrodzie, lub innymi zabawami

mi, mającemi na celu wzmocnienie ciała i nadanie mu pewnej zręczności. W dłuższe wieczory jesienne i zimowe pobawiwszy się w ślepą babkę, w lisa, w chatkę do najęcia, lub tym podobną grę z ruchem ciała połączoną, siadały dla wypoczynku około pana Światowida i albo jedno z nich czytało książkę jaką stosowną, albo też Światowid prawił im jaką nauczającą powiastkę, lub wreszcie objaśniał im to czego w książce zrozumieć nie mogły, czasem też i sam zgadywał czego dzieci dobrze nie pojęły, i naprowadzał je na drogę właściwą. Takim sposobem dzieci korzystnie czas spędzały, a rodzice w uczuciu godnie spełnionych obowiązków, największą znajdowali rozkosz.

Zdarzyło się, iż w początku listopada towarzystwo sztucznych jeźdźców zdążając do Warszawy zatrzymało się w mieście obwodowem na parę dni dla wypoczynku i postanowiło przez ten czas przedstawić sztuki swoje dla zaspokojenia ciekawości tych, którym okoliczności nie pozwolą oglądać ich w Warszawie. Pan Strzembki nie opuścił żadnej sposobności, w którejby dzieciom mógł pokazać coś godnego widzenia, a tém samem przyłożył się do roz-

winięcia ich władz umysłowych, tém bardziej że był mocno przekonany, iż drogi ukształcenia umysłowego są niezbadane: dlatego też zabrawszy dzieci, udał się do miasta obwodowego. Nie mógł im towarzyszyć Światowid, jużto dla lekkiej słabości, której zaziębieniem nie chciał pogorszać, już też że wzrok jego nie mógł znieść wieczornego rześistego oświetlenia. Lecz zato po powrocie dzieci, zgromadził je nazajutrz wieczór koło siebie, i prosił, żeby mu opowiedziały co im się najbardziej podobało.

Wnet pokwapiała się najmłodsza córeczka aby uprzedzić starszych i rzekła: Mnie się najbardziej podobała ta pani, co na koniu jeździła, bardzo piękna, a jak pięknie była ubrana! Miała suknię białą atlasową, stanik ślicznie złotem haftowany z taką samą girlandą z przodu sukni; na głowie ładny zawoik z krepy białej i różowej, perłami przeplatany, z pięknem i sutem piórem rajskiego ptaka: żeby pan widział jak jej to było do twarzy! ja tylko na nią patrzyłam, tak mi się podobała. — Zapewnie i tybyś chciała mieć taką suknię, odezwała się matka. — O nie, mamó! alboż ja to sztuki będę pokazywała. Co innego ta pani,

mnie się zdaje, że ona się musi tak stroić, żeby ludzie mieli na co patrzeć, bo za to płacą; ale ja myślę, że ona u siebie w domu nie ubiera się tak bogato.

— Co tam, mniejsza o stroje, odezwał się mały Adaś, mnie się najbardziej podobały sztuki, jakich dokazywał ten, coto miał zielony kapelusik spiczasty z dwoma piórkami koguciami i kurtką w pasy niebieskie i różowe. Wystaw sobie pan, koń w cwał bieży; a on ledwie jedną ręką dotknął się siodła, jużci równemi nogami stanął na siodle, i w biegu konia rozmacie się na nim wykręcał, i wreszcie na koniuszczku siodła zaczepiwszy się, dookoła cały plac objechał: to trzeba zręczności, nieprawdaż panie? — To też właśnie tego tylko się uczą, odezwał się najstarszy Boles; a nadto i konie mają wyuczone: jakto one biegły niy w cwał, a nasz kasztanek kłusemby ich pewnie wyścignął. Uważaliście jak konie biegły w takt za muzyką jeżeli prędko grali, konie prędko biegły; muzyka wolniejszy takt przyjęła i konie zwolniały, raz nawet, nie wiem co się muzyce zrobiło, że nagle ustała i konie stanęły, a wtenczas jeden z jeźdzców spadł i strasznie się gniewał na

muzykę. Ja pewny jestem, że gdybym tego bajaca na naszego kasztanka wsadził, toby on nie potrafił na nim tak dokazywać jak na swoim siwoszu. — Aha! otóż to bajaco, dziękuję ci żeś mi przypomniał, zawołał z radością Adaś; właśnie chciałem się pana spytać, coto znaczy bajaco. — To jest nazwisko żartownisiów, odpowiedział Światowid, jakich popolicie podobnego rodzaju towarzystwa dla rozśmieszenia patrzących utrzymują; wzięte od wyrazu włoskiego, który oznacza żart prosty, nieokrzesany, i oni też najwięcej takimi żartami lud prosty rozweselają.

— Proszę pana, rzekł Boles, na co się takie sztuki przydać mogą? mnie się zdaje, że nauczyć się tak siedzieć na koniu, żeby z niego nie spaść w żadnym przypadku, to dosyć jest dla każdego człowieka; zresztą umieć szybko dosiąść konia i to czasem dobrze, zwłaszcza jeżeli koń znarowiony; ale reszta niepotrzebna. — Dobrze mówisz, odpowiedział mu Światowid, sztuki te w zwyczajnym życiu człowieka do niczego nie służą, okazują one tylko do jakiego stopnia zręczności doprowadzić może człowieka usilna i wytrwała praca: jestto przy-

kład mocno przekonywający, że człowiek przy chęci i usilności wiele dokazać potrafi, kiedy zdoła konia tak ułożyć, iż rozumie takt muzyki i do niego bieg swój stosuje; czegoż się sam nie nauczy, skoro się szczerze zabierze. Ztąd osądźcie moje dzieci, czy mają słusność ci, którzy mówią: ja tego nie potrafię zrobić! albo ja się tego nigdy nie nauczę! jakto raz słyszałem jednego z was: ja już nigdy piękniej pisać nie potrafię. Toby trzeba inaczej powiedzieć: mnie się nie chce przyłożyć starania do kreślenia kształtniejszych liter, ja wolę pozostać niższym od tego konia, którego nauczono rozpoznawać takt muzyczny. Zdaje mi się, że żaden z was nie chce zastosować do siebie tego ostatniego wyrażenia, a przecież w gruncie rzeczy nie co innego mówi, utrzymując, że tego lub owego nauczyć się nie potrafi, zwłaszcza w takich przedmiotach, w których ciągła a chętna wprawa wiele stanowi. Pamiętacie jakieście niedawno dziwili się patrząc na pokazującego sztuki na linie, jak on zręcznie chodził, skakał, zawieszał się za nogę i znowu szybko i zgrabnie stawał na linie; gdyby on był z początku powiedział sobie że się tego nigdy nie nauczy, zape-

wneby nie doszedł tej zręczności: ale nie zrażając się trudnościami, przez długą i ciągłą wprawę doszedł do tego stopnia doskonałości w swojej sztuce, że się staje podziwieniem patrzących. Zresztą nie potrzebuję wam daleko szukać przykładów, sami na sobie macie dowód do czego wprawa doprowadzić może. Przypomnijcie sobie z jaką trudnością przychodziło wam włączyć na dach po drabce pochyło leżącej, a teraz z łatwością postępujecie po drabce prostopadle ustawionej. Pamiętacie jak was jednego za drugim chłop musiał przenosić po dość szerokiej kłodzie na strudze za wsią, a teraz zdaje mi się, że po lada żerdzi przejdzie z was każdy. Ja was jeszcze powoli nauczę wdzierać się w górę po linie i spuszczać po niej, i to napozór tak trudne teraz, zobaczycie że się wam z czasem stanie bardzo łatwe, jeżeli tylko z chęcią się zabierzecie, i jeżeli was pierwsze trudności nie zrażą. — O nie, odezwał się Boles, odtąd wszystkiego będziemy się uczyć z ochotą i wytrwałością, co nam tylko pan pokażesz, a prócz tego te sztuki są tak przyjemne, tak bawiące, że niepodobna ich się nie uczyć. Nietylko przyjemne, rzekł Światowid, ale i pożytecz-

ne pod wielu względami; przez nie uczy się człowiek zręczności, nabiera większej odwagi i przytomności umysłu w niebezpieczeństwach, przeczności w ratowaniu się w przygodach. Nadto, życie człowieka na tyle różnorodnych przypadków jest wystawione, że nawet przewidzieć nie można co może mu być kiedyś przydatne, i te sztuki, które ja wam pokazuję, których sam w młodości wyuczyłem się za granicą, mogą wam się kiedyś przydać, jeżeli nie dla własnej korzyści, to może na korzyść bliźniego, któremu pomagać jest waszym obowiązkiem. Na przekonanie wasze opowiem wam zdarzenie na które sam patrzyłem w młodości mojej. <sup>27</sup><sub>4</sub>

Mieszkałem z rodzicami na Nalewkach, i byłem już uczniem najwyższej klasy w jednych podówczas szkołach przy ulicy długiej; jednego wieczoru chcąc koniecznie wypracować zadane ćwiczenie polskie, dłużej jak zwykle siedziałem przy stoliku nie bacząc co się koło mnie dzieje. Już było po północy, w domu wszyscy spokojnie zasypiali, głęboka cichość panowała na ulicy, odbijając tak dziwnie od zgiełku i trzasku dziennego. Nic nie przerywało szumnych



myśli dziecinnęj mojęj wyobraźni; skrzy-  
piało pióro szybko chwytając tłoczące się  
do głowy pomysły, by wydażyć za ich po-  
lotem. Stłumiony gwar niezlicznych grup  
przebiegających ulicę uderzał wprawdzie  
moje ucho, lecz nie przerwał uwagi na głó-  
wny cel mojęj pracy natężonęj. Właśnie  
ostatnięj już dokończając myśli, łamałem  
głowę nad wyszukaniem stosowniejszego  
i lepiej brzmiącego wyrazu, gdy wtém na-  
agle odezwała się grzechotka i przeraźliwy  
krzyk *gore!* Pióro mi wypadło z ręki, stra-  
ciłem przytomność i zerwawszy się od sto-  
lika, oczy mając wlepione w buchające kłę-  
by dymu, tu i owdzie bałwanami płomienia  
przerywane, krzyczałem przeraźliwie; zer-  
wali się wszyscy w domu, i lubo przestra-  
szeni okropnością pożaru dość blizkiego,  
wkrótce atoli odzyskali przytomność i mnie  
uspokoiłi. Ponieważ byłem nierozebrany,  
pobiegłem więc z rozkazu ojca wywieźć  
się o miejscu pożaru, a zaspokoiwszy ro-  
dziców względem miejsca dość odległego  
od naszego pomieszkania, udałem się sam  
w zamiarze niesienia jakiegokolwiek pomo-  
cy. Jakiż okropny widok przedstawił się  
oczom moim! większa połowa domu już  
była w płomieniach; ogień buchał oknami

i drzwiami, a tymczasem na drugim piętrze kilka osób trzymając dzieci na ręku, przerażającym głosem zebrało pomocy. Tłum ludu zebranego z politowaniem spoglądał w górę, lecz nikt nie widział środka ratunku; kamienica była odosobniona, a z przyniesionych drabek żadna wyżej nad pierwsze piętro nie dosięgała. Niebezpieczeństwo co chwila wzrastało, ogień się szerzył gwałtownie, schody obudwóch pięter gorzały, nagle buchnął płomień oknem drugiego piętra, lecz w drugim końcu kamienicy; ujrzała to jakaś kobieta ze swojego okna na drugim rogu domu, rozpaczą zapewne i nadzieją wiedziona rzuciła się na dół wraz z dzieciąciem, które trzymała na ręku; krzyk przerażenia rozległ się w tłumie, kobieta padła na bruk i w téj chwili żyć przestała, lecz dziecię ocalone. Nagle uroczysta nastąpiła cisza, a całą masę ludu tęskne jakieś zajęło oczekiwanie, zdawało się że wszyscy oddech w piersiach tłumili. Młody jakiś człowiek wdziera się do góry po wystających z muru ceglach, jakie zwykle zostawiają dla wygody budujących się w sąsiedztwie domów: już dosięga gzymsu drugiego piętra, życzenia serdeczne towarzyszą jego

poświęceniu, serca jednak zimny dreszcz przejmuje: stracona na jeden włos równowaga, lub ukruszona cegła mogą pozbawić życia szlachetnego młodzieńca, odebrać nieszczęśliwym ostatnią otuchę ratunku. Młodzieniec, wśród takich uczuć z natężoną uwagą spoglądającego tłumu, zwolna postępuje po gzymsie i wpada do pierwszego okna, roztacza linę którą dźwigał na plecach, spuszcza szybko jedno dziecko za drugim, uczy starszych jak się mają obchodzić, by bez szwanku dostać się na dół, i sam wkrótce, wśród okrzyków radosnych szczęśliwie staje na dole uratowawszy życie kilkunastu osobom różnej płci i wieku. Lecz on jako umiętny bez najmniejszego szwanku wyszedł, wszyscy inni mniej więcej pokaleczone mieli ręce, jedna nawet z kobiet nie mogąc wytrzymać bólu od polowy prawie puściła linę i padłszy na bruk złamała nogę, wkrótce jednak wyleczoną została.

Im większa była trwoga o życie tych nieszczęśliwych, tém liczniejszą okazała się radość z ich ocalenia; każdy się cisnął do szczęśliwego młodzieńca by go bliżej poznać, by mu wynurzyć uczucie wdzięczności. Nadjechał był podówczas gubernator

miasta generał pruski, bo Warszawa wówczas pod rządem pruskim była; patrząc na szlachetny czyn poświęcenia się, uniesiony uczuciem wspaiałomyślności, ofiarował zacnemu młodzieńcowi tysiąc talarów nagrody. „Przyjmuję ją chętnie, oświadczył młodzieniec, i na wychowanie sieroty pozostałej po zgonie matki przeznaczam, szczęśliwy aż nadto będę, jeżeli tym sposobem potrafię chociaż w części wynagrodzić jej poniesioną stratę.” Napróżno gubernator nastawał na niego aby przyjął wynagrodzenie dla siebie, oświadczając, że o sierocie mieć będzie staranie; z uprzejmością podziękował młodzieniec, dodając: „Nie jestem bogatym, ale też nie braknie mi na pierwsze potrzeby życia, nigdy zaś za żadną w świecie nagrodę nie narażałbym się na oczywiste niebezpieczeństwo, anibyśmy sprzedawał życia mojego za pieniądze; wszyscy tu obecni byliby toż samo zrobili dla ratowania bliźniego, gdyby umieli; nie sądzę więc aby zastosowanie nabytej przezemnie wprawy zasługiwało na tak wysoką nagrodę; jeżeli więc pan chcesz zająć się losem nieszczęśliwej sieroty, sumię dla mnie przeznaczoną racz złożyć na wsparcie tych, którzy w pożarze całe swoje mienie stracili.

Stało się według życzenia młodzieńca, ofiarowana przez gubernatora summa, rozdzielona została między pogorzalców w stosunku ich straty; a tak nieszczęśliwi ci błogosławili go jako swego anioła opiekuńczego zawdzięczając mu nietylko ocalenie życia oczywistą zgubą zagrożonego, ale nadto pierwsze opatrzenie potrzeb, zanimby wynaleziona praca na ich utrzymanie wystarczyć mogła.

Nie wystawicie sobie dzieci, jak wtenczas gorąco pragnąłem nabyć podobnej wprawy, aby w razie potrzeby nieść pomoc nieszczęśliwym; lecz jak się dzieje ze wszystkimi życzeniami ludzkimi, tak poszło i z mojem. Zrazu szukałem sposobności zaznajomienia się z owym młodzieńcem, a gdy m tego żadną miarą skutecznie nie mógł, zwolna traciłem chęci; zatrudnienia szkolne ostudziły do reszty moje żądze. W kilka lat potem stanąwszy na załodze z moją kompanią w jednym miasteczku niemieckim, miałem sobie wskazaną kwarterę w domu zajezdny, w którym przypadkiem znajdowało się przejeżdżające towarzystwo skoczków na linie. — Wnet poznałem się z ich przewodnikiem, a nie mając nic do roboty, przypatrywałem się ich

ćwiczeniom, byłem obecny jak uczyli dwóch młodych uczniów swoich, i ja z nimi probowałem, wprawiałem się, i tym sposobem nabyłem niejakię zręczności. Później zdarzyło się mi widzieć takie ćwiczenia należycie urządzone dla dzieci i przekonałem się o ich zbawiennym wpływie na zdrowie, a nawet i umysł, jakkolwiek zdawaćby się to mogło komuś niepodobne. Nie żałuję tego, że mi się dotąd nie nastreczyła sposobność użycia biegłości mojej w przygodach ludzkich, ale za to cieszę się, że mogę wam dać niejaka skazówkę i jednym sposobem więcej stać się wam użytecznym.

## XVI.

### **STRZELANIE DO KURKA.**



Drugi dzień Zielonych Świątek po wielu miejscach bywa dniem wesołej zabawy. Odpust w kościele XX. Kamedułów na Bielanych dał mieszkańcom Warszawy powód do nabożnej pielgrzymki, która się z czasem zamieniła na modną przejażdżkę do tego rozkosznego ustronia. Już w dzisiejszych czasach pobożność bardzo podrzędną zajmuje rolę, wszystkich oczy zwrócone głównie na płody gustu i przemysłu magazynów mód, które przedstawiają na swoich mniej więcej zgrabnych figurkach różnego stopnia piękności warszawskie. Czasami i zaprząg i powóz i barwa służących zajmie

uwagę, lecz to tylko jako przedmioty do zapełnienia ogólnego obrazu przyjemnej zabawy służące. — W wielu miasteczkach Szlązka i księstwa Poznańskiego strzelanie do tarcz w drugim dniu Zielonych Świątek od wieków zaprowadzone i przyjemną i razem pożyteczną mieszkańców stanowi zabawę.

Jeszcze starzy ludzie w Głogowie, miasteczku szlązkiem, pamiętają, jak pewien zacny i bogaty kupiec tamtejszy, zapalony lubownik strzeleckiej zabawy i kilkakrotnie król kurkowy, umierając bezdzietnie, w rozporządzeniach ostatniej woli swojej zapisał tysiąc talarów temu, kto w następnym roku po jego śmierci królem kurkowym zostanie. Skoro więc nadszedł czas oznaczony strzelania do tarczy, całe miasto było w ruchu i oczekiwaniu: nagroda tak wielka w niejednych piersiach obudziła żądzę pozyskania jej, niejeden zawczasu już zazdrościł szczęśliwemu strzelcowi. W jednym tylko domu Ehrenmanna smutek panował, zdawało się nawet iż już i nadzieja, nieodstępna towarzysza nieszczęśliwych, tę przecież rodzinę opuściła. Był to zamożny niegdyś fabrykant sukna, którem hurtowy handel do Polski prowadził, znakomite zyskując sum-



my. Gdy wszakże w Rawiczu, Lesznie, Wschowie, i innych na pograniczu Szlązka miasteczkach zaczęły się dźwigać fabryki sukienne, rząd podwyższył cło na zagraniczne towary, Ehrenmann ujrzał ubytek znaczny w swoich dochodach. Żeby się podźwignąć, zniżył cenę u siebie, wdał się w układy z przemycającymi, i tym sposobem jeszcze więcej stracił. Tymczasem fabryki nasze doskonalily się bardzo szybko, Ehrenmann nie mógł wytrzymać spółzawodnictwa, musiał więc zmniejszyć swoją fabrykę, pozostawszy z ogromnym zapasem sukien w gatunkach niewielki pokup w Szlązku mających. Zgryzotą dręczony wpadł wreszcie w ciężką i długą chorobę, która go do reszty prawie zrujnowała. Odzyskawszy nieco siły, chciał innego czepić się przemysłu, by utrzymać dość liczną familią, ale z kąd wziąć fundusz do tego potrzebny? zapas sukien choć w cenach bardzo zniżonych, mniejszych nawet znacznie od rzeczywistej ich wartości mało znajdował pokupu, ryczałtem za żadną cenę nikt go przyjąć nie chciał, zbywać warsztatów i narzędzi nie mógł, bo najprzód musiałby stracić na nich, a powtóre potrzebne mu były do zamierzonej innej fabryki, do której

zastosowanie ich mało go kosztować mogło. Tak więc wszystkie drogi polepszenia bytu zdawały mu się zagrodzonymi. Na domiar nieszczęścia długa choroba pozbawiła go sił w chwili tak ważnej: należał on bowiem do towarzystwa strzeleckiego i był tyle szczęśliwym, że kilka razy został królem strzeleckim; gdyby więc przy nadchodzącem strzelaniu, powiodło mu się zbić kurka, uzyskana nagroda wydobyłaby go z całego ambarasu. Lecz o tém ani myśleć nie mógł w terażniejszym swoim stanie. Miał on już syna, który go wyręczał w zawiadywaniu fabryką i w dozieraniu interesów kupieckich, i ten syn należał do towarzystwa strzelców, lecz na nieszczęście tak był pod tym względem niezręczny, że za osobliwość poczytywano jeżeli on między trzema strzałami, raz przynajmniej w brzeg wielkiej tarczy trafił; mimo to wszakże w zastępstwie ojca strzelać nie mógł, bo prawa strzeleckie tego zabraniały. W takim stanie rzeczy radość powszechna mieszkańców Głogowa zwiększała tylko smutek starego Ehrenmanna; gdyby był zdrow, przynajmniej przez kilka dni cieszyłby się nadzieją polepszenia losu, tak

zaś dręczyły go smutne obrazy czekającej go nędzy.

Nadszedł dzień strzelania: kompanie strzelców w porządnym szyku z huczną muzyką przeciągały koło okien Ehrenmanna, był między nimi i syn jego Henryk lecz stary ojciec żadnej na nim nie budował nadziei, marsz strzelecki rozweselający tłumy mieszkańców, żalem ścisnął serce Ehrenmanna, oknem nawet wyjrzyć nie śmiał. Nie zazdrościł on nikomu nagrody, żałował tylko sposobności osiągnięcia jej w tym momencie, gdy mu tak dalece do podźwignienia się była potrzebną. Kiedy więc cała wrzawa wesolego tłumu dom jego minęła, on z religijną rezygnacją westchnąwszy do Boga, zajął się porządkowaniem swoich rachunków. Gdy się już zmierzchać poczęło, przerwano strzelanie do kurka, odkładając je na dzień następny. Wszyscy wracali do domów; starsi ze strzelców obstąpili Henryka pytając się dlaczego ojciec nie przybył: wiedzieli bowiem że już wyszedł ze słabości, lecz nie wiedzieli że tłoczące go zgryzoty nie dozwalały mu odzyskać sił dawniejszych; razem przeto z Henrykiem poszli odwiedzić starego spółtowarzysza.— Przyjął ich uprzej-

mie Ehrenmann i ciekawie pytał o nazwisko szczęśliwego strzelca: jakież było jego zadziwienie, gdy jeden ze starszych mu odpowiedział: „Kurek spokojnie siedzi na źerdzi, bo wie że stary Ehrenmann nie przyjdzie spędzić go ztamtąd drżącą z osłabienia ręką.” Dowiedział się że cała kolej obeszła, a nikt nawet w źerdź nie trafił; uspokoiło go to poniekąd, pomyślił bowiem że może i on byłby chybił jak drudzy, tém bardziej że wiedział iż między strzelającemi byli i tacy, którzy równie jak on celnie, a nawet kto wie czy nie lepiej strzelali. <sup>2/4</sup>

Po niejakięj chwili starsi zaczęli namawiać Ehrenmanna aby nazajutrz przyłączył się do nich i spróbował szczęścia, albo w ostatnim przypadku, żeby kogo w zastępstwie przysłał, dodając: że choć ustawa ich towarzystwa na to nie zezwala, dla starego jednak strzelca raz jeden od prawideł odstąpić można. Tę ostatnią ofiarę przyjął z ochotą Ehrenmann, gdyż zbyt był osłabiony aby osobiście mógł się znajdować w strzelnicy. Miał Ehrenmann u siebie cudzoziemskiego czeladnika celnie strzelającego, który powróciwszy z zabawy naśmiewał się ze wszystkich strzelców głogowskich

twierdząc iż w jego kraju kurek i kwadransa jednego nie dosiedziałyby na żerdzi, że on sam ofiaruje się pod zakład strącić go w najgorszym przypadku za trzecim strzałem. Ehrenmann miał sposobność widzieć jego strzelanie, i wcale go nie posądzał o samochwalstwo; korzystając więc z pozwolenia starszych mógł go posłać w zastępstwie. Lecz zważywszy że tym sposobem uzyskana tak wielka nagroda, mogła mu odstręczyć umysły wszystkich mieszkańców i imię jego nienawistnem uczynić, nie chciał tą ofiarą okupować szczęścia, któreby mu w takim razie żadnej przyjemności nie czyniło. Nazajutrz więc gdy się kompanie strzeleckie powtórnie zbierały, wybierającemu się synowi Henrykowi dał upoważnienie z wyraźnem ostrzeżeniem, aby dopiero po skończonej kolei, jeżeli jeszcze kurek nie będzie strącony, wyjednał sobie pozwolenie strzelania za ojca. „Wszakże wiesz ojcze, rzekł Henryk, że ja ledwie tarczę niekiedy drasnę, na cóż się więc przyda moje strzelanie? lepiejby było posłać naszego czeladnika.”— „Prawda odpowiedział mu ojciec, lecz mam powody dla których tego uczynić nie mogę.” Wziął więc Henryk sztuciec ojca i udał się do

strzelnicy, niebardzo kontent z danego mu pełnomocnictwa.

Nim rozpoczęto w dniu tym strzelanie, starsi bractwa przywołali najprzód Henryka dla powzięcia wiadomości, kogoby ojciec upoważnił do zastępstwa; dowiedziawszy się o wszystkim przedstawili to zgromadzeniu. Wszyscy przyjęli wniosek jednozgodnie, ale z pewnym rodzajem obojętności, tak iż widocznie się pokazywało, że dlatego tylko pozwolono, iż lekceważono niezręcznego zastępcę: wtedy i Henryk spostrzegł jak ojciec rozsądnie uczynił, że nie upoważnił czeladnika, byłoby to bowiem niechybnie stało się powodem jeżeli nie do oporu w przyzwoleniu, tedy przynajmniej do pokątnego szemrania. Rozpoczęło się strzelanie: każdy jeden tylko miał strzał dozwolony, drugi dopiero miał następować po obejściu pierwszej kolei. Ostatni z bractwa wystrzelił, a kurek nietknięty; wtedy wystąpił Henryk za ojca, spojrzeli wszyscy po sobie, na niejednym widać było wesoly uśmiech z pustego jak przewidywali strzału: tak i Henryk myślił, z tą różnicą iż zamiast zwykłej wesołości, posępność jakaś opanowała jego wejrzenie, żal ściskający serce gwałtem się na wierzch

wydobywał. Wiedział on, że zręczność jego mogła zmienić los całej rodziny, ale nie miał najmniejszego powodu oddawać się tej słodkiej nadziei, z goryczą więc w sercu pochwycił sztuciec ojca, i przywołany z imienia i nazwiska, stanął przy poręczu, szybko broń położył, spuścił cęgiel, a w tej chwili rozległy się ze wszech stron huczne okrzyki: „Kurek spadł z żerdzi!“ Henryk, ów niezręczny Henryk wygrał nagrodę dla ojca. Dwaj młodsi bracia jego, którzy za pozwoleniem ojca poszli z Henrykiem dla przypatrzenia się zabawie, i zdala od strzelnicy z łuku do celu strzelali, usłyszawszy wywołane imię Henryka, zbliżyli się do poręczu, a skoro ujrzeli spadającego kurka, z okrzykami radości biegli do domu, aby mogli najpierwsi ojca o tem zawiadomić.

Przyniesiono ustrzelonego kurka, oddano go Henrykowi, i uwieńczono w dębowe liście kwiatami przeplatane, z tryumfem wśród odgłosu muzyki do starego Ehrenmanna odprowadzono, a starsi bractwa natychmiast złożyli przyznaną mu nagrodę, nie okazując najmniejszego znaku zazdrości, ale owszem ciesząc się szczęściem, na które uczciwość jego zasługiwała. Rozrze-

wniony Ehrenmann niespodzianym losem, przyjął mile życzliwych przyjaciół i skromną ich ucztą uraczył. Ze wszystkich atoli najszczerzej cieszył się Henryk, i w duchu dziękował Bogu, że go obrał za narzędzie podźwignienia ojca. W istocie Ehrenmann poprawił swoje interesa, urządził fabrykę materyj bawełnianych, oparł ją na gruntowniejszych zasadach, i w kilka lat na nowo znacznego dorobił się majątku. Wtedy pomnąc na dobrodziejstwo jakiego doznał w pozyskanėj nagrodzie, ułożywszy się z dziećmi swojemi, postanowił przez kilka lat corocznie pięćset talarów odkładać na nagrodę dla szczęśliwego strzelca który kurka zbije. Mówią, iż ta nagrodą niejednego uszczęśliwiła rzemieślnika i niejeden z rozrzewnieniem westchnął za duszę czcigodnego Ehrenmanna i jego poprzednika.

Skończył pan Prokosz; poruszyły się z miejsc swoich dzieci zmordowane poniekąd natężeniem uwagi, z jaką téj powieści słuchały, po krótkiej atoli chwili odpoczynku, nacieszywszy się szczęściem Ehrenmanna, wróciły do Prokosza i najmłodszy z nich Antos zapytał się go, na coby to strzelanie do tarczy lub kurka postanowio-



ne było? „Tego jeszcze nie zrozumiecie dobrze moje dzieci, jednakże będę się starał wytłumaczyć wam jak będę mógł najjaśniej. Póki w dawnych wiekach z szablą w rękę lub dzidą walczono, wtedy siła na siłę, zręczność przeciw zręczności występowała: wtedy i znakomitsi wodzowie nieraz osobiście walczyć zmuszeni byli, dlatego ćwiczyli się w robieniu szablą i dzidą. Gdy muzułmanie opanowawszy Azyą zachodnią i północną Afrykę, z dwóch stron do Europy wdzierać się poczęli, wtedy obudził się zapal w sercach chrześcian, postanowili zawojowaną przez muzułmanów ziemię świętą odzyskać. Najznakomitsi panowie Anglii, Francyi, Niemiec, Włoch, Węgier i Hiszpanii, ba i naszych niemało, zaciągali się pod znaki krzyża świętego, by walczyć o wyswobodzenie grobu Chrystusa Pana. Wtenczas objawił się duch rycerski w Europie. Przez dwa wieki trwały wyprawy krzyżowe, przez dwa wieki możni nawet panowie, jako prości wojownicy dążyli do Azyi. W końcu przemogli muzułmanie, lecz duch rycerski pozostał i coraz bardziej się kształcił. Powstały rycerskie zabawy i ćwiczenia, turniejami zwane, na których mło-

dzień z kopią i szablą zaprawiała się do harców z nieprzyjacielem, aby na każde zawołanie gotowa była do boju. Lecz gdy z końcem trzynastego wieku ujrzano niemożność korzystnego walczenia z przeważną siłą muzułmanów, rycerze między sobą krwawe spory toczyć poczęli: to obudziło nienawiść przeciw nim i stało się powodem zakazu ich ćwiczeń. W piętnastym wieku dosyć już upowszechniona broń palna zmieniła postać wojny, już odtąd dowódcy nie przystało walczyć osobiście, lecz baczyć na ściśle i umiejętne wykonanie rozkazu naczelników. Sztuka wojenna stała się umiejętnością, której się koniecznie uczyć trzeba było: lecz ta nauka inna była dla dowódców, a inna dla żołnierzy. Jak wodzów wszelkiego stopnia zaletą było zręczne uszykowanie wojska, upatrzenie pory do natarcia, korzystanie z miejsca, a nawet z błędów przeciwnika; tak do żołnierza należało szybkie wykonanie nakazanych obrotów, zręczne użycie broni, a nadewszystko celne strzelanie. Zeby więc osobliwie do strzelania przyuczyć młodzież, w czasach, w których bardzo mało albo wcale nie utrzymywano wojska ciągle stojącego, pozaprowadzano strzela-

nie do celu, czyli do tarczy. Dla zachęcenia zaś do takowego rodzaju ćwiczeń, naznaczono nagrody i przywileje dla strzelców najcelniejszych. Tym sposobem strzelanie do tarczy zastąpiło miejsce dawnych turniejów, które w nowym sposobie wojowania bezużytecznymi się okazały. Gdy jednak dowódcom, czyli jak teraz zowiemy oficerom, strzelanie w czasie boju było niepotrzebne, gdyż do nich należy jedynie baczyc na porządek w powierzonym im oddziale wojska, i kierować nakazanemi obrotami, strzelanie zaś i robienie bronią należy do żołnierzy, dlatego też i do ćwiczeń strzeleckich, tacy tylko należeli, których strzelba mogła być w razie potrzeby poruszona, ci zaś którzy mieli nadzieję wyjść na dowódców, poświęcali się innej wcale nauce. Z tego com wam powiedział, moje dzieci, pojmiecie łatwo, że gdy dziś rządy utrzymują stałe wojska, strzelanie więc do tarczy jest niepotrzebne, bo takowe ćwiczenia odbywają żołnierze w pułkach swoich według oznaczonego porządku; jeżeli więc utrzymuje się jeszcze gdzie indziej dawny zwyczaj, to już nie dla potrzeby, lecz tylko dla zabawy myśliwych.

Takowe strzelanie do tarczy lub kogutka, gdzie jak się komu podobało, i jak początkowo zaprowadzono zwyczaj, było i u nas po różnych miastach niegdyś w użyciu: najuroczyściej wszakże i najporządniej odbywało się w Krakowie, gdzie nawet ku temu urządzona była szkoła strzelecka i osobny plac do strzelania wyznaczony, celestatem wówczas zwany. Były tam różnej wartości nagrody wyznaczone i w pieniądzech, i w ubiorach i w kilku łokciach drogiego sukna lub jakiej innej materyi. O każdą w inny sposób ubiegano się, dla każdej inny czas był wyznaczony, dlatego począwszy od poniedziałku po niedzieli przewodniej, co niedziela strzelano aż do Ś. Michała. Ze wszystkich atoli tych ćwiczeń najuroczystsze i najważniejsze było strzelanie do kurka. W dzień oznaczony po oktawie Bożego Ciała, dyrektor szkoły strzeleckiej, starsi bractwa i wszyscy do bractwa zapisani udawali się najprzód do kościoła Panny Maryi na uroczystą Mszę Świętą, poczem przy odgłosie wojennej muzyki z wielką paradą szli do celestatu, przy huku dział i moździerzy miejskich. Rozpoczyznało się strzelanie do kurka na wysokim drągu umocowanego:

kto go zbił, zostawał królem kurkowym na cały rok. Jako oznakę swojej godności odbierał kurka srebrnego na złotym łańcuchu, którego mu zawieszono na szyi, i z paradą wielką odprowadzano do domu, z muzyką, przy odgłosie dział i moździerzy. Wróciwszy do domu król kurkowy wyprawiał ucztę dla starszych bractwa; ale też miał za co, bo na cały rok wolny był od podatków i wszelkich powinności miejskich. Ten wszakże przywilej musiał dawać powód do nadużyć, gdyż w końcu zmieniono nagrodę, i ptaszemu królowi, jak go niekiedy nazywano, wypłacano z dochodów celnych trzy tysiące złotych. Ta zabawa była niegdyś tak wspaniałą i zajmującą, że najmożliwsi panowie bywali na niej, lecz jedynie dla przypatrzenia się; nie mamy wiadomości żadnej, czy kto ze znakomitych do niej należał, sami tylko mieszkańcy Krakowa mieli w niej udział, i przywileje też jedynie miastu służyły. W czasie marszu do celestatu śpiewano pieśń w szesnastym wieku na tę zabawę ułożoną. Jeszcze parę zwrotek jej pamiętam:

A dalejże kozernicy,  
Krzescie kurki u rusznicy,  
Który postrzeli koguta,  
Temu zabrzmi wdzięczna nuta;  
A kto kurka zbije,  
*Vivat* król, niech żyje!

A dalejże kozernicy,  
Wsypane prochu do rusznicy,  
Niech będzie suchy, siarczysty,  
Posuwisty i strzelnisty;  
A kto kurka zbije,  
*Vivat* król, niech żyje!

A dalejże kozernicy,  
Wbijcie kulkę do rusznicy,  
Niechaj będzie okrągłuchna,  
Smagła jak weselna druchna;  
A kto kurka zbije,  
*Vivat* król, niech żyje!

Takich zwrotek było więcej, w jednej z nich, ile sobie przypominam, rokowano, że król kurkowy przyłoży się do walki z Turkami, lecz już wierszy całych nie pamiętam; dość na tem, że całą pieśń zmierzala do wzniesienia duchów kozerników tojest lekkich strzelców.

K O N I E C .

## SPIS RZECZY.

	<i>Stronnica.</i>
<b>Gwiazdka . . . . .</b>	<b>1</b>
<b>Bal. . . . .</b>	<b>24</b>
<b>Imieniny. . . . .</b>	<b>54</b>
<b>Łódka . . . . .</b>	<b>67</b>
<b>Ociemniały . . . . .</b>	<b>84</b>
<b>Menażerya . . . . .</b>	<b>97</b>
<b>Ptaszki . . . . .</b>	<b>110</b>
<b>Turnieje . . . . .</b>	<b>132</b>
<b>Karuzel . . . . .</b>	<b>147</b>
<b>Wyścigi konne. . . . .</b>	<b>164</b>
<b>Niedźwiednik . . . . .</b>	<b>188</b>
<b>Karawana . . . . .</b>	<b>217</b>
<b>Ogródek . . . . .</b>	<b>242</b>
<b>Maskarada. . . . .</b>	<b>266</b>
<b>Sztuczni jeźdźcy. . . . .</b>	<b>290</b>
<b>Strzelanie do kurka . . . . .</b>	<b>307</b>



**INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka  
ul. Nowy Świat Nr 72  
00-330 Warszawa

**Tel. 26-08-63, 26-52-31 w. 42**











F  
708